

25. SŁOWOTWÓRCZA RELACJA KAPŁANÓW ZAKONNYCH DO KOŚCIOŁA PARTYKULARNEGO

Słowo Boże: 1 Tym 4, 12-16

R o z w a ż a n i e

„Działalność naukowa, jak działalność społeczna — pisał Jacques Maritain — ma dla kapłana znaczenie drugorzędne. Głównym jego zadaniem jest praca dla dusz, służba przy Mistycznym Ciele Chrystusa”. Tak widział powołanie kapłańskie, jego działalność i posłannictwo wielki myśliciel francuski, dodajmy — katolik świecki. Nie inaczej widział zadania sługa Boży, jeden z najwybitniejszych teologów polskich, Ks. Wincenty Granat (+ 1979).

Na czym ma polegać praca dla dusz? Ks. Granat bliżej to określa. „... celem naczelnym i głównym — pisał — jest zbawienie ludzi, cele zaś doczesne o tyle należą do zadań Kościoła, o ile wiążą się z zadaniami eschatologicznymi”.¹ „Zadania diecezji — tłumaczył — są takie same, jak zadania Kościoła tj. prowadzenie ludzi do Boga przez Chrystusa”.² A zatem — kapłani mają „prowadzić ludzi do Boga przez Chrystusa”. To jest ich naczelne i główne zadanie.

¹ Ks. W. Granat, *Teologia diecezji*, w: *Studia sandomierskie*, Tom I, Sandomierz 1980, s. 164.

² Tamże, s. 170.

Jaką rolę spełniają w diecezji (kościół partykularnym) — rodzi się pytanie — kapłani, którzy należą do zakonów i różnych zgromadzeń zakonnych?

Szukając odpowiedzi na to pytanie trzeba przede wszystkim pamiętać, o czym przypomina Ojciec święty w „Pastores dabo vobis” (nr 31), a mianowicie o przynależności *k a ż d e g o k a p ł a n a* (tak diecezjalnego, jak zakonnego) do kościoła lokalnego i poświęcenia się mu. „Fakt ten nie jest motywowany jedynie racjami organizacyjnymi i dyscyplinarnymi. Przeciwnie więz z biskupem w jedynym kapłaństwie, uczestniczenie w jego trosce o sprawy Kościoła, zaangażowanie w ewangeliczną troskę o Lud Boży w konkretnych warunkach historycznych i środowiskowych Kościoła lokalnego” stanowi istotny element w prowadzeniu ludzi do Boga.

Wspomniany Ks. Granat, przypominając, iż w każdej diecezji (zgromadzonej wokół Biskupa, złączonego z następcą Piotra) — będącej realizacją Kościoła powszechnego, którego Głową jest Chrystus, a duszą Duch Święty, spotkać można ludzi obdarzonych charyzmatami. „Diecezja jest nie tylko odrębną jednostką w administracji kościelnej, lecz także osobowością duchowo-charyzmatyczną”. W niej — w tej „wspólnocie bosko-ludzkiej pojawiają się charyzmaty”.³

Ojciec święty, Jan Paweł II widzi w tym bogactwo Kościoła powszechnego, a tym samym Kościoła lokalnego. „Kapłani, którzy należą do zakonów i różnych zgromadzeń zakonnych, stanowią duchowe bogactwo dla

całego p r e z b i t e r i u m diecezji, dla których wnoszą specyficzny wkład w postaci charyzmatów i specjalnych posług, pobudzają swoją obecnością Kościół lokalny do większego otwarcia na problemy Kościoła powszechnego” („Pastores dabo vobis”, nr 31).

Aby obfitość darów Ducha Świętego mogła owocować też dla dobra całego Kościoła — pisze Ojciec Święty — trzeba „umieć rozróżniać własne charyzmaty oraz charyzmaty innych ludzi: Nie zazdrościć, lecz „rozwijać je z chrześcijańską pokorą” (nr 31). Wszystko dla dobra Kościoła, dusz ludzkich, mieć na celu zbawienie i uświęcenie dusz — dobro całej wspólnoty, a nie własne!

R o z m o w a z C h r y s t u s e m

Nie zakończyłeś, o Panie Jezu, swojej działalności na ziemi, mimo iż — jak dobry żołnierz — zameldowałeś swemu Ojcu z krzyża, iż zadanie, które Ci zlecił, zostało w y k o n a n e. „Potem Jezus świadom, że już wszystko się wykonało, aby się wypełniło Pismo, rzekł: „Pragnę”. Stały tam naczynia pełne octu. Nałożono więc na hizop gąbkę pełną octu i do ust Mu podano. A gdy Jezus skończył octu, rzekł: Wykonało się. I skłoniwszy głowę wyzionął ducha” (J 19, 28-30).

O Panie Jezu, nadal żyjesz i działasz w swoim Kościele, który się narodził w chwili Twojej śmierci. Żyjesz i działasz przez... swoich kapłanów. Powołałeś ich do życia w Wielki Czwartek podczas Ostatniej Wieczerzy. Powołałeś ich po to, byś mógł nadal prowadzić zbawcze dzieło zbawienia i uświęcenia wszystkich ludzi.

Panie Jezu, w dniu, w którym narodziłem się jako Twój kapłan, postawiłeś przede mną, jak przed każdym kapłanem, j e d n o z a d a n i e: z b a w i e n i e l u d z i. Mam siebie i innych prowadzić do nieba. Praca dla dusz — służba — jak się wyraził jeden ze świeckich katolików — przy Mistycznym Ciele Chrystusa — oto główne zadanie kapłana. Dobrze to rozumiał od najmłodszych lat Papież Jan XXIII, zanim jeszcze został kapłanem. W swoim „Dzienniku duszy” pisał: „Byłem dobrym niewinnym chłopcem, trochę nieśmiałym. Chciałem za wszelką cenę kochać Boga i nie myślałem o niczym innym, jak tylko, aby zostać księdzem w służbie dusz prostych”.⁴

Tak, Panie Jezu, powołaniem każdego kapłana jest s ł u ż y ć B o g u i l u d z i o m. Winni oni — jak się wraził jeden z kapłanów — dawać ludziom Boga i ludzi Bogu; i — bez reszty — siebie: Bogu i ludziom.

O Panie, służyć Bogu i ludziom to: m o d l i ć się, składać Bogu w Trójcy Świętej Jedyjnemu Najświętszą Ofiarę: niezmordowanie głosić Ewangelię, spowiadać, spieszyć do chorych — w domu i szpitalu, uczyć i uświęcać ludzi...

Kapłan, powołany, aby służyć... jest przede wszystkim mężem m o d l i t w y. Każdego dnia w odpowiednim czasie bierze do rąk brewiarz — modli się wraz z całym Kościołem za tych, którzy się nie modlą albo źle się modlą ..., mówi różaniec, nawiedza Najświętszy Sakra-

ment, a nade wszystko staje każdego dnia przy ołtarzu, by złożyć Najświętszą Ofiarę.

Jeden z polskich biskupów kreśląc model współczesnego kapłana na pierwszym miejscu postawił m o d l i t w ę. „Gdy kapłan modli się w sposób autentyczny, jest na dobrej drodze do rozwiązania przeróżnych nurtujących problemów, w przeciwnym razie grozi mu, tak jak wiernym świeckim, zagubienie się w tym chaosie współczesnego świata”. Matka Teresa z Kalkuty, zaproszona do Seminarium Duchownego w Warszawie ze „słowem” do kleryków, zgodziła się chętnie. Mówiła o swoich siostrach, o ich pracy. ... Jeden z kleryków zapytał: Co robić aby w kapłaństwie być świętym? Odpowiedziała krótko. B y ć k a p ł a n e m. I dodała: Proszę was, módlcie się każdego dnia u stóp Najświętszego Sakramentu!

R a c h u n e k s u m i e n i a

- Czy chętnie oddaję Jezusowi swoje siły i zdolności?
- Czy mam czas do Jego dyspozycji?
- Czy zawsze może się On mną posłużyć?
- Jak pracuję nad swoim uświęceniem?
- Czego uczą się ode mnie: dzieci, młodzież?
(Jestem zawsze „pod obstrzałem”, pilnie mnie obserwują nie tylko dorośli; bodaj jeszcze baczniej młodzież i dzieci).

P o s t a n o w i e n i e

Być wiernym modlitwie brewiarzowej.

L e k t u r a

Jerzy Gruca, *Watykan znany i nieznan*y, Warszawa 1993.

T e k s t y

W Domu Pielgrzyma Polskiego imienia Jana Pawła II w Rzymie oglądałem kiedyś bogatą bibliotekę różnojęzycznych ksiązek, jakie dotąd napisano o papieżu z Polski. Znajduje się tam tysiące wydawnictw z całego świata. Niemal wszystko, co dotąd napisano, bo takie zadania postawiła sobie istniejąca Fundacja. Są tam książki ukazujące papieża jako pasterza, który walczy na czele Kościoła, by zreformowano świat i ludzi, a zło by nie zwyciężało. Jednakże są tam książki atakujące Piotra naszych czasów, bo stanowi on ciągle „znak, któremu sprzeciwiać się będą...” Ciągle wielu ludzi sądzi, że to Kościół powinien być zreformowany przez świat, tak aby chrześcijaństwo stało się — bardziej strawną religią dla współczesnego człowieka. Tymczasem Jan Paweł II nie jest papieżem dla ludzi hołdujących małoduszniemu oportunistom i hedonistom.

(...) Jan Paweł II nie jest politykiem, jak chciałoby wielu. Jest żarliwym pasterzem Kościoła, a Kościół — jak ktoś napisał — nie jest za jego pontyfikatu jakąś zamkniętą twierdzą, ale nie może być także owczarnią bez ogrodzenia, do której drapieżnik wchodzi jak do swego... Papież Wojtyła jest człowiekiem głębokiej wiary, tytanem pracy, człowiekiem modlitwy i kontemplacji. W tych przymiotach tkwi źródło jego siły i radość dla

współczesnego Kościoła. Jak napisał francuski filozof i pisarz Jean Guilton — darem od Boga dla świata.

(...) Życie papieża promieniuje bogactwem zamierzeń i ogromnym witalizmem. Jego codzienny dynamizm wypływa z niezłomnej wiary i wytrwałej modlitwy. Jan Paweł II jest człowiekiem tytanicznej pracowitości.

(...) Kiedy spytałem niedawno jednego z watykańskich prałatów, czy papież nadal tak intensywnie pracuje. Usłyszałem spontaniczną odpowiedź. — „Tak, Jan Paweł II spala się jasnym płomieniem w służbie Bogu i ludziom...” Istotnie, papież, jeszcze w Polsce nauczył się pracować bardzo intensywnie i czas dany mu przez Boga wykorzystuje zawsze z pełnym poświęceniem. Jeszcze w Polsce odbywając podróże samochodem, gdy udawał się na wizytacje parafii, robił notatki z czytanych książek na specjalnie zainstalowanym na jego życzenie pulpicie. Nie inaczej dzieje się i teraz w Rzymie.

(...) Żalą się publicyści, że trudno jest pisać o papieżu, który jest wybitnym moralistą, naukowcem, filozofem i teologiem, ale jednocześnie poetą. Wszyscy są zgodni, że papież jest wielkim myślicielem współczesności i mistykiem. Jest człowiekiem głębokiej modlitwy. Cechuje go niezwykła wrażliwość na ludzkie tęsknoty. Jest on jednym ze współczesnych twórców cywilizacji miłości, o którą tak żarliwie apeluje. Niektórzy zwracają uwagę, że papież, który jest intelektualistą, był również robotnikiem.

Szkic do Portretu papieża Wojtyły,

w: Jerzy Gruca, Watykan znany i nieznan,

Warszawa 1993, s. 202–204.

26. ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA KOŚCIÓŁ POWSZECHNY

Słowo Boże: 2 Tym 4, 1-5

R o z w a ż a n i e

„Nikt nie ma większej miłości, od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół”. „Od dzisiaj — mówił Ojciec św. Jan Paweł II w homilii — Kościół pragnie nazywać „świętym” człowieka, któremu dane było w sposób szczególny wypełnić powyższe słowa Odkupiciela”. Tym człowiekiem był św. Maksymilian Maria Kolbe, kapłan i zakonnik. Oddał swoje życie (miał wtedy 47 lat) za współwięźnia, ojca rodziny.¹ W jego zastępstwie poniósł śmierć głodową w bunkrze obozu w Oświęcimiu.

Ks. Wojciech Tabaczyński sądzi (jest głęboko przekonany), że nie była to j e d y n a pobudka jego decyzji, pójścia na śmierć głodową, a nawet, będąc pobudką bezpośrednią — nie była n a j w a ż n i e s z ą.² Św. Maksymilian podejmując tę decyzję chciał pomóc znieść po chrześcijańsku straszliwe cierpienia i samą śmierć dziewięciu skazanych na śmierć głodową w bunkrze. Wiedział, jak umierali w bunkrze wcześniej inni skazańcy. Umierali w rozpacz, bez rozgrzeszenia kapłańskiego, z buntem przeciw Bogu. Dlatego poszedł z nimi do bun-

¹ Franciszek Gajowniczek przetrwał obóz oświęcimski, powrócił do domu. Zmarł w 1995 r. w wieku lat 93.

² Ks. W. Tabaczyński, *Korony ojca Maksymiliana*, w: Słowo (Магавн) nr 37/96/1995

kra, chciał być z nimi i razem z nimi umierać. Jeden z więźniów wyznaczony przez władze obozowe do sprzą-tania bunkra zeznawał zaraz po wojnie, że inaczej umie-rali więźniowie przebywający razem z o. Maksymilianem. Wspólnie śpiewali pieśni religijne, wspólnie się modlili, zachowywali się spokojnie.

Jako ostatni poniósł śmierć św. Maksymilian, zabity zastrzykiem fenolu. Św. Maksymilian, ratując życie współwięźnia i pomagając znieść po chrześcijańsku straszliwe cierpienia zakończone śmiercią głodową pozostałym współwięźniom, złożył Bogu w ofierze męczeńskiej — „łącznie z ofiarą Zbawiciela na krzyżu i w łączności z ofiarą Niepokalanego Serca Maryi poniesioną pod krzyżem Chrystusa dla zbawienia ludzi” — s w o j e w ł a s n e ż y c i e.³ Ks. Tabaczyński przypuszcza (i chyba nie bez słuszności), że była to ofiara za Kościół i Ojczyznę.

Ofiara za Kościół. Nie trzeba chyba dodawać — za Kościół powszechny (nazywany z grecka: katolicki).

Ofiara za Kościół „głoszący powszechne, uniwersalne zbawienie ofiarowane przez Chrystusa wszystkim ludziom”.

Ofiara za Kościół „otwarty i dostępny dla wszystkich języków, kultur, mentalności, epok dla ludzi każdego wieku, stanu i wykształcenia dla mężczyzn i kobiet, dla naukowców i analfabetów, dla bogatych i nędzarzy, dla białych, żółtych i czarnych, dla ludzi pierwszego, dziesiątego i dwudziestego wieku, dla świętych i grzeszników”.⁴

³ Tamże.

⁴ Janusz Serafin CSsR, *Kościół Jezusa Chrystusa*, w: *Homo Dei* 1/1995, s. 117.

Czy takim — rodzi się pytanie — widzą dziś Kościół ludzie XX-go wieku? Czym w ogóle jest dla nich Kościół?

Wielu utożsamia dziś Kościół z duchowieństwem. Kościół to księża, biskupi, no i papież. Mają nieraz bardzo nikłe wyobrażenia o Kościele, nawet katolicy uważający się za wierzących i praktykujących. „Trwają w Kościele mocą przyzwyczajenia. Nie kochają tak naprawdę Kościoła, nie czują się zań o d p o w i e d z i a l n i (...) nie umieją bronić go przed atakami”.⁵

Łatwo dziś krytykuje się Kościół, konkretnie: kler, bo niby Kościół to księża. Nie wiedzą, że i oni stanowią Kościół — są K o ś c i o ł e m. Stanowią wraz z Chrystusem, który jest Głową Kościoła, jeden żywy organizm — Mistyczne Ciało Chrystusa. Jest to wielki zaszczyt (katolicy winni być dumni z tego, że należą do Kościoła), ale i wielka odpowiedzialność. Odpowiedzialność za zbawienie własne, ale także innych ludzi. Uchyłać się od odpowiedzialności „robić uniki” znaczyłoby nie rozumieć swojej roli i miejsca w Kościele.

R o z m o w a z C h r y s t u s e m

Już pod koniec powstania warszawskiego (było to w Laskach koło Warszawy) Ks. St. Wyszyński przechodząc przez las zobaczył stertę spopielałych kart, przyniesionych przez wiatr. Na jednej z nich został niedopalony środek, a na nim słowa: „Będziesz miłował”. Ks. Wyszyński zaniósł to na dłoni do kaplicy, pokazał siostrom i powiedział: „Nic droższego nie mogła nam przynieść ginąca stolica. To najświętszy apel walczącej Warszawy

⁵ Tamże. s. 108.

do nas i do całego świata, Apel i testament... Będziesz miłował...”⁶

Będziesz miłował! Kiedy Cię, Panie Jezu, zapytał raz pewnego jeden z uczonych w Prawie, które z przykazań jest największe, dałeś mu natomiast bez niedomówień — jasną odpowiedź. Zanotował ją św. Mateusz. Znamy ją dobrze. „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i najważniejsze przykazanie. Drugie podobne do niego. Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy” (Mk 12, 23). Jak referuje św. Marek — ów uczony w Prawie nie był tym wcale zaskoczony. „Miłować Boga — powiedział — i bliźniego jak siebie samego daleko więcej znaczy niż wszystkie całopalenia i ofiary” (Mk 12, 23).

O Panie, z tych dwóch przykazań — najważniejszych: miłości Boga i bliźniego, chcą niektórzy wyłączyć (tak, wyłączyć!) miłość Kościoła. Mówią: miłować Boga — tak, Chrystusa — tak, Kościół — nie. Nie wiedzą chyba, że Kościół to Chrystus i z Nim zjednoczeni: papież, biskupi, kapłani, diakoni i wierni świeccy. Chrystus Głową, a my: duchowieństwo i wierni świeccy — członkami Mistycznego Ciała czyli Kościoła. O Panie, z jaką miłością odnosili się do Kościoła ojcowie Kościoła!

„Kochamy Pana Boga naszego. Kochajmy Jego Kościół — pisał św. Augustyn. Jego — jako Ojca. Jego Kościoła — jako Matkę”.⁷

⁶ Peter Raine, *Kardynał Wyszyński Prymas Polski*, tom I, Londyn 1979, s. 93.

⁷ Cyt. wg: Josemaria Escriva, *Kochać Kościół*, j.w., s. 60 (nr 30).

Przyszedłem rzucić ogień na ziemię i jakże bardzo pragnę, by on już zapłonął” (J 12, 12). Tak, Panie, zakładając Kościół gorąco pragnąłeś zapalić w naszych duszach ogień miłości. O tym ogniu miłości myślałeś, kiedy mówiłeś do swoich uczniów: A Ja, gdy zostanę nad ziemię wywyższony, przyciągnę wszystkich do siebie” (J 12, 32).

Czy naprawdę przyciągniesz wszystkich? Czy wszyscy pójdą za Tobą? Nie miałeś, Panie, złudzeń. Wiedziałeś, że nie wszyscy pójdą za Tobą, nie wszyscy przyjmą Twoją naukę. Wielu pójdzie za Tobą, ale nie zabraknie i takich, którzy będą przeciw Tobie.

O, Panie, stając się Twoim uczniem, dzieckiem Twojego Kościoła, zaciągając się w szeregi Twojego Królestwa (już od chwili chrztu świętego) wiem, jak wielki to dla mnie zaszczyt, ale też ogromna o d p o w i e d z i a l n o ś ć.

Mówi się, że dzisiejszym ludziom brak poczucia odpowiedzialności. Daje się to odczuć w pracy (mówi się, że dziś w wielu społeczeństwach praca jest „chora”); nieuczciwość, brakoróbstwo, niepunktualność, niedotrzymywanie umów...; w życiu społecznym: ucieczka przed ofiarą i poświęceniem (jak najwięcej odnieść korzyści, jak najmniej — wysiłku...), w życiu rodzinnym przerzucanie przez rodziców odpowiedzialności za wychowanie na innych, np. na szkołę... A przecież wszystkie te przejawy życia mają większy lub mniejszy, niekiedy decydujący wpływ na zbawienie człowieka.

Panie, jestem odpowiedzialny za zbawienie nie tylko swojej własnej duszy, ale także innych ludzi. Jestem odpowiedzialny za rozwój Królestwa Bożego we własnej duszy, ale także w duszach bliźnich. Jestem odpowie-

działny za wspólnotę parafialną, diecezję, Kościół i ludzkość całą.

R a c h u n e k s u m i e n i a

„Niezmiernym szczęściem — pisał Benson — musi być: nie wątpić, ale mieć wiarę stałą, mieć sakramenty, w które się wierzy, ufać, że się posiada niewątpliwą wiarę w Boskiego Mistrza, nie mogącego się mylić”.

- Jaki daję przykład otoczeniu?
- Jestem katolikiem? Czy zdaję sobie sprawę, co „to” oznacza?
- Czy z „godnością” noszę imię Chrystusa (niezależnie od tego, jakie imię otrzymałem na chrzcie świętym)?
- Czy to, że należę do Kościoła katolickiego jest przedmiotem mojej „chluby”? Może wstydzę się tego?

P o s t a n o w i e n i e

Modlić się za Kościół powszechny (katolicki).

L e k t u r a

Sylwetki matek kapłanów, Pallottinum 1981.

T e k s t

... Kościół różni się od świata i kieruje się swoimi wewnętrznymi prawami nadanymi mu przez Chrystusa. Niezrozumienie tego jest często źródłem niepotrzebnych kontrowersji. Nie rozumie się obecności w Kościele Urzędu Nauczycielskiego czy hierarchii kapłańskiej. Chce

się na siłę dostosować Kościół do współczesnego społeczeństwa demokratycznego, liberalnego, przesiąkniętego relatywizmem, sceptycyzmem, pragmatyzmem. Tymczasem w Kościele nie ma znaczenia większość głosów. Zarówno Urząd Nauczycielski jak i hierarchia kapłańska są właśnie znakiem rzeczywistości „nie z tego świata”: są znakami, że w Kościele najważniejszym jest Chrystus i Jego łaska udzielana przez sakramenty i posługę słowa, a nie ludzkie dzieła i ludzka siła wyrażona np. większością głosów czy bardziej „nowoczesną” doktryną. Jeśli Magisterium i kapłaństwo są jakąś władzą, to nie jest to bynajmniej jakaś „duchowa dyktatura”, lecz służba i misja (zaiste niezmiennie trudna!) uobecniania Chrystusa w Jego sakramentach i słowie: misja reprezentowania Króla, który nie nosił nigdy na głowie żadnej korony innej niż cierniowa ... Podobnie nieporozumieniem jest oskarżanie Kościoła o zacofanie. Kościół nie może odstąpić od nauki Chrystusa, która jest racją jego istnienia. Argumenty, że przez to „traci wiernych” są bez znaczenia. Kościół nie istnieje dla swojej potęgi i wpływów, lecz dla świata. A na pewno lepiej służy światu głosząc — choćby niepopularną, ale prawdziwą — swoją naukę, niż dostosowując się bezmyślnie do wszelkich trendów światowych, które zresztą dziś są takie, a już za 20 lat będą całkiem inne (...).

Kościół coraz bardziej zdecydowanie broni godności ludzkiej dziecka Bożego, godności szarganej coraz bardziej brutalnie przez bezduszne ideologie, polityczne totalitaryzmy, tyranie kultury masowej. Kto słucha wypowiedzi Jan Pawła II, ten bez trudu zauważa, jak niezłomowanie Papież walczy o sprawiedliwość społeczną, pokój, godność rodziny, ochronę środowiska naturalnego,

uzdrowienie tak bardzo dziś chorej ludzkiej pracy. Myślę, że mimo wszelkiej krytyki usiłowania te spotykają się z uznaniem. Nigdy jeszcze dotychczas Stolica Apostolska nie miała tak wielkiego autorytetu moralnego jak teraz. A nawet jeśli nas krytykują, to też dobrze. To znaczy, że Kościół jest zauważany, że się liczy. Najgorsza byłaby obojętność.

*Janusz Serafin, Kościół Jezusa Chrystusa (fragmenty),
w: Homo Dei 1/1995, s. 119–120.*

27. DUCH MISYJNY KAPŁANA DIECEZJALNEGO

Słowo Boże: Mt 28,18–20

R o z w a ż a n i e

Jest faktem (podają to statystyki), że ogólna liczba katolików w stosunku do ogółu ludzi wciąż maleje. Ogromna większość ludzi na kuli ziemskiej to ludzie jeszcze nieochrzczeni. Ich liczba stale wzrasta. Stąd rodzi się niepokojące pytanie: jaki los czeka po śmierci ludzi nieochrzczonych? Czy wszyscy skazani są na potępienie? Co na to Kościół?

W oparciu o podstawową prawdę wiary: Chrystus umarł na krzyżu za wszystkich ludzi — Kościół uczył i uczy, że wszyscy ludzie mogą się zbawić: ochrzczeni i nieochrzczeni. Pan Bóg może i rzeczywiście zbawia

także tych, którzy jeszcze nie poznali Chrystusa i nie dotarło do nich światło Ewangelii. „Śmierć Chrystusa na krzyżu — pisze kard. Karol Journet — ustanowiła nową i ostateczną ekonomię zbawienia. Tylko w imię Chrystusa i tylko w związku z Kościołem możemy być zbawieni. Bóg może zbawiać ludzi poza Kościołem, zwłaszcza tych, do których nie dotarło jeszcze światło Ewangelii, łaska nie ma żadnych granic, ale obecność łaski w duszach ludzi nie znających Chrystusa i Jego Kościoła jest już niewidzialną obecnością tego Kościoła, który czeka na obecność widzialną”.¹

Po co więc misje? Takie pytanie samo niejako się narzuca. Misje wydają się niepotrzebne, a trud misjonarzy daremny. Nierzadko można dziś spotkać się z taką opinią. Argument zasadniczy przeciwko misjom byłyby właśnie ten, że Chrystus umarł na krzyżu za wszystkich i każdy ma szansę zbawienia, nie tylko ochrzczeni. Odpowiedzią na tę pokusę (bo tak chyba trzeba to nazwać) jest bardzo wyraźne p o l e c e n i e Chrystusa: „Idąc na cały świat nauczajcie wszystkie narody udzielając im chrztu w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego” (Mt 28, 19). Chrystus, dając takie polecenie, myślał o wszystkich, dla których ustanawiał sakramenty święte. Iluż ludzi, tylko dlatego, że nie mieli „szczęścia” poznać Chrystusa i nie dotarło do nich jeszcze światło Ewangelii, nie może uczestniczyć, jak wierzący katolicy, we Mszy świętej i karmić się Ciałem Pańskim... Mówienie zatem, że misje są niepotrzebne jest tylko wielkim nieporozumieniem,

¹ Tygodnik Powszechny 43/1965.

niezrozumienie zamierzeń Bożych; świadczy, jak bardzo egoistycznie patrzy się na ludzi zdążających do niebieskiej ojczyzny.

Misje są zawsze potrzebne. Nic dziwnego, że Ojciec święty stosunkowo dużo miejsca poświęcił w posynodalnej adhortacji „Pastores dabo vobis” właśnie misjom. „Przynależność do Kościoła katolickiego poświęcenie się mu” nie może się ograniczać i zacieśniać działalności kapłana. „Dar duchowy otrzymany przez prezbiterów w święceniach — pisze Papież — przygotowuje ich nie do jakiejś ograniczonej i zacieśnionej misji zbawienia lecz najszerszej i powszechnej misji «aż po krańce ziemi» (Dz 1, 8), każda bowiem posługa kapłańska uczestniczy w owym uniwersalnym zasięgu misji powierzonej przez Chrystusa Apostołom” (Pastores dabo vobis, nr 31).

W dalszych słowach Ojciec święty — powołując się na swoją encyklikę „Redemptores missio” — powie: „wszyscy kapłani winni mieć serce i mentalność misyjną, być otwartymi na potrzeby Kościoła i świata”. A kapłani tych diecezji, w których jest więcej powołań — zwraca się Papież z konkretnym apelem — niech będą gotowi, za pozwoleniem i zachętą swego ordynariusza, pełnić posługi kapłańskie w krajach misyjnych.

R o z m o w a z C h r y s t u s e m

„Nikt mi (życia) nie zabiera, lecz Ja od siebie je oddaję. Mam moc je oddać i mam moc znowu je odzyskać. Taki nakaz otrzymałem od Ojca (J 10, 18).

Panie Jezu — to „dla nas i naszego zbawienia” — jak wyznajemy w mszalnym Credo — zstąpiłeś z nieba,

za sprawą Ducha Świętego przyjąłeś ciało z Maryi Dziewicy i stałeś się człowiekiem, by po latach umrzeć na krzyżu i zmartwychwstać ..., a wszystko po to (aż trudno w to uwierzyć!) abyśmy my-ludzie mieli życie i mieli je w obfitości (por. J 10, 10).

Tak więc wszyscy ochrzczeni — jak mocno w to wierzymy i ufamy — o ile będą żyć zgodnie z wiarą (tak jak wierzą), osiągną po zakończeniu swej pielgrzymki ziemskiej — z b a w i e n i e czyli p e ł n e ż y c i e. Nie okrucy życia, lecz życie wieczne, które nie ma, jak życie na ziemi — końca. Lecz... w niebie, wśród ogromnej rzeszy zbawionych są nie tylko ci, którzy przyjęli chrzest, ale ... także poganie, ludzie nieochrzczeni. Niektórzy jednak, sugerując się może Twoimi, o Panie, słowami: „Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony, kto nie uwierzy, będzie potępiony” (Mk 16, 16), widzą ich na dnie piekła.

Czy mogą, o Panie, być potępieni ludzie, którzy — nie z ich winy — nie mieli „szczęścia” poznać Ciebie i Twojej nauki i dlatego nie przyjęli chrztu świętego?

O Panie, Twoje zlecenie dane uczniom, by szli na cały świat i nauczali wszystkie narody, jest zawsze aktualne, nigdy nie wygaśnie.

W roku 1973 — jak podawała prasa katolicka² — ks. Józef Urpsza, kapłan Towarzystwa Jezusowego, w 95 roku życia obchodził 25-lecie święceń kapłańskich. Jak

² F. Paluszkiewicz, *Samarytanin*, w: Przewodnik katolicki 41/1973, s. 373.

podkreślano — w ciągu tych dwudziestu pięciu lat kapłaństwa z niezwykłym poświęceniem służył ludziom chorym i cierpiącym. Dla nich — w ich domach sprawował Msze święte. A wcale to nie było łatwo kapłanowi w podeszłym już bądź co bądź wieku, wspinać się na któreś tam piętro po niewygodnych częstokroć schodach. Lecz... jaka to była radość dla chorych, którzy nie opuszczając łoża boleści mogli w pełni uczestniczyć we Mszy świętej. (U c z e s t n i c z y ć! — nie tylko „słuchać”, jak we Mszy świętej transmitowanej przez radio.)

O, Panie Jezu, jakże „biedni” muszą być nasi bracia, którzy nie mogą spotykać się z Tobą, jak my, kiedy na naszych oczach uobecnia się Przenajświętsza Ofiara Krzyża! Jakie straty duchowe ponoszą bracia i siostry, nie znając Ciebie, Panie Jezu... nie, zasilając swoich dusz Twoim Przenajświętszym Ciałem i Krwią w sakramencie, który od dawien dawna nazywamy N a j ś w i ę t s z y m!

O Panie, jakże wciąż jest na czasie — zwłaszcza dziś — wołanie Ojca świętego o m i s j o n a r z y! Jak wdzięczny jest Kościół tym kapłanom, którzy — pomni na Twoje słowa, o Jezu: „idąc na cały świat nauczajcie wszystkie narody ...” — opuszczają swoje domy, rodzinę, ojczyznę, w której się urodzili i wychowali (bywało, już na zawsze!) i udają się do krajów misyjnych!

Jak wdzięczny jest Kościół i tym także, którzy wspierają misjonarzy modlitwą! Z daleka od krajów misyjnych, z francuskiego klasztoru karmelitańskiego w Lisieux, kierując się kobiecą intuicją, a może więcej — wiarą, św. Teresa od Dzieciątka Jezus dużo się modliła za misjona-

rzy i o powołania misyjne. Nie była to bynajmniej modlitwa zdawkowa.

Święta łączyła modlitwę z życiem, które w klasztorze klauzurowym wcale nie było łatwe. Tylko Tobie, o Panie, wiadomo, ile ofiar, wyrzeczeń, umartwień i zwycięstw nad sobą szło każdego dnia do nieba na intencje misji. Nic dziwnego, że właśnie ją, która nigdy nie była na misjach, ogłosił Kościół patronką misji.

R a c h u n e k s u m i e n i a

- Czy wspieram misjonarzy modlitwą?
- Czy zachęcam wiernych do modlitwy o powołania misyjne?
- Jak przeżywa wspólnota parafialna Tydzień Misyjny?
- Czy ofiary składane na misje przekazuję na ten cel?
- Co ja — od siebie — daję na misje?

P o s t a n o w i e n i e

Na modlitwie — w czasie nawiedzenia Najświętszego Sakramentu — będę się modlił, by Pan powołał jak najwięcej gorliwych misjonarzy do ewangelizacji świata.

L e k t u r a

Leszek Malewicz, *Misjonarze polscy na świecie, Nasza rodzina* (numer specjalny 1976 i 1977).

NOC PIERWSZA

O Panie mój, powiedz mi — czy mam to uważać za znak?

Twój sługa wygnał mnie w ciemną noc. Znieważył mnie, zagroził policją. Myślał może, że jestem złodziejem. Albo brał mnie za wariata. A jeśli u drzwi każdej plebanii mnie to spotka? Chyba wpadłem na kiepski pomysł.

Wygnał mnie... A przecież gdybym nawet był wariatem albo złodziejem... Dopiero u tej nędzarki znalazłem schronienie. I to za pieniądze, których już prawie nie mam.

Tak. W tej izdebce nawet Pan Jezus mógłby się narodzić. Większe ubóstwo rzeczy, gorszą parodię ludzkiego mieszkania trudno sobie wyobrazić. Tektura zamiast szyby w oknie, brudny stół na połamanych nogach, trochę słomy w kącie. Gliniana polepa o barwie smoły. Kopcąca lampka wydaje się tu świetlnym intruzem... szczęście, że mi ją babina dała. Modlić się już nie mogę. Będę pisał, dopóki się nie zmorduję. Może wtedy zasnę.

Czy ja naprawdę źle... głupstwo jakieś... bez sensu... Ale powiedz mi, Boże, odpowiedz mi, Boże mój, co ja mam robić? Bezczyнным dłużej być... Nie! Żadnej pracy systematycznej, o ustalonym z góry porządku — Ty wiesz przecież dobrze — ja wykonywać nie potrafię. Nie zdołam znieść... Owszem, dają

mi teraz pracę i schronienie. Za późno! Na takie kalectwo nie ma rehabilitacji.

O tekturę deszcz puka, deszcz puka wiosenny... Ale mnie to nie usypia. To otrzeźwia jak werbel. Zabierzmy się więc do rachunku sumienia szczegółowego. Będziemy wszystko zapisywać, jak na śledztwie.

Dowiedziałem się więc nareszcie od lekarza. Wydobyłem z tego obłudnego mruka, że choroba moja jest nieuleczalna. Co to za choroba? Wszystko — powiedział — wszystko jest zepsute. Serce, nerwy, żołądek — ruina. Jak długo mogę jeszcze żyć? Może rok, a może dziesięć lat. „O ile będzie się pan szanował, dobrze się odżywił, długo sypiał...” Dobrze sobie! Kiedy ja nie mogę prawie nic jeść. Nie mogę spać. Żadne środki...

Diagnozę lekarską należy brać od strony najczarniejszej, tak jak pogodę przewidujemy z najbardziej niepokojących prognostyków. Zostaje mi więc rok życia. Rok życia... czy to mało? Przez rok można się uświęcić. I można sobie przygotować mieszkanie na dnie piekieł. Sto lat — dziesięć lat — jeden rok — jedna minuta — wielkości względne. Jedna minuta może zdecydować o tym, co będzie zawsze — o zbawieniu albo o potępieniu wiecznym.

Więc jeden rok. Chciałem ten rok... O Panie mój, i znów robisz mi na przekór! Pod Twoim niebem nie ma przypadku. „W Tobie żyjemy, poruszamy się, jesteśmy.”

Odebrałeś mi rodziców na progu życia. Gdy o głodzie i chłodzie, szalonymi szarżami... szkoła... uniwersytet... Suche dnie, przy których bledną posty

eremitów. A gdy zdobyłem dyplom — lata bezrobocia. A gdy zdobyłem pracę — wojna.

Na progu wolności — obóz. Inni wcześniej tam trafili. Ja byłem tylko miesiąc, ale i to dla mnie nadmiarę. Miesiąc nocy nieludzko przeciążonej umiarem. Wywiodłeś mię z niej jednak, Panie. Otoczyłeś dobrymi ludźmi, pozwoliłeś odpoczywać, czytać mądre książki. Nie marnowałem czasu. Poznawałem Twoją prawdę. Karmiłem się Twoimi natchnionymi Księgami. Zapragnąłem oddać się tym, za których umarłeś, głosić Twoją Dobrą Nowinę, uczyć Twojej miłości, Twego pokoju, aby więcej już w łonie chrześcijańskich narodów nie wylął się potwór wojny.

Nie przyjąłeś mnie na swój żołądek. Tobie potrzeba zdrowych, dzielnych żniwiarzy, a ja jestem ochłapem. Tak, wiem, moje zamierzenia były szalone. Pycha. Bo potem okazało się, że do żadnej pracy, którą wykonują przeciętni ludzie, już nie jestem zdolny. Wszyscy ofiarowywali mi pracę. Wszędzie jest tak dużo pracy — o ironio! — ja pracować już nie mogę. Sama egzystencja stała się dla mnie pracą. Aby żyć, muszę się zdobywać na skomplikowane zabiegi. Nie mogę usiedzieć na miejscu. Muszę ciągle gdzieś iść, iść, iść, aby osiągnąć odrobinę spokoju i nadzieję, że wraz ze zmianą otoczenia coś się we mnie zmieni radykalnie, że „odrodzi się młodość moja, jak orłowa” i że będę mógł znów pracować... Tak bym chciał jeszcze pracować! Tyle rzeczy teraz wiem, tyle rzeczy mię rani, napełnia buntem, tak pragnę, pragnę... Boże, tak mocno pragnę...

Panie mój, okaż mi swoje miłosierdzie... Chciałem ten rok życia, może ostatni...

Kłęczałem wtedy w kościele przed ołtarzem Twojej Matki... zdawało się, że mnie błogosławi na pielgrzymkę... Czy jest w tym coś złego, że nie chcę być tam dłużej? Że postanowiłem podróżować piechotą po kraju, który Ty pewnie kochasz najbardziej ze wszystkich na świecie, pukać do drzwi każdej plebanii i prosić Twych pomazańców, szafarzy Twego miłosierdzia, o schronienie w zamian za usługi, które mogę jeszcze ofiarować? Nauczyłeś mnie ostatnio wiele. Czy podobna oferta jest zbyt śmiała? Poznałem ogień słowa Bożego... Czy jest w tym coś gorszego, że chcę pomóc?... Dla dobra Twoich dzieci...

Panie, odezwij się, przemów...

Czy Ty nie obawiasz się, że stracę wszelką nadzieję... tak jak tamci, w obozie?... Nie, to nie oni tracili wiarę. To wiara ich traciła. Twoje palce nie mogły już grać na splątanych, pozrywanych strunach. Do Łaski potrzebna jest natura. Ziarno Łaski w glebie do cna wyjałowionej przez szatańskich katów... Twoja Łaska zamierała jak piękna roślina w bryle lodu, gasła jak pochodnia bez powietrza, przestała się rysować jak obraz w potrzaskanym lustrze. Żywe barwy wiary spłowieły w nich do szarości, do mroku. Zapominali swoją wiarę, tak jak zapominali swe nazwiska. Nie poczytywałeś im chyba tego za winę, Dobry Boże. Ich bluźnierstwa — to bełkot pijanego niehumanitarnym nieszczęściem, przy którym cierpienia Joba są zabawą, ich przeczenia — to bełkot zepsutych automatów, opętanych potwornym, apokaliptycznym głodem, który zatruwa strasznym jadem, miążdży, jak wielka góra przybija do ziemi,

zabija przed śmiercią... Tego nie zrozumie nikt, nikt, kto nie był...

Janek, który wdrapuje się jak kot na jabłoń przy murze, chociaż komendant go uprzedza, że za zerwane owoce dostanie kulę w brzuch. Umiera z jabłkiem w ustach. Czy on winien, że to nie była Hostia święta? On nie popełnił samobójstwa. Nie sprzedał Królestwa Bożego za miskę soczewicy.

Gdy modłę się za nich, za tych nieludzko wynędzniałych nuworyszów Bezwiary, wydaje mi się, że składam wieńce na grobach męczenników. Ja nie...

Już wiem. Odpowiedział mi Twój Święty, odpędzany w noc ciemną i mroźną od furty macierzystego klasztoru i radujący się z tego powodu radością doskonałą. Pójdę dalej tą samą drogą. Tylko poniosę w zanadrzu także i skromniejsze propozycje: może jest coś do zreperowania w domu. W czasie studiów zarabiał się rozmaicie... Aparat radiowy, żelazko do prasowania, fisharmonia, albo jakiś drobiazg oczyścić, skleić... znam się po trochu na wszystkim.

Ale i temu księdzu zostawię po sobie pamiątkę. Tak, rano pójdę jeszcze raz na plebanię i zaniosę mu nie kazanie, ale petycje tych, do których on mówi swoje kazania. Będzie to wyglądało tak:

Kładzicie nam w uszy: Prawda, którą głoszą przedstawiciele Kościoła, wcale nie potrzebuje się legitymować ich osobistą świętością. Głupiec tylko lekceważy piękne nauki i moralne nakazy, dlatego że wychodzą z ust lichego kapłana. Msza jest jednakowo ważna, czy odprawia ją ksiądz anielski, czy ksiądz szatański. Wszak sakramenty, jak naucza teologia, działają *ex opere operato*, nie *ex opere ope-*

rantis. To znaczy, że moc zbawczą sakramentów zawdzięczamy im samym, a nie doskonałości ich szafarzy. Najczarniejsze przeto ręce nie zabrudzą nieskalanej bieli Hostii, w której jest żywy Chrystus, ten sam zawsze i wszędzie. Czy Zbawiciel był mniej wspaniały wśród oprawców na Górze Trupiej Głowy niż wśród apostołów na Górze Błogosławieństw?

Wy patrzcie na siebie. Nie zapominajcie, że i kapłan jest człowiekiem, a ludzie są ułomni. Kto z was jest bez grzechu? Kto się ośmieli pierwszy rzucić kamień? Raczej podziwiać wam trzeba, że Kościół, mimo ułomności swoich członków, trwa niewzruszenie od tysięcy lat, a ze wszystkich wyznań religijnych ziemi najwięcej ma wyznawców. Czyż właśnie to nie jest dowodem jego prawdziwości? Nie martwicie się na próżno. Cokolwiek by się stało — istnieje gwarancja: „Bramy piekielne nie zwyciężą go”.

Kłonimy głowę przed prawdą. Bez zastrzeżeń uznajemy słusność mądrych komunałów — my, prości ludzie, którzy chętnie dajemy się pouczać i nie wierzgamy przeciw ościeniowi.

Ale dlatego, żeśmy prości, zwykli, żeśmy szare owieczki Kościoła świętego — mamy wielkie pragnienia. Tym większe, im większa jest nasza bezsilność. Czy kopciuszkom w zaduchu kuchni nie wolno marzyć o balowej sukni? Czy tylko w bajce zdobywają pierścień królewicza?

Wysłuchajcie nas, prosimy, cierpliwie. Dajcie nam — niemowom — na chwilę głos. Bo — widzicie — wielu z nas nie znało kiedyś wcale Kościoła Bożego. I nigdy nie trafilibyśmy do jego bram, gdyby

nie ręka jakiegoś dobrego, gorliwego kapłana, która nas do nich doprowadziła.

Owszem — słuchaliśmy przedtem nieraz płomien-nych kazań, czytaliśmy pobożne książki. Ale to wszystko nie pomagało. Trzeba było dopiero tej uczciwej, ludzkiej ręki, abyśmy wyzbyli się swej nieufności, uwierzyli, że ręka ta należy do Boskiego pomazańca, abyśmy dali jej się nakarmić Chlebem Życia, abyśmy sami zbliżyli usta do Kielicha zbaw-czej Krwi.

Tak, my wiemy, że to nie świadczyło o nas dobrze. Byliśmy na tyle ograniczeni, że nie odróżnialiśmy plew od ziarna. Naszej tępoty nie zdołały rozruszać najbardziej logiczne wywody, najbardziej oczywiste tezy. Nasze przyziemne, niewiarygodne niedowiar-stwo sprowadzało na nas ślepotę: nie uznawaliśmy istnienia ogromnego drzewa, dopóki nie spróbowali-śmy jego owoców. Aby uwierzyć w Królestwo Boga, musieliśmy je najpierw zobaczyć w człowieku.

I może dlatego pokutuje w nas pewien uraz... nie, nie — wybaczcie nam naszą zarozumiałość — nie uznajemy tego za uraz, uważamy to za naszą zdo-bycz, za prawdę, której nauczyliśmy się na sobie samych i którą będziemy wam podsuwać natrętnie przed oczy, chociaż ją zapewne dobrze znacie: Bóg działa na ludzi przez ludzi. Apostoł wtedy rozwija działanie Boga na świecie — kiedy się sam Nim wy-pełni. Światło życia trzeba całkowicie posiadać, aby można je było dalej przekazywać. Dlatego osobista świętość kapłanów jest najprawdziwszym i najbar-dziej podstawowym czynnikiem duszpasterskim. Praca apostołska jest zdawaniem egzaminu nie tyle z wiedzy i umiejętności, co ze świętości. Losy Ko-

ściola w waszych leżą rękach. Od was zależą jego wzloty i upadki, wieczne szczęście lub nieszczęście milionów ludzi. O, jak wy wiele możecie, jak wielka jest wasza odpowiedzialność!

O, błagamy was i zaklinamy, nie wierzcie modnym prorokom dwudziestego wieku! Nie bierzcie przykładu z ksiązek tych prześwietnych i przesławnych pisarzy katolickich, tłumaczonych na wszystkie języki i trafiających pod poduszki kleryków. Oni nie mają warg oczyszczonych ognistym kamieniem Iza-jasza. Zdobywają rozgłos za cenę przypodobania się miernocie, która nadaje ton dzisiejszemu chrześcijaństwu, trzymają świecę pod dzieżą, aby nie raziała oczu pobożnych kretów, po sto razy wysmażają na swoich wykwintnych rusztach tematy leżące na peryferiach życia: faryzejską obłudę, zbawienie notorycznych grzeszników, sposób napelnienia Łaską nędznego kapłana. Wy to znacie, wy o tym wiecie, ale wam potrzeba czegoś więcej, nieskończenie więcej, wy nie możecie żyć cieniem cienia!

Na kartach tych nudnych epopei Łaska zakwita gdzieś czasem jak anemiczna roślina, którą trudno dojrzeć pod lupą; za to bujnie kwitnie minimalizm, sprzeczny z duchem Dobrej Nowiny. Te smętne dzieła nie ogrzewają ogniem Bożym, nie objawiają świętości. To nieprawda, że pokazują realnych ludzi, one pokazują namiastki ludzi! Nie są natchnione przez Panią wszystkich rzeczywistych poetów, przez Królową proroków, która jest pełna Łaski i rozdziela hojnie bogate dary przesłańcom swego Syna.

Są wprawdzie wyjątki. Ale nawet ten, któremu udawało się mówić o Łasce jak o dotykanej rzeczy-

wistości, Bernanos, który umiał Ewangelię na pamięć, nie pamięta, że radość słuchaczy Słowa musi być pełna. Nawet książka, którą zatytułował „Radość” — jest pełna smutku. „Bóg rzuca nas między siebie a szatana, jako ostatni szaniec” — powiada jeden z jego Świętych. Eon manichejczyków też wysłała człowieka do beznadziejnej walki z szatanem. Ci księża, upozowani na świętych, są wypaleni z radości jak żużle w straszliwym piecu. A my przecież, wedle słów Apostoła, „mamy radować się zawsze w Panu”. *Hairete en Kyrio pantote!* To nie zachęta, to nakaz. W tych książkach czuje się Boga, ale negatywnie, widzi się Jego profil w zwierciadle diabła. „Szkaradny towarzysz, przyczepiony do naszych boków, wznoszony do góry na skrzydłach wszystkich najgorętszych naszych modłów” — to potwór nierealny. W chwili gdy najnędzniejsze dziecko ludzkie najnieudolniejszym ruchem wyciąga ręce do Ojca — Bóg z całą swą potęgą wychodzi mu naprzeciw. Schyla się ku niemu całym ciężarem swej bezgranicznej dobroci. Pomędzy tych dwoje nikt się nie wciśnie... prócz Pośredniczki wszystkich łask, Protektorki wszystkich modlitw. Ona czuwa. Nie dopuści, abyśmy, prosząc o dobre rzeczy, otrzymywali kamienie i skorpiony z łaski szatana. Ona starła głowę węża. Nie, nie, nawet te wstrząsające pamiętniki w epoce Matki Słowa są anachronizmem.

Każdy pisarz chrześcijański — to przesłaniec Boży, który porywa garść gwałtowników i umiera, zatruty wzgardą możnej miernoty. Każdy prawdziwy twórca chrześcijański jest przeznaczony na „powstanie i upadek wielu, na znak, któremu sprzeciwić się

będą”. On musi być heroldem Radosnej Wieści, gońcem zwycięskiej Łaski.

Tylko Święty może napisać dobrą książkę. Czytajcie książki Świętych! Czytajcie Katarzynę ze Sienny, która mówi: Gdyby nawet lud chrześcijański cierpiał na wielki brak księży, bardziej należy cieszyć się z jednego świętego niż z tysiąca marnych. Bo jeden kapłan wedle ducha Bożego lepiej przysłuży się Kościołowi niż wielu obojętnych i letnich.

Wierzcie nam, na Boga, wierzcie, że tak jest. To prawda, że i przez najgorszego kapłana może spływać Łaska czysta jak kryształ i pałaca jak ogień, ale najczęściej spływa tylko zgorszenie i nienawiść. Kapłan zły — to nasz największy wróg. On burzy Kościół i zabija nasze dusze, on odpycha nas od Łaski, zamyka maluczki bramy do prawdy, sam nie wchodzi i innym nie daje wejść, niszczy załączki wiary, rozpala nienawiść i staje się przyczyną wiecznego potępienia. Każdy kapłan mierny jest kapłanem złym.

Nie przyglądajcie się bohaterom w sutannach sławnych powieści katolickich, stworzonym na obraz i podobieństwo autora. Nie takimi wam być kazano.

Raczej czytajcie najpiękniejszą powieść chrześcijańską — Ewangelię. Tam szukajcie swojego wzoru.

Czy to nie do was Ktoś powiedział: „Gdybyście mieli wiarę jako ziarnko gorczycy, rzeklibyście tej górze: Przejdź stąd tam, a przejdzie i nic nie będzie wam niemożliwym. I wszystko, o cokolwiek modląc się prosicie — wierzcie, że otrzymacie. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto wierzy we mnie, ten dokaże czynów, które ja spełniam, a nawet większych rzeczy dokona”?

My wierzymy Bogu. On nie kłamie. I czekamy z utęsknieniem, ze drzeniem na wasze wielkie uczynki, które — jak mówi Ewangelia — mogą być większe niż dzieła Chrystusowe. Dlaczego ich nam odmawiacie? Jeżeli możecie góry przenosić, czemu nie unosicie myśli naszych ku Światłom Boskim, nie roztopiacie tych brył lodu, które nosimy w piersi, słowem gorejącym i czynem, który zdumiewa? Czemu nie unosicie potwornej góry ludzkiej obojętności na przedziwne sprawy Boże, na straszliwy dramat, który się rozgrywa na naszych oczach, i nie rzucacie tej góry w otchłań bez dna?

O, nie mówcie, że to dla was niemożliwe, my znamy wasze możliwości!

Dlaczego krzyż jest dla nas świątobliwym, martwym symbolem, a nie wiecznie krwawiącym wykrzyknikiem nad życiem? O, dokonajcie tego, wy, którzy góry przenosić możecie, aby przypominał nam sprawę istotną, jedynie ważną. Niechaj zdarzenie, które miało miejsce dwa tysiące lat temu, wstrząsa nami ciągle na nowo. A może w ciągu dwudziestu wieków ludzkość nie tyle zobojętniała na krew Nieвинnego, ile nie zdążyła sobie jeszcze wyobrazić Jego dramatu?

Mówcie więc o tym niesłychanym wydarzeniu, ale mówcie tak potężnie, aby przepaliło nam serce, wżarło się w krew i kości! Wieść o nim rozgłaszajcie wszędzie, jakby dopiero wczoraj miało miejsce, jakby to była najświeższa nowina. Jakby to był właściwie jedyny fakt, którym warto się interesować. Temat niewyczerpany! Temat dziewiczy, nienaruszony! Czy godzi się go nazywać tematem, tę boską rewelację dla wszystkich?

Krzyż na skale wysokiej, na nim Ciało wyniesione pod gwiazdy. Ciało samotne, napięte jak struna, na tle ciemności i błyskawic krzepnących na niebie w okropne znaki zapytania... Ciało najwspanialsze, Ciało Jedyne Syna Bożego.

Któż kiedy oddał wielkość tej chwili? Od makabrycznych płócien Grünewelda, poprzez nieskończoną ilość wizerunków Ukrzyżowanego, aż do słodkich twarzy Angelica — wszystko to... ach! Zdarzenie jedyne, niewiarygodne i nieoczekiwane, ludzkie i nadludzkie, bijące w oczy prawdą, krzyczące miłością, zginające kolana. Gdzie dramaty na miarę Ajschylosa? Czego nie dokonał swoim geniuszem Dante, Szekspir, Mickiewicz i Claudel — dokonajcie wy słowem swoim i czynem. O, nie mówcie, że to dla was niemożliwe, wy nie znacie swoich możliwości!

„Świętymi bądźcie” — mówi Bóg najpierw do was, którzyście najwięcej otrzymali. Jesteśmy bezwzględnie pewni, że nie odmówi wam nadzwyczajnych, nadludzkich pomocy Ten, który wszystkim nakazał: „Bądźcie doskonali, jako Ojciec wasz niebieski doskonały jest”. Zgódźcie się więc z wolą Bożą, dajcie Bogu w sobie działać, pozwólcie, aby was uświęcił — błagamy was o to z całej duszy!

Błagamy w imieniu własnym i w imieniu tych naszych braci, którzy błakają się po manowcach, którzy umierają z głodu i pragnienia jedynie dlatego, że wy nie chcecie zostać Świętymi!

Przecież nie zawsze tak było. Przypomnijcie sobie pierwsze miesiące w seminarium. Z nielicznymi wyjątkami, każdy z was wiedział, w jakim celu wkłada na siebie królewski mundur. Każdy z was nosił w tornistrze buławę marszałkowską. Każdy z was

drżał z niecierpliwości, oczekując dnia, kiedy będzie już wolno czerpać z Pańskiej winnicy. Każdy pragnął iść w ślady jakiegoś Jana czy Franciszka, postanowił solennie zostać nowym Pawłem, nowym Augustynem.

Dlaczego tak rychło ostygliście w swoich zapalach? Czemuż to obecnie, z nielicznymi wyjątkami, staliście się czcigodnymi i wielebnymi, którym ludzie ustępują z drogi i nisko się kłaniają, z którymi raz około Wielkiejnocy załatwiają swe duchowe rozrachunki, ale którym nikt nie rzuca się w ramiona, aby wypłakać w nich cały ból życia, nie szuka w nich ratunku i obrony?

Czemuż tak rychło w swoim zawodzie przeszliście na emeryturę? Czyż nie wiecie dobrze o tym sami, że w pracy nad uświęceniem nie ma emerytur? Że jest ona wieczną walką, trudem i niepokojem? Że po sześćdziesięciu i stu latach krwawej drogi Cel jest wciąż nieskończenie daleko? Że im wyżej się ku Niemu wspinamy, w tym głębszą wpadamy otchłań, im bardziej zaspokajamy Nim swój głód, tym bardziej i rozpaczliwiej stajemy się nienasyчени?

Ach, po cóż to wszystko mówić, przecież wy lepiej od nas znacie te sprawy. Znacie wszelkie drogi i sposoby. Wiecie o tym doskonale, że robotnik ma swoje dni wypoczynku, nauczyciel swoje wakacje, urzędnik urlopy — ale dla was nie ma wakacji ni urlopów. Wasze dusze muszą być ciągle w akcji, nie mogą zaznać nigdy błógiego spoczynku. Dla was każdy dzień, każda godzina, każda minuta jest czasem pracy dla Boga. Nie możecie ani na sekundę się zatrzymać,

obejrzyć się za siebie, bo zaraz spadacie niżej. To jest prawo dla wszystkich — reguła bez wyjątku.

Ojciec Święty ma wielką władzę. Może nam nie poskąpić żadnej dyspensy, może za wymówienie trzech słów *toties quoties* udzielać odpustów zupełnych. Ale i on wam nie może udzielić dyspensy od bezustannego uświęcania się. Nie może jej wam udzielić nawet sam Bóg.

O, zapewne, zawdzięczamy wam bardzo wiele.

Przybywacie w zaraniu i o zmierzchu naszego życia, pokrapiacie nas i namaszcacie, rozgrzeszacie i błogosławicie, obdarzacie bezcennymi darami. Ale my chcemy jeszcze więcej, jesteśmy nienasyceń.

Choćbyście śpiewali na stopniach ołtarza głosami anielskimi, nocowali w konfesjonałach, kazania mówili tak wzniosłe, że porywałyby nas do siódmego nieba, a nie żylibyście jak Święci — nic to nam nie pomoże.

Cóż z tego, że co dzień w waszych rękach staje się cud niepojęty, przy którym rozmnożenie pięciu chlebów w pobliżu Betsaidy wydaje się zabawką? Moc wasza jest zaiste straszliwa: jednym słowem potraficie w Żywego Boga zamienić wszystkie chleby całego świata! Ale my omijamy stoły zastawione Boskim winem. Nie sięgamy łąpczywie po strawę nieśmiertelnych. W pobliżu uczt królewskich błakamy się krnąbrni i smutni, jak owce bez pasterza, wężymy za czymś jeszcze, wszystkiego nam za mało. Nie wystarcza nam siedem przedziwnych sakramentów, my pragniemy jeszcze więcej — waszej świętości!

My wiemy, że i naszym jest ona obowiązkiem. Jesteśmy jej zgłodniali. Ale potrzeba nam przykładu z góry. Nie tylko mówcie nam o niej: pokażcie, jak

się to robi! Jeśli sakramenty są widzialnymi znakami niewidzialnej Łaski — wasza świętość będzie dla nas namacalnym dowodem całego niewidzialnego świata, będzie samą Łaską, doprowadzi nas do źródeł wszystkich sakramentów, otworzy nad nami upusty niebieskie, zrosi nas i uprawi, rozmnoży w stokrotny plon.

O, nie odmawiajcie nam rosy, bez której usychamy, Łaski, bez której kamieniejemy, nie odmawiajcie nam sakramentu, bez którego umieramy!

Chociaż głos nasz to tylko bek nierozumnych owiec — wysłuchajcie go. Wyrывa się nam z samych trzewi, nabrzmiewa szlochom najtajniejszych naszych tęsknot.

Wyście naszą chlubą i skarbem. Chcemy was stawić na świeczniku i przystrajać w pióra wszelkich cnót. Chcemy, byście w nocach naszego życia błyszczeli, jak gwiazdy pierwszej wielkości.

Bądźcie dzielnymi administratorami, subtelnymi teologami, mądrymi politykami, mecenasami sztuk, bojownikami postępu — lecz ponad to wszystko pragniemy, żebyście byli świętymi. Żeby was popędzała, rozsadzała i wyniszczała „przewyższająca wszelką umiejętność — miłość Chrystusowa” do ludzi. Zanurzcie się w niej i zapalcie. Zapłońcie jak pochodnie. Niechaj bracia nasi, poganie, przypatrują się wam ze zdumieniem, niech każdy, kto was zobaczy — wykrzyknie: O, jaki dobry i mocny, jak pełen ognia i światła musi być ich Bóg!

NOC DRUGA

Naturalnie, że napiszę ci o miłości, drogi, kochany księżu! Co za nadzwyczajny człowiek! Przyjął mnie jak brata, nie, przyjął jak syna, a ugościł jak króla.

— „Z nieba mi spadłeś, bracie, na takich właśnie czekam! A może sam powiesz to kazanie? Widzisz, ja mam nieszczególny głos... Dla moich owieczek będzie to atrakcja, że świecki człowiek mówi o takich pięknych rzeczach. Dasz mi tylko przedtem do przeczytania. Zbierzemy się w naszym kościółku, który mi służy za salę parafialną. To nie szkodzi, że rozmawiamy sobie w obecności Pana Jezusa Eucharystycznego. To jeszcze nam ułatwia ćwiczenie się w pamięci o obecności Bożej. Wszystko należy robić tak, jakby Pan Jezus patrzył na nas z bliska. Bo On jest bliżej jeszcze, niż sobie wyobrażamy, On jest w nas wraz z Ojcem i Duchem... To jest prawdą naszej wiary, nieprawdaż?”

A ja już byłem bliski zniechęcenia. Jaki dobry jest Pan! Śmieszne, krążyłem koło kościoła i nie mogłem do niego trafić. Mówili mi, że nigdzie nie ma takiej parafii. Rzeczywiście, ludzie tu jacyś nadzwyczajni, usłużni, mili. Kościoła nie mogłem dojrzeć, bo niski, niepozorny, jak długa szopa. Mówią: „tymczasowy”, na miejsce zbombardowanej świątyni. Oby zawsze stał taki, jakim jest. W tej szopie dobrze się modlić. Zachwycający ołtarz, którego jedyną ozdobą jest

krzyż, wyrzeźbiony przez miejscowego świątkarza. Muszę koniecznie poznać tego człowieka.

Prosty, drewniany stół, na nim lniany obrus z ludowym wzorem. Trochę kwiatów i puste ściany. Cudownie! Uwagi nic nie rozrywa, żadne cacko nie bawi oka. Tamten kościół był podobno wspaniały. Arcydzieło sztuki. Nie mogę sobie jednak wyobrazić nic wspanialszego jak ta szopa. Jest może godniejszym domem Bożym niż inne. Bo kościoła nie budują architekci, lecz modlitwy. Ksiądz Dominik... to wszystko jego sprawy. Podejrzewam...

Mówią, że nie zbiera żadnych datków. Śluby, chrzty, pogrzeby— wszystko darmo. Tacy na Mszy nie ma. Na nic nie zbiera, ani dla siebie, ani dla kościoła, który umyślnie chyba utrzymuje w największej skromności, czym sobie już naraził kilka możliwych dewotek. Odwiedza często parafian, ale nie chodzi nigdy „po kołędzie”. Potrzebami kościoła zajmuje się Rada Parafialna, a potrzebami księdza — on sam. Stołuje się u biedaków w sąsiedztwie, których zresztą wspomaga. Pracuje własnymi rękami. Ten warsztat tkacki... jakby echo *Listów Pawłowych*. Zresztą utrzymanie takiej plebanii niewiele kosztuje. Jeśli kościół jest szopą, to plebania szalasem. Domek na kurzej łapce o dwóch izdebkach. Jak w bajce. Wszystko to wydaje mi się bajką, snem, z którego boję się obudzić. Swoją drogą, ksiądz Dominik zna się na dobrych obrazach.

Jak dobrze mi tu leżeć w cieniu ogromnego warsztatu, który zajmuje pół izby. Pierwszy raz widzę taką drewnianą machineę. Ksiądz Dominik wyrabia na niej tkaninę z wełny strzyżonej, przedzionej i farbowanej przez swoich parafian. Tyle mi mówiono

o tym domku po drodze. Pocziwy ksiądz odstąpił mi swój własny pokój i swoje łóżko.

— „Dobrze się składa, bracie kochany, akurat jadę na spowiedź i wrócę dopiero jutro rano. Czuj się jak u siebie w domu. A jutro ci wynajdziemy wygodniejsze mieszkanie. Odpoczniesz sobie, pomożesz nam, pogadamy, może tu zostaniesz...”

To jest tak właśnie, tak, tak jak... ach, jestem wzruszony, oszołomiony, nie mogę pisać o miłości, bo trafiłem, bo wlażłem w nią obiema nogami i roztapiam się, wygrzewam... Panie mój, kocham Ciebie!

Dziwna, urocza izdebka... Nie rozumiem przeznaczenia większości sprzętów. U powały zawieszona sieć rybacka przecina pokój na pół... Czy ma służyć jako zasłona dla łóżka? Ogromnie mi się to podoba. Półki z książkami majaczeją za nią w mglistej perspektywie, oddalają się, pokój rośnie, człowiek czuje się bezpieczny za tą siatką, chroniony przed... przed... To jakby bungalow misjonarza.

Granatowe morze nocy napiera na niewielkie okienko. Milczące, ciche morze. Biurko w kącie przyklepiło się do ścian, niewidocznych prawie spod arkuśzy, na których jakieś wykresy i niezrozumiałe rysunki. Nad biurkiem żarzy się lampka. Oświetla od dołu stanowczo za wielki w stosunku do rozmiarów tego pokoiku obraz. Czerwony pyłek mży na stół, spływa rubinowymi kroplami po grzbietach książek. Muszę na ten obraz ciągle patrzeć. Sepią robiony szkic głowy Chrystusa... To wspaniałe! Bez wątpienia dobra ręka... Niby maska pośmiertna... W uspionej śmiertcią twarzy żyje niewysłowione znużenie... tak, męka się dopiero skończyła. Skrzywione w dół usta

drgają jeszcze bólem, ale ciężkie powieki rzucają już cień wielkiego spokoju...

Muszę pisać to kazanie, muszę. O tym, na co ludzkość jest skazana. Dzisiaj — bardziej niż zawsze. Bo nie ma wyboru między miłością a nienawiścią. Albo miłość — albo śmierć. Albo miłość — albo nic. Albo miłość — albo katastrofa kosmiczna.

Słowo moje drży, gdy zaczynam mówić o miłości. Jakże inaczej być może, gdy ośmielam się dotykać potęgi, która wyprowadziła z nicości świat, zapaliła słońca i gwiazdy, która pędzi soki w roślinach ku górze i krew w naszych żyłach, która Jedyne Syna Bożego przemieniła w baranka wydanego na łup ostrych gwoździ krzyża? Ten krzyż dzisiaj stoi na każdej drodze i wita kroki człowieka przebaczeniem i łaską. Ale jest on ciągle ognistym znakiem, żyjącym, straszliwym znakiem, bolesnym wyrzutem miłości, z którą nie ma żartów. Znak postawiony na ratunek i upadek wielu.

Od dwóch tysięcy lat nie widzimy takiej fali historii, która by potrafiła go ominąć. Mówić o miłości — to mówić o życiu, o samym Bogu, o czymś najistotniejszym w Jego bycie ukrytym, bo Bóg jest miłością. Oślepiiony krzakiem ognistym Tego, Który Jest, wstępuję na ziemię świętą.

A jednak można o niej mówić. Trzeba o niej mówić. Trzeba o niej krzyczeć bez przestanku na wszystkie strony świata. Każdy chrześcijanin musi być jej heroldem, jeśli nie chce być gorszym od najparszywszej owcy swojego stada. „Albowiem ta jest nowina, którąście słyszeli od początku, abyście się

wzajemnie miłowali” — woła raz po raz Jan w swoim pierwszym *Liście*, nazywanym Ewangelią miłości.

Gdy ludzkość kostnieje w ostrych podmuchach, wygarnianych z czeluści piekielnych przez tego, który jest samą nienawiścią, przez szatana, karmionego naszym grzechem — dziś trzeba miłość głosić.

Czy naprawdę można czynić to słowem? „Synaczkowie moi, nie miłujcie słowem ani językiem, ale uczynkiem i prawdą.” To jasne. Tylko życie może dać świadectwo o istocie życia. Musimy pokazać wszystkim wielki skarb, aby uwierzono, że go mamy. Więcej: musimy go rozdać wszystkim. Mówić o miłości, a nie okazywać jej — to mówić na wiatr, wystawiać się na drwiny. Myśmy poznali i uwierzyli miłości. Ale kto nie miłuje, nie zna Boga i innym nie pomoże w poznaniu.

Wypada jednak stwierdzić ludziom trzeźwym prawdę przerażającą: wypada narzekać, że Europa, kolebka chrześcijaństwa, nie jest już chrześcijańska. Że cień cienia chrześcijaństwa, lichy ciura obozowy, błąka się jeszcze tam i sam w wypłowiałym mundurze po groźnym laboratorium, w którym potężne kotły warzą eliksiry zapomnienia o miłości, gotują niezawodne trucizny, zdolne wytracić wszelkie bakcyle wylęgłe w promieniach krzyża.

Ciura nie jest całkiem bez pożytku. Tu zakręci korbą jakiejś diabelskiej maszyny, produkującej seryjnie narzędzia śmierci, ówdzie popchną go na posyłki, aby podał coś inżynierowi, który szkicuje nowy plan dezynfekcyjny. Inaczej by zdechł z głodu. Czasem pozwolą mu nawet gdzieś w kącie zaśpiewać jeden z jego rycerskich, zapomnianych rapsodów.

„Nieszkodliwy wariat — orzekają panowie. — Ale nie będzie miał potomstwa.”

Lamentujemy, że nasz Król nie siedzi na tronie, że musimy Go ukrywać w leśnych grotach. Czasem zbieramy się, idziemy ławą i pokrzykujemy buńczucznie: My chcemy Boga!

Ale gdzie nasza broń, którą obdzielił nas Pan przed wymarszem? Gdzie wspaniałe ostrza, grotty, miecze miłości? Zostawiliśmy je w sypialni. Pozawieszaliśmy w czcigodnych zakamarkach nad łóżami i stolami biesiadnymi. Inne leżą owinięte w miękkie szmatki na dnie kufrów rodzinnych. Możemy teraz mrużyć do woli swoje bojowe piosenki. Nie pokruszą one bram żadnego Jerycha, w którym chcielibyśmy osadzić naszego króla.

Czym naprawdę jesteśmy bez miłości? Smutnymi pajacami, nędznymi błaznami, pośmiewiskiem nieba i ziemi — rasą godną wytępienia. Zdrajcami Boga.

W dobie, w której największe słowa są poniewierane, a słowo „miłość” wywołuje na usta nawet dzieci dwuznaczny uśmiech — należy poznać prawdę o miłości. Czym ona jest, ta królowa cnót, ta istota doskonałości, której Paweł, mąż twardy i rozumny, wyśpiewywał hymny? Wynosił ją przecie ponad wszystko, wszelką mocą ją obdarzał, nawoływał z uporem: Ubiegajcie się o miłość! Rozpalała go widzieć jak mocne wino, uderzała mu do głowy.

Jest przyjaźnią z Bogiem. Kąpielą w bezbrzeżnym oceanie dobra i prawdy. Jest cnotą nadprzyrodzoną, bezcennym lekiem, darmo wlewanym w serca nędznych. Jest nałogiem nadludzkim, trwałym uściskiem żebraka z Bogaczem, niewymownym pocałunkiem dziecka brudnej ziemi z Ojcem niebios.

Jest działaniem woli i dzięki temu osiągać jej dano najwyższą doskonałość. Bo możemy już tu, na drodze pielgrzymiej kochać bezgranicznie Cel, dźwigając się przez to na wyżyny, na których On się znajduje, gdy natomiast nie jest w naszej mocy poznawać Go rozumem w całej pełni.

Jeśli nie jest darem sfery nadnaturalnej, czy możemy w niej wzrastać własnym wysiłkiem? Tak. Paweł mówi z naciskiem: „Chodźcie w miłości. I o to proszę, aby miłość wasza więcej a więcej obfitywała”. Każdy nasz dobry czyn, każdy akt woli uwielbiający Dobro Niestworzone, obejmujący Je przyjaznymi ramionami, przyczynia się do wzrostu miłości. „Albowiem ta jest miłość Boga, abyśmy przykazań Jego strzegli, a przykazania Jego nie są ciężkie” — mówi Jan. „A iż się rozmnoży nieprawość, oziębnie miłość wielu” — mówi Jezus.

Kwiatem tej przyjaźni i jej sprawdzianem jest miłość człowieka do człowieka. „Wszelki, kto miłuje tego, który zrodził, miłuje i tego, który z niego jest narodzony.” Jedynym, trudnym do sfalszowania świadectwem obecności Boga w nas, dowodem, że należymy do Jego owczarni, jest miłość międzyludzka. Kto posiada najlżejszy okrucuch miłości Boskiej, musi kochać człowieka — jak samego siebie. I to każdego człowieka, bez wyjątku. Każdy bowiem człowiek wyszedł z łona Stwórcy, nosi Jego piętno na sobie. Jest Jego obrazem żywym. Jeśli nawet zabił w sobie dziecięstwo Boże, ma możliwość każdej chwili je odzyskać, tak jak my możemy każdej chwili je stracić.

Bóg tu na ziemi miłuje wszystkich, „chce, aby wszyscy byli zbawieni”. Do ostatniego tchnienia naj-

zatwardzialszego grzesznika atakuje go swym miłosierdziem, które granic nie zna. Spuszcza rosę niebieską na złych i dobrych i nakazuje w tym sobie naśladować. Stąd polecenie, które jest zrębem nowego zakonu, sztandarem chrześcijaństwa: „Miłujcie nieprzyjacioly wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą”.

Jak często z powodu tych słów zarzucają nam niedołęstwo, brak poczucia rzeczywistości! Ten wasz slogan to nonsens — mówią — wyznacza wam postawę absurdalną wobec życia. Czy nienawiść nie jest potrzebna? Czy nie ma rzeczy na świecie, które trzeba nienawidzić, aby żyć? Czy nie widzicie w tym uczuciu twórczej siły?

Miłujcie nieprzyjacioly wasze... Zaiste, twarde są to słowa, tak twarde, jak i owe, które ustanawiały największe misterium *caritatis* — Chleb Żywota, a stały się kamieniem obrazy dla wielu. I o te również potyka się niejeden, żegnając chrześcijaństwo wczoraj, dziś i zawsze. A jednak są one tylko nieubłaganą konsekwencją żelaznego prawa, jaskrawo objawiają, jak zachłanne, jak powszechne jest to prawo miłości, jak bezwzględna jest jego moc, która nie cofa się przed niczym, przepala wszystko, nawet serce wroga.

Wszelako my też umiemy nienawidzić. Nienawidzimy zła, szatana, grzechu. Ale nienawiść nienawiści — to odwrotna strona oblicza miłości.

Miłość chrześcijańska, ogólnoludzka, bezpardonowa! Jest to coś bez porównania wyższego od humanitaryzmu wszystkich wieków i filantropii wszystkich dobroczyńców.

Tak, miłość do Boga i miłość do człowieka, które wypływają z jednego źródła, nie mają nic wspólnego z ckliwymi uniesieniami i z sublimowanym egoizmem gatunkowym, kształtem ukłonu samemu sobie.

My w bracie naszym widzimy Ojca. Obchodzimy się z nim jak ze świętym i obdarzamy go świętą przyjaźnią. Przeto miłość bliźniego jest koniecznością — to psi obowiązek chrześcijanina. Rosnąć on w niej musi ciągle, kosztem największych ofiar, aż po męczeństwo. „Kłamcą jest, kto by rzekł, że kocha Boga, a nienawidziłby brata swego.” Musimy kochać zawsze i wszędzie. Musimy dobrze czynić wszystkim. Nie „nawet złym”, ale najbardziej właśnie — złym, gdyż ci dobra najwięcej potrzebują. I tu leży cała potęga miłości. Uderzyć nią, to ranić śmiertelnie. Nie ma takich murów grubych, stalowych pancerzy, których by nie pokruszył, nie roztopił jej żar. Nie ma takiej mocy, która by śmiała stawić jej czoła. Nienawiść? Cóż ona może!

Na każdą broń znajdzie się broń groźniejsza — ale z czym uderzymy na otwarte ramiona? Byli tacy, którzy pokonali wojska Napoleona, ale kto może się pochwalić, że zgniótł świętego Franciszka? Jaka armia odważy się porwać na tego, który z radością doskonałą miłował brata niedobrego, choć go ten obrzucił obelgami i wygnał w zimną noc spod klasztornej furty? Toteż Biedaczyna Boży przeorywa bez przeszkód palącym swoim lemieszem ciężką glebę milionów sumień, odwała skiby epok.

Nienawiść rodzi nową, jeszcze większą nienawiść. Wpada w błędne koło, pożera samą siebie. Nienawiść to powrót do nicości. Odepchnięcie precz bytu. Miłość, która wychodzi naprzeciw nienawiści, niwe-

czy ją. Zaraża sobą. Przemienia w siebie. Urywa wreszcie łańcuch zła.

Prawo miłości jest prawem słońca do rozrzucania światła. Ale potrzebuje ono poręczycieli. Jest nim każdy z nas. Tylko my sprawić możemy własnym dobrym życiem, aby miłość stała się prawem życia, aby chrześcijaństwo rozbłysło w pełni jak gwiazda pierwszej wielkości, wybuchło na świat jak najczynniejszy wulkan. Wtedy dopiero dadzą się zerwać owoce ducha miłości: wesele i pokój. Do nich przecie ziemia cała wyciąga teraz stęsknione ramiona.

NOC TRZECIA

Dziwne uczucie mnie ogarnia, gdy późnym wieczorem biorę pióro do ręki, aby zapisywać te kartki słowami, które myśl moja wybiera spośród tysiąca innych. Liczę się z tym, że już następne słowo mogę wypowiedzieć na drugim świetle. To mi nakazuje być zupełnym realistą. A myślę, że człowiek tylko raz w życiu jest realistą: gdy odbywa przedśmiertną spowiedź.

Tyle razy pisałem. Wiersze, dramaty, powieści, listy... Mam wrażenie, że dopiero teraz, gdy staram się z bezwzględną szczerością przedstawić sobie przeżycia dnia ostatniego — piszę prawdę.

Zegar na ścianie (skąd on się tu wziął?) kuleje, utyka, jakby za chwilę miał stanąć. Słyszę również inny zegar w mojej piersi, który także kuleje. Jego nierówne stukanie, raz za szybkie, raz za wolne, te drżące uderzenia powstające z wysiłkiem, często za cenę dławiącego bólu, to alarmujące bicie w dzwon trwogi — doskonale wyrывa mnie z błogostanu życia, z tej głupiej pewności, że wszystko jest w porządku, że nic się nie zmieni, że nic nam nie grozi, i uczy domyślania się bezmiernego oceanu, który nas ogarnia w chwili utraty wszystkiego.

Każdy człowiek ma serce. Ale trzeba, żeby zaczęło niepokojąco mylić swój rytm. Wtedy można odczuć

wagę jego pracy. Każde uderzenie przedłuża nasze istnienie i zbliża nas do jego końca. Każde uderzenie to milowy słup na niedalekiej drodze do tego miejsca, gdzie burzliwa rzeka wpada w wąską, okrutnie wąską gardziel, aby przecisnąć się w szamotaniu i męce na drugą stronę, gdzie już nie będzie sobą. W agonii człowiek przestaje być człowiekiem. Traci ciało należące do jego substancji i staje się „duszą”. Zaczyna tajemnicze, niepełne bytowanie, którego istota znana jest tylko mieszkańcom wieczności. *Salto mortale*. Straszliwy skok w wieczność. Mimo Świętych Obcowania ta milcząca otchłań, która...

Wierzę, Boże mój, w realność życia wiecznego bardziej niż w doczesność. Wierzę bardziej w Ciebie niż w ziemię i powietrze, wodę i obłoki, drzewa i kamienie. Ta cienka ścianka, która mnie oddziela jeszcze od Ciebie, za chwilę runie. Najkruchsza rzecz, jaką nazywają życiem... Czuję narastanie w sobie... Chore organy zużywają się z każdym ruchem, z każdą godziną... Dotykam procesu... A jednak...

Panie mój Jedyny, wybacz mi! Ja się nie cieszę, że niedługo już stanę przed Tobą twarzą w twarz! Ja chciałbym... Tak strasznie chciałbym jeszcze żyć na ziemi, aby... Jestem jak człowiek, który dokonał olbrzymiego odkrycia... odkrył kopalnię bezcennych skarbów... i nie będzie miał nawet czasu pokazać ludziom do nich drogi. Tak kocham ludzi! Ty wiesz... Zdaje mi się, że jedynym sensem mego istnienia jest pokazać im tę drogę.

— „No, cóż pan chce, mój drogi, nie damy panu nowego serca. Ale może pan jeszcze żyć ze swoim sercem nie rok, nie dwa. Tylko trzeba się niczym nie przejmować. Unikać wszelkich wstrząsów psy-

chicznych, żyć, że tak powiem, wegetatywnie, jak roślina. I spać, dużo spać, choćby dwadzieścia godzin na dobę...”

Żyć jak roślina, niczym się nie przejmować? To gorsze od śmierci. Zrobiłem wybór. I... nie ma dla mnie wyjścia. Znalazłem się w potrzasku. Chcąc żyć życiem ludzkim, muszę umierać. Jak daleki jestem od świętości! Ja wiem, że miłość do ludzi musi być na drugim planie... wtedy jest prawdziwa. Dobra miłość do ludzi może być tylko echem miłości do Ciebie, Jedyne Dobro świata! Trzeba kochać człowieka tylko przez Ciebie i ze względu na Ciebie. Daleko mi jeszcze do miłości doskonałej, bezgranicznej. Ale ufam Ci, Panie, bezgranicznie. Wszystko, co się dzieje, dzieje się w Tobie i przez Ciebie. Ty dajesz życie i śmierć. Jeśli teraz umrę... teraz, gdy dojrzałem w Twym świetle, gdy poznałem... gdy dopiero teraz mógłbym działać... gdy mnie stać... Panie mój, ufam Ci, że to nie będzie bez sensu... że to będzie bardzo mądre; że to będzie najmądrzejsze ze wszystkiego, co by mnie mogło spotkać... najlepsze dla mnie i dla świata; że to będzie objawem Twego największego miłosierdzia. To wszystko. Och!

Ciągle jeszcze podjeżdżają samochody. Białe światła reflektorów omiatają ściany pokoju, lustrując nędzę mieszkania, które dla nikogo nie jest przeznaczone. Nie buntuj się, mój bracie. Gdyby nie pieniądze poczciwego księdza Dominika, nie miałbyś i tego. Nocowałbyś nad Wisłą, w wiklinach. Ten pokój hotelowy jest beznadziejnie brzydki, ale to w sam raz dla ciebie. Możesz sobie w nim dowoli spełniać zapowiedzi Jezusa: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam

wam, wy będziecie płakać i narzekać, a świat się będzie weselił”.

Jestem nad salą dansingową. Z dołu napływa nosowe, błazeńskie zawrodo, dudnią murzyńskie bębny: to gra orkiestra. Podobno przyjechała z Warszawy. Schodziłem na dół, aby się czegoś napić w bufecie. Tańczy to samo towarzystwo, co na plaży. Są niezmordowani, a może obłąkani. Są pijani. Ja za to jestem trzeźwy. Okrutnie trzeźwy. Dlatego... Jak tam ciasno i duszno! Biedni męczennicy tańca. Twarze bezmyślne, oczy zapatrzone w nicość. Drepczą w miejscu, ciasno obłapieni, ocierając się i objając biodrami, plecami, bokami.

Dlaczego to nazywa się tańcem? Tańczył kiedyś król Dawid przed Arką Przymierza... I tu chyba jest jakaś niewidzialna arka przymierza... ale z kim? Nieporozumienie... czy milczące porozumienie... I to ma być piękno, harmonia, rytm, sztuka? Wyraz tężyzny, fantazji, animuszu? W dwudziestym wieku widać taniec zeszedł na psy. Zeszedł do tego gatunku rozrywki, co *prima aprilis*, co lany poniedziałek.

Saksofony chichoczą jak potworne żaby, miauczą, beczą. Dudni bęben, zwołuje na tajemnicze obrzędy w dżungli. Obrzędy niewyszukane. Dziwne, że to smętne widowisko nikogo nie razi. Właściwie niepotrzebnie się oburzałem dzisiaj przed południem, że młodzież na plaży tańczy w kostiumach kąpielowych. Bardzo wyrefinowane i przy tym dozwolone przez policję. A przecież każdy z tych mężczyzn i każda z tych kobiet ma ducha nieśmiertelnego, który jest więcej wart niż suma wszechświatów. Gdybym mógł obudzić...

Przyjechałem do tego słynnego miasteczka, ponieważ mówiono mi, że są tu trzy kościoły. Prawda. Kościoły są wspaniałe i miasteczko wyjątkowo piękne. Nie widziałem w życiu tak pięknych okolic. Trzy barwy: czerwień, biel i błękit. Pod niebieską kopułą piętrzą się czerwone dachy o uroczej architekturze na tle wapiennych skał i cienistych wąwozów. Białe skały, rzeźbione kamieniczki, mroczną zieleń tajemniczych wąwozów roznoszą w świat fale wielkiej rzeki, niby obrazy z bajki.

Przyjechałem tu rano, przed siódmą. Chciałem się wypowiedzieć. Nic z tego. W żadnym kościele nie natrafiłem na spowiednika. Świątynie sędziwe, prawdziwe muzea starożytności, z patyną wieków... Niedobrze czuję się w tych starych katedrach, zasnutych pajęczyną umarłej sztuki, okurzonych historią, martwych i zimnych. W jednym kościele nikt nie odprawiał Mszy, drugi, najwspanialszy, ciągle huczy muzyką dzwonów, ale nie mogę w nim znaleźć księdza. Zakrystian zapamiętałe ściąga sznur przez otwór w sklepieniu, dzwon bije na alarm. Trudno się z nim dogadać. W ogromnej nawie głównej dojrzałem trzy kobiety i dwie czarno ubrane zakonnice w śmiesznych czepkach na głowie. Jedna z nich, o wystraszonej twarzy, poinformowała mnie wreszcie, że Msza zostanie odprawiona dopiero o dziewiątej z powodu pogrzebu. Do trzeciego kościoła, wyrastającego z góry, prowadzą schody wysokie jak drabina Jakubowa. Widać, że puszy się swoją stereotypową, wystawną skromnością franciszkańską, nadrabiając ilością barokowych figur i brzuchatych kolumn brak złocień. Ale jest bardziej od innych przytulny i żywy. W ławkach cztery kobieciny, w stallach prezbiterium dwie

czarne zakonnice. Kościół jednonawowy. Z zakrystii wychodzi mnich w brązowym habicie, opasany białym sznurem, o poczciwych, rozlatanych na wszystkie strony oczach. Zapalając świece przy pięciu ołtarzach, przygląda mi się ciekawie, z aprobatą. Jeden po drugim, w małych odstępach czasu, wychodzą kapłani (po kapturach poznaję, że to zakonnicy) ustrojeni w alby, w asyście ministrantów. Zaczyna się Msza święta. Nie, zaczyna się pięć Mszy świętych. Jestem na pięciu Mszach świętych! Dzwonki jęczą bezustannie, nie wiem, kiedy klękać, kiedy siadać, kiedy wstawać, każdy z pięciu kapłanów ma inny temperament, jeden szepce, drugi krzyczy, święte teksty mruczą, bulgoczą, jękliwie się rozciągają; przed sobą mam Podniesienie, na lewo Ofiarowanie, na prawo Ostatnią Ewangelię. O Panie, jaki ja jestem mało pobożny, zamiast się pławić w powodzi łask, które spływają naraz z pięciu ołtarzy, jak z pięciu Twoich krwawiących ran, ja drzę z oburzenia i rwę się do reformy Twojego Kościoła! Słowa buntownicze, niegodne przekłuwają mi mózg, chcę krzyknąć *veto*, dowodzić, że Twoja Największa Ofiara jest przecież wydarzeniem najważniejszym w świecie i we wszechświecie, wydarzeniem jedynym, niesłychanym i ponad wszelki podziw niezwykłym, strasznym i błogosławionym. Jest to wydarzenie tym bardziej nadzwyczajne, tym bardziej tajemnicze, tym bardziej osłupiające, że codzienne. Jego powszedniość i powtarzalność powinna mrozić krew w naszych żyłach. Powinna rozpalać nas do czerwoności. Gdybyśmy mogli zrozumieć istotę Mszy świętej, umarlibyśmy z zachwytu.

Tymczasem daleko nam do tego. Śmierć z zachwytu nad Bożym cudem nie bardzo nam się uśmiecha: wolimy umierać z nudów. Tysiące chrześcijan na obu półkulach ziemi doszło do rzeczy potwornej: do obojętności wobec Najświętszej Ofiary. Ja sam...

Każda ofiara jest rzeczą wspaniałą i straszną. Żołnierz, który wystawia pierś na kule wroga, aby ratować ojczyznę, matka, która się rzuca w płonący dom, aby ocalić dzieci, wzruszają nas i napełniają podziwem. Gdy jednak Człowiek Najwspanialszy umiera w naszym interesie, dla naszego szczęścia, umiera za nas po raz setny i milionowy, umiera co dzień, umiera ciągle, aby za tę cenę dać nam pokarm i napój bezcenny, chleb, który jest Jego Ciałem, i wino, które jest Jego Krwią — przyjmujemy to z olimpijskim spokojem. Nie, źle się wyraziłem: to nas nudzi. Przywykliśmy już do tego. Uważamy się za gorliwych katolików, jeśli poświęcimy raz na tydzień pół godziny na „wysłuchanie” Mszy świętej. Wysłuchanie. To wyrażenie jest rozbijające. Zupełnie, jakby chodziło o symfoniczny poranek. Ci, którzy nie tylko słuchają niedzielного koncertu, ale biorą udział w Bezkrwawej Ofierze, która pachnie krwią Syna Bożego, ci, którzy przyjmują pokarm życiodajny, piją eliksir wiecznej młodości — wyglądają w masie wiernych raczej na intruzów. Psują ustalony porządek.

Co my wiemy o Mszy świętej? Wiemy bardzo mało, ale również bardzo dużo. Wystarczy otworzyć katechizm, aby stwierdzić, że Msza święta jest przedłużeniem i uwiecznieniem w tajemniczy, niekrwawy sposób tej samej, identycznie tej samej Ofiary Chrystusa, którą On złożył za grzechy ludzkie na

krzyżu Golgoty. Wszystko to, co pewnego mrocznego dnia prawie dwa tysiące lat temu dokonało się na oczach zdumionych Izraelitów we krwi i męce, wszystko to powtarza się we Mszy świętej równie rzeczywiście, chociaż w blasku świec i przy akompaniamencie muzyki. Na białych obrusach naszych ołtarzy krew się nie leje, ale Bóg-Człowiek znowu oddaje tu za nas swoje życie. Umierając, oddaje nam siebie za pokarm. Po konsekracji Hostia już nie jest chlebnym opłatkiem. To Ciało Jezusa z Nazaretu, które było kiedyś rozpięte na krzyżu. Msza święta nie jest symbolem, figurą czy pamiątką — lecz rzeczywistym, prawdziwym wydarzeniem o wstrząsającej wymowie.

Tu dzieje się coś przerażająco wielkiego. Tu rozgrywają się nasze losy.

Gdyby Chrystus nie umarł na krzyżu, ludzkość nie byłaby zbawiona. Gdyby nie odprawiała się Msza święta, nikt z nas nie korzystałby z owoców zbawczej ofiary Chrystusa. Msza święta decyduje o losach chrześcijaństwa. Ona daje nam wszystko — daje nam życie. Dla katolika być albo nie być na Mszy, to znaczy być albo nie być w ogóle.

Ale nie tylko to jest ważne, gdzie i jak jest odprawiana. Msza święta jest obrzędem społecznym i aktywność jej zależy również od naszego żywego uczestnictwa. Mój Boże! Jak nędznie wygląda to nasze uczestnictwo w Najświętszej Ofierze! Przeważnie to nie jest uczestnictwo. Przeważnie to gorsze niż szyderstwo. Obojętność porządnych katolików! Nuda w obliczu największego cudu! Gdybyśmy z nienawiści do Boga palili kościoły, w których odprawia

się Msza święta, bylibyśmy Mu bliżsi, niż wtedy, gdy obojętnie słuchamy Mszy świętej. Mój Boże!

Wszedłem już po wszystkim do zakrystii, aby porozmawiać z przełożonym klasztoru. Wydało mi się, że brodaty zakonnik z brewiarzem w ręku właśnie nim jest. Przedstawiłem mu swoją osobę, swoje prośby i oferty. Nie okazał zdziwienia, grzecznie przeprosił, że nie może nic załatwić, gdyż sam jest tu gościem na wakacjach. Braciszek o poczciwych oczach, który pełni funkcje zakrystiana, informuje mnie życzliwie, że gwardian wyjechał. Przyjedzie dopiero jutro rano. Nocleg, owszem, jest możliwy, ale o tym gwardian tylko decyduje. Albo jego zastępca, wikary, tak, trzeba przyjść za godzinę do wikarego. Posiedziałem z godzinę czy dwie na starym cmentarnym murze, oglądając panoramę miasta, po czym udałem się na poszukiwanie wikarego. Spóźniłem się. Wikary, który przeprowadza teraz kurację po chorobie, pojechał już łódką na drugi brzeg na plażę, bo doktor mu zalecił kąpiele słoneczne, a dzisiaj ładna pogoda. Na tym brzegu, porośłym wikliną, plaży nie ma. Wróci na obiad. Mam przyjść o drugiej.

Idę na śniadanie do gospody. Potem spaceruję po mieście. Miejscowość jest modna, sezon w pełni, cały elegancki światek tu koczuje. Wszędzie umalowane, półnagie kobiety w chłopięcych majteczkach i bluzkach o tak wielkich dekoltach, że spadają im z ramion. W wąwozie za kościołem mijają mnie dziewczęta w białych kąpielowych slipach. Z daleka myślałem, że są nagie. Rozumiem, chcą w pełni wykorzystać słońce, to jest bardzo zdrowo. Nie, to co inne-

go. Pokusa utraconego raj. Pan Bóg dał ze skórek odzienie pierwszym rodzicom po grzechu. Dzisiejsi ludzie nie wierzą w grzech pierworodny, a swoich grzechów nie uznają. *Per fas et nefas* chcą się wdrzeć do rajskiego ogrodu. Za wszelką cenę chcą zdobyć zdrowie, przedłużyć młodość. Chcą być nagimi bez dziecięcej niewinności, a to się mści. Anioł z ognistym mieczem stoi dotąd u bram raj. Od tyłu wejścia nie ma.

Upał nie do zniesienia. Trudno zebrać myśli. Schodzę do Wisły. Tu jest chłodniej. Siadam przy ogromnym, gładkim stole, nakrytym błękitnym obrusem, pomalowanym w białe obłoki. Na drugim brzegu pstry tłum. Jak tam gęsto! Nie mogę sobie wyobrazić ojca wikarego w tym tłumie. Rozbieram się, zanurzam w wodę nogi. Podjeżdża motorówka, milicjant każe mi wyjść. Tu kąpać się nie wolno, tu jest koryto rzeki, a kąpiel dozwolona tylko po drugiej stronie przy plaży. Milicjant wskazuje mi palcem tablicę, u stóp której siedzę. Wszystko jest tam napisane. Nie ma rady.

A może by tak pojechać na drugą stronę? Przewoźnik w łódce zachęca. Jadę. Może znajdę tam wikarego i porozumiem się wcześniej w sprawie noclegu, bo czuję się jakoś nietęgo. Od upału mąci mi się w głowie. Naiwnie sobie wyobrażałem, że zakonnika na plaży rozpoznam po habcie lub po brewiarzu. Przecież musiał tam odrzucić tę zbroję, aby się namaścić słońcem.

Przewoźnik wysadza mnie w największej gęstwie brązowych nagusów. Gwar jak na rynku wielkiego miasta. Czemu ludzie się tak tu skupiają, przecież

widzę, że piaski nadbrzeżne ciągną się w górę i dół rzeki. Chcą być razem. Chcą się bawić. Piski, krzyki i śmiechy. Gonitwy, gry w piłkę. Słyszę gdzieś gramofon. Widzę tańczące pary.

Przyglądają mi się podejrzliwie, gdy rozglądam się, szukając na piasku brązowego habitu. Nigdzie go nie widzę. Kobiety smarują się oliwą, świecą od tłuszczu, malują pilnie wargi. Dlaczego sądziłem, że wikary tu będzie, napewno go tu nie ma, plaża ciągnie się kilometrami, pewnie ukrył się gdzieś daleko. Ale ja już nie mam sił iść dalej. Zimny ból czuję w okolicy mostka. W sercu kołek, lęk przed następnym krokiem. Siadam, tam gdzie stoję, w środku mrowiska. Nie będę się już kąpał. Powoli przechodzi.

Plaża. Boję się wydawać sąd o tym, co widzę, żeby nie skrzywdzić... Sąd trzeźwego pośród pijanych jest na pewno zbyt ostry. Ale widzę tu dziwne rzeczy. Znalazłem się więc w raju. Figowe listki... Dla dzieci chlapiących się w wodzie na pewno to jest raj. Ale te damy nie wyglądają na mieszkanki raju, nie znające dobra i zła. Szczątki majteczek i biustonoszów — nie, nie umywa się to nawet do nieudolności figowego listka. Tam na górze jakieś odważniejsze czci-cielki boga słońca odsłoniły nawet piersi. Chłopcy się im przyglądają przez wiklinę.

Myślę, że to nie jest zdobycz dwudziestego wieku, ale objaw dekadencji, jaskrawy przykład niechlujstwa obyczajowego. I ci, którzy jeszcze krytykują wspólną plażę — to nie świętoszkowaci obłudnicy, lecz ludzie normalni. Nie mam nic z pruderii ani z fanatyzmu, lecz... jakiś zdrowy odruch...

Nie wierzę w to, że plaża leczy z pruderii i nadwrażliwości, że uspokaja wyobraźnię. Chyba odwrotnie... Widzę przecież, jakimi oczyma patrzy na siebie ta wyzwolona z ubrania młodzież, słyszę, o czym oni rozmawiają, jak się bawią.

Nie widzę tu tych, którzy przede wszystkim powinni korzystać z dobrodziejstw plaży. Nie widzę chorych, krzywych i garbatych, artretycznych starców... Dlaczego? Zmowa zakłamania.

Nie mogę sobie wyobrazić tu wikarego, tak jak nie mogę sobie wyobrazić świętego Franciszka na plaży. Nie ma tu ptaszków i rybek, do których można by mówić kazanie.

A potem wypadek. Wytrysnął gdzieś krzyk i nagle wszyscy zaczęli biec w górę rzeki. Dziewczyna, pływająca już od godziny w towarzystwie znanego sportowca, tonęła. Nie mógł jej nikt uratować. Gdy ją przewoźnicy wyciągnęli bosakiem — nie żyła. Gramofon przestał grać, chłopcy i dziewczęta już nie tańczyli. Ale umalowane wargi eleganckich dam nie bledną i nie wiem, czy któraś z nich zadrżała, czy któraś odczuła otchłań. Maską losu ukazała swe oblicze. To, co było zapomniane, zjawilo się bez zaproszenia, ogrom rzeczywistości powrócił do swej roli. Czy ostatni krzyk tonącej zdarł komuś zasłonę, przebił skorupę złudzeń, wyczarowanych przez słońce?

Gdy odjeżdżałem, chłopcy znów grali w piłkę, a kobiety rysowały pomadką usta. Tajemniczy zaświat został unicestwiony. Na plaży nikt nie myśli o Nieznanem, które pochłoneło jedną z naszych sióstr. Goniec śmierci przyniósł nieczytelną wieść. A tymczasem Byt niezmierny i zapierający dech, w którym poruszają się wszystkie te czerwone i żółte figurki,

stworzone na miarę bóstwa i tragicznie śmieszne w swoim obnażeniu...

Czułem się tak osłabiony, że nie mogłem wejść na klasztorną górę. Zakotwiczyłem swój wrak w hotelu. Jutro tam pójdę.

NOC PIĄTA

Zgrzytnął klucz w zamku. Kościelny zamknął drzwi wejściowe. Jestem bezpieczny. Nocleg mam zapewniony. Ukryłem się dobrze.

W piersi mej coś się szarpie. Jakby spętany zwierzę gwałtownie usiłował uwolnić się z sideł. To szamotanie przesycę moje ciało bólem i niepokojem, zdaje się, że wstąpiłem na bagnisty grunt, chwiejna powierzchnia lada chwila się przerwie, a ja zapadnę się w przepaść bez dna.

No, zgoda. Niech się tak stanie. Co sekundę umiera człowiek na ziemi. Najzwyklejsza rzecz. Tu nie przystoi się lękać. Zdołałem wreszcie oddzielić moją myśl od nędznego stanu swego ciała. To nieważne, to wszystko przejdzie. To, co przechodzi, co nie trwa w wiecznej terażniejszości — jest tak, jakby nie było, przynajmniej nie należy się tym przejmować. Zostawiam siebie, na pół żywego, skulonego, pod organami na kościelnym chórze i przemocą idę do Ciebie. Staję twarzą w twarz przed Twoją ukrytą obecnością. Jesteś tu jedynym i wszechwładnym Panem. Wszystko możesz i wszystkim dajesz to, co najlepsze. O, Panie, czy wybaczysz mi moje zuchwalstwo? Wtargnąłem bezprawnie... Ukryłem się w Twoim polowym namiocie. Pragnę tu spędzić noc. I jak? Nie — czuwając na kolanach, nie — adorując

Twój majestat, nie — nawiedzając Twoją samotność, bo na to nie mam sił. Schowałem się tu jak złoczyńca, korzystający z prawa azylu. Jestem zgoniony, straszliwie zmęczony, cały dzień się tułałem, odbierając razy od członków Twego Mistycznego Ciała. Układam się wygodnie na ławce, nasiąkniętej potem Twoich wiernych, i pragnę zasnąć. Może tu mi się to uda. O, jak chciałbym zasnąć... Czuję się w Twoim domu zupełnie bezpieczny. Gdzie może być mi lepiej? Pod Twoim okiem, w cieniu Twych skrzydeł... nie gniewasz się na mnie? Dobry, słodki Panie... Twoja pobłażliwość nie ma granic. Twoja miłość... wieczna, jak nieustanne, cierpliwe tykanie zegara na wieży... Patrzysz na mnie z ukrycia przez złoczone drzwiczki tabernakulum, przez świecący rubin wiecznej lampki... Patrzysz na mnie i uśmiechasz się. Tak, na pewno się uśmiechasz. Jesteś tuż, bliźiuteńko, za ścianą. Nie widzę Ciebie, ale Ty mnie widzisz. Nie słyszę Cię, ale Ty słyszysz bicie mego serca. Chcesz, żebym wierzył, żebym wiedział — nie widząc ani słysząc. Dzięki Twojej pomocy pysznię się tą boską umiejętnością. Nie chcesz się pokazywać tylko dlatego, abym stał się kiedyś godnym pokazania. Czegóż więcej jestem godny?

Rozmyślałem kiedyś wiele o Twojej tajemnicy. Wertowałem *Summę* świętego Tomasza i odnosiłem porażki. Anielski Doktor ma na wszystko gotową odpowiedź, ale w tym wypadku subtelne jego wywody nie przecinały moich wątpliwości. Słynne dystynkcje przyprawiały mnie o zawrót głowy i doprowadzały do rozpacz. Nic, absolutnie nic w całej naturze nie służy mi za ilustrację niezwykłego zachowania się „substancji” i „akcydensów” w Prze-

istoczeniu. Na dnie każdej responsji błyszczy ciągle twardy, nieprzenikliwy osad cudu. Wyrafinowane medytacje na temat Chleba, który nie jest chlebem... Istota rzeczy wciąż pozostaje w mroku, obwarowana słowną czczością i martwością filozoficznych terminów. Każdy cud jest niepojęty. Ale ten cud sprawia, że ubolewam nad ubóstwem mojego zdrowego rozsądku.

Ja wiem, że Twoje Ciało jest obecnie nie w chlebie i winie, lecz pod postacią tych kształtów materialnych. Te postacie są raczej znakiem, że Ty tutaj się znajdujesz w sposób niepojęty i niewidzialny. Wierzę mocno z Kościołem, że w Eucharystii pod najmniejszą cząsteczką chleba i wina jesteś obecny, Zbawicielu świata, cały, żywy, z Ciałem i Krwią, z bóstwem i człowieczeństwem. Jak to się dzieje, że Twoja indywidualna całość duchowo-fizyczna może się znajdować naraz w milionach miejsc? Jest tu jakiś brak naszego umysłu, kardynalny niedostatek w ujmowaniu rzeczywistości...

Zegar wieżowy napelnia głośnym tykaniem cały kościół. Szatkuje czas, który... nie istnieje. Dla Ciebie nie istnieje! Ty już trwasz w wiecznej teraźniejszości. Dlatego... ach, rozumiem! Widzę to, czego dawniej... Tajemnica Twoja jest tak olśniewająco prosta! Swoje Ciało... jedno jedyne, możesz rozdawać wszystkim, możesz Nim zapełniać wszelką pustkę, istnieć swoją obecnością wszędzie, omijając prawa przyrody, klocki do zabawy, czasowo tylko przez Ciebie zestawione. Przestrzeń może być stuwymiarowa. Jak bogaty w możliwości jest byt, jak wielka jest miłość! Cóż ja, biedny, wiem o świecie? O duchu, o materii? Jak mała mrówka, której paciorki oczu widzą tylko spróchniałe drzazgi i kopce na powłoce

ziemi, a której nagle ukazują drogi mleczne i odległe gwiazdozbiory, jak ślepiec, który po raz pierwszy ogląda barwy i kształty stworzeń, tak ja... Bóg mój i Pan mój!

Uboga, aż do unicestwienia, biała sukienka... Ta Twoja biała czapka-niewidka, w którą się stroisz jeszcze, za którą się ukrywasz przede mną... Ten mur nieprzebyty, o który rozbijam nieraz pochylone w modlitwie czoło... Do Ciebie nie tylko można mówić i wierzyć, że się jest słyszonym... Ciebie można... tak... słyszę... głos wielki... oślepiający... Ty mnie kochasz — to jest bardziej zdumiewające niż...

Zasnąłem. Zdawało mi się, że spałem długo, a to jeszcze jest dzień. Słońce dopiero zachodzi. Jaki długi dzień teraz mamy. Błękitne łuki sklepień nasiąkły różową luną. Piękny jest Twój połowy namiot, Pannie. To raczej pałac. Skąd w głuchej wsi ten biały cud? Czysty, szlachetny w liniach renesans. Cisza szumi. Chorągwie, obrazy zastygły w oczekiwaniu na modlitwy wiernych. Dobrze się czuję w tym kościele. Jak dziecko, które weszło do dużego, jasnego pokoju ojca. Ludzie nie mogą się tu modlić mrocznym skupieniem gotyckich świątyń, które porywają wzwyż niebosiężnymi ostrołukami i witrażami... tym światłem niezwykłym, całkiem niesłonecznym... tymi oknami ziemskiego więzienia, pomalowanymi tęsknotą człowieka w ogniste barwy skrzydeł archańskich.

Za to można tu osiągnąć skupienie pierwotne, powstające ze spojrzenia na piękno stworzeń Bożych. Na tę cichą zgiełkliwość jasnych przedmiotów, które powtarzają nieśmiało jedno imię...

Kościół jest biały ogromnie i w każdym zaułku rozkwita kształtami kwiatów i liści, zastygłych w najpiękniejszej chwili rozwoju. Szerokie okna — gościnne drzwi na niebo, na daleki błękit, na konary starych lip. Wkracza w nie swobodnie zalatujące miodem, żywiczne, dojrzałe słońce lata. Wciska się w radosnym przepychu do każdego zakątka. Zapala gzymsy pilastrów, niby woskowe świece, jednym dotknięciem zamienia akanty w złote dziewanny. Nad wielkim ołtarzem krąży jaskółka. Trzepie skrzydłami o szyby, niepoprawnie próbując sobie skrócić drogę do swobody. Nie szarp się, moje serce, i tak nie umkniesz przed czasem. Spokój, spokój.

Powietrze, zabalsamowane na zawsze suchą wonią girland, wędnących pod stropem — jak echo wczorajszych modłów.

Trzeba przyznać, mój Panie, że masz wspaniałe domy. Nie powtórzyłybyś chyba teraz swojej skargi sprzed dwóch tysięcy lat: „Lisy jamy mają i ptaki niebieskie gniazda, a Syn Człowieczy nie ma, gdzie by głowę skłonił”. Chociaż... nie. Ten dom to Twoja złocona klatka, to więzienie, na które Cię skazała Twoja miłość. Twoje właściwe mieszkanie, miejsce, w którym się czujesz jak u siebie w domu — to serce człowieka. „Jeśli mnie kto miłuje, będzie przestrzegał nauki mojej i Ojciec mój umiłuje go, i przyjdziemy do niego, i przebywać u niego będziemy.”

Na środku tego kościoła dzisiaj przed południem, podczas gdy stałem urzeczony, spotkał mnie tutejszy proboszcz. Zażywny i tęgi, nie wyglądał wcale na tak subtelnego znawcę historii sztuki. Wziął mnie widać za turystę i od razu zaczął grać rolę Cicerona. Wprowadził mnie do każdego zakątka, objaśnił

wszystkie kolejne przebudowy, skrytykował każdy obraz. Sutanę miał poplamioną, niechlujnie rozpiętą na piersi, lewej ręki nie wyjmował z kieszeni. Kręcąc się po kościele, gadał głośno, przed tabernakulum ani razu nie przyklęknął. Kiedy speszony przedstawiłem mu swoją prośbę, skrzywił się nieco, ale przyrzekł, że postara mi się o nocleg bez żadnej rekompensaty z mojej strony.

I zaczęła się ta wędrówka po „zaufanych parafianach” w poszukiwaniu schronienia, które znalazłem dopiero tu, u Ciebie.

Mój Boże! Ja jestem chrześcijaninem i oni. Wszyscy jesteśmy członkami jednego Ciała. Parafia, katolicka gmina, żywa, podstawowa komórka Chrystusowego Kościoła, jak daleko odbiegła od pierwszych gmin chrześcijańskich, o których mówiono: „Patrzcie, jak oni się kochają!”

Wybacz nam to, Panie dobry, wybacz nam ten skandal, tę kompromitację Twojej idei, Twojego imienia, Ty, który zapowiedziałeś uroczyście: „Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu”. Wybacz nam ten ciężki grzech, z którego się nie spowiadamy, że nie jesteśmy jednym żywym organizmem, nasyconym krwią wzajemnej miłości, że składamy się z szeregu układów zamkniętych, że tkwimy w naszych sobkowskich skorupach, nie wiedząc nic jeden o drugim, że nasz katolicki styl życia stał się zgorzeniem ateistów, walczących w imię spraw ziemskich o braterstwo i pokój. Nie znamy się wcale. Nie dzielimy się zgodnie owocami pracy, my, chrześcijanie, którzy wyznajemy najwyższe ideały, wierzymy w niebo i w jednego Ojca! Nie śpieszymy

z pomocą swoim chorym i swoim biedakom, nie chcemy słyszeć o braciach, którzy potrzebują wsparcia, czekają na ratunek! Twój Chleb nie jest naszym wspólnym pokarmem, który nas jednoczy ogniem miłości, a ci, co najgorliwiej przystępują do Niepokalanego Stołu, często dają wzór nie nadzwyczajnych cnót, ale nadzwyczajnego egoizmu. Zapłacili już za swoje łoża w Królestwie Niebieskim, reszta ich nie obchodzi. Są tacy pewni, tak uprzywilejowani w łaskach, że mogą się zwolnić z rygorów prostej, ludzkiej uczciwości.

Jak można dziwić się, że Twój Kościół znalazł się teraz na peryferiach historii, że wielkie ruchy odrodzeńcze, wprowadzające w życie sprawiedliwość, której łaknąć, pragnąć winni najwięcej Twoi uczniowie — odbywają się poza nami i — o ironio! — jakby na przekór Tobie! Czy miliony chrześcijan co kilkanaście lat nie wymierzają przeciwko sobie luf dział i bomb samolotów, zaprzęgając do okrutnych, wojennych morderstw cały arsenał wiedzy? Czy nie dopuściliśmy do powstania wyjątkowej nędzy wśród szerokich mas pracujących świata chrześcijańskiego?

Dałeś nam potęgę nieskończoną, dałeś nam siebie i kazałeś nam z sobą wstąpić w bieg dziejów — ale myśmy zawiedli. W centrum katolickich krajów, w sąsiedztwie naszych kościołów pozwoliliśmy szerzyć się krzywdzie i wyzyskowi maluczkich. Nie staliśmy się żywym protestem, uosobieniem buntu przeciw temu ustrojowi, który obalił prymat wartości moralnych i społecznych, między ludźmi wykopał przepaść. Nie myśmy to umierali w więzieniach, nie myśmy walczyli o poprawę doli robotników. My tylko prawiliśmy robotnikom morały. Kapłani

nasi przy każdej okazji przypominali ludziom, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Ojca, braćmi i siostrami, ale często nie potrafili tego dokonać, żeby miłość zespoliła ludzi w obrębie jednej parafii.

O Panie, którego miłość uczyniła więźniem naszym, przebacz nam ten grzech straszny, z którego się nie spowiadamy, że nasza miłość jest tylko abstrakcyjną zasadą! Że jesteś głodny, a nie karmimy Cię, że jesteś spragniony, a nie poimy Cię, że jesteś nagi, a nie odziewamy Cię, że jesteś więźniem, a nie nawiedzamy Cię wcale!

O Panie, sfalszowaliśmy Ciebie, wygładziliśmy, wymalowali, ustawili jak lalkę, ocukrzyliśmy Twoje słowa. Powtarzamy do znudzenia, żeś jest łagodny, cichy i pokornego serca, a zapominamy, że przyniosłeś z sobą ogień na świat, że chcesz tylko, aby był zapalony. Ty jesteś ogniem. Ty jesteś rewolucją, płomieniem permanentnego buntu przeciw wszelkiej małości i podłości, samolubstwu i chciwości, zwierzęcości i miernocie! Ty każesz nam, uczniom swoim, zaprzeć się samego siebie, wziąć krzyż swój na każdy dzień i naśladować Ciebie. Każesz nam płakać i radować się, modlić się i nie ustawać w pracy, każesz nam góry przenosić wiarą, każesz nam wszystko przepalać miłością. Ty chcesz, żeby z łona naszego rzeki wody żywej płynęły, chcesz, żebyśmy byli bogami.

A my uważamy, że wszystko już za nas zrobiłeś. Umarłeś na Krzyżu dla naszego zbawienia, a do nas należy tylko powiesić Twój krwawy wizerunek nad ołtarzem i odmawiać w piątek litanie do Najświętszego Serca. Zapominamy o tym, że Ty właśnie poka-

zaleś nam drogę, że każdy z nas dla swego zbawienia musi wstąpić na krzyż — ukrzyżować swoją chciwość i egoizm, swoje pożądliwe ciało, ukrzyżować swoją głupotę.

Confiteor... Wyznajemy Ci, Boże Wszechmogący, spowiadamy się przed Maryją Dziewicą, przed wszystkimi Świętymi nieba i ziemi, że grzeszymy wielce myślą, mową i uczynkiem. Że przekraczamy ciągle największe przykazanie: Będiesz miłował Boga z całego serca, ze wszystkich sił, ze wszystkiej myśli, a bliźniego swego jak siebie samego. Oskarżamy się z naszej strasznej winy, której ciężaru nie umiemy zważyć: może to niedołęstwo i brak wyobraźni skłoni Cię, Panie, abyś nas znosił jeszcze trochę. Wybrani zostaliśmy przez Ciebie na podpalanie świata, a świat jest ciemny i zimny!

Jesteśmy gorsi od tych, co zabili Twego Syna. Oni Go nie znali jeszcze, nie rozumieli. Jego nauka była nowa, wywracająca wszelkie pojęcia, obrazoburcza, niesłychana; kazała dobrze czynić wszystkim, miłować nieprzyjaciół, modlić się za wrogów. My ją znamy. Nasiąkamy nią od kolebki, przynosimy na świat we krwi. Przez dwadzieścia wieków dałeś się nam poznać dobrze. Rozrosłeś się o milion świadków.

I ci, którzy nie wierzą w Ciebie, żyją często tak, jakby uznawali Twoje istnienie. My, którzy w Ciebie wierzymy, żyjemy przeważnie tak, jakby Ciebie wcale wśród nas nie było.

Zamiast łaknąć sprawiedliwości i świętości, o niczym innym nie myśleć i nie mówić... zamiast walczyć do utraty tchu o Twą prawdę, Twoją sprawiedliwość na ziemi...

Mrok już zapada, nie mogę zapalić tu świecy.

Wyznajemy Ci, Panie, naszą wielką winę: nie mogą ludzie poznać, żeśmy uczniami Twoimi, bo nie miłujemy się nawzajem. Dzięki nam dobrzy ludzie nie mogą poznać, że Ty jesteś Światłością świata, Prawdą i Życiem, jedyną drogą do szczęścia. Przyznajemy się do...

NOC SZÓSTA

Ten temat pasjonował mnie zawsze. Teraz, gdy nadarzyła się okazja, jakoś nie umiem, nie śmiem w ogóle zacząć. A przecież marzyłem, żeby powiedzieć o tym kazanie. Robiłem notatki. Wszystkie poginęły, ale pamiętam...

...Szukacie Prometeusza? Rozglądacie się za nim po ścianach Kaukazu, pytacie Ajschylosa o jego koleje? On jest tu. Wśród was. Żyje. Wisi rozpięty na twardej skale serc waszych, a sęp obojętności rozrywa mu serce. On...

Nie, to trzeba inaczej. Goręcej i prościej. Ksiądz wikary prosił mię, żebym napisał szkic kazania o Najświętszym Sercu Pana Jezusa dla jego parafian z racji zbliżającej się uroczystości. Już drugi dzień tu siedzę i nic nie napisałem. Chociaż dzisiaj rano na ścieżce za oborą uderzyła mnie znienacka myśl... Był to moment wzruszenia... Obraz chłopca, który na korze przydrożnej brzozy rysuje nożem serce przebite strzałą...

Wczoraj w nocy — rzecz dziwna — spałem. Ale dzisiaj — czuję to — nie zmrużę oka do rana, jeśli nie będę pisał. Muszę to wikaremu napisać.

Coś mi jednak przeszkadza. Niepokój, skrupuły. Złe myśli, twarze. Twarze wychylają się z mroku. Naiwna, kanciasta twarz wikarego, którego posą-

dzam... Ach, jaki ja jestem podły. Mimo jego kryształowej dobroci, posądzam go o to, co we mnie siedzi.

Gdy się zbliżałem do Bukowisk, pewien jadący z targu chłop wziął mnie na furę. Bawił rozmową. Był trochę pijany, a podobno *in vino veritas*. Ostrzegał, że proboszcz tutejszy jest gwałtowny i bardzo chciwy. Opowiadał nieprawdopodobną historię, jaka mu się zdarzyła, kiedy prosił proboszcza o metrykę syna, mieszkającego na Pomorzu, potrzebną do jego ślubu.

Po przybyciu na miejsce okazało się, że proboszcz wyjechał na jakiś zjazd do Warszawy, a wikary jest zaprzeczeniem wszystkiego tego, co usłyszałem o proboszczu. Kościelny jest chory. Ja pomagam wikarremu we wszystkim. Służyłem dziś rano do Mszy świętej.

Dwoje młodych przystępowało do Stołu Pańskiego. Przed ślubem. Nie mogłem od nich oczu oderwać. Oboje są piękni. Te twarze... Krzyczy w nich młodość i siła. Twarze tak nie anielskie, tak bardzo ziemskie! Jego profil — piękniejszy od tego Adama, którego malował ongiś Michał Anioł. Ona, różowa i złota, wpatrzona z lękiem w ołtarz. Żebrze świeżym rumieńcem i wielkimi, szeroko rozwartymi oczami, żebrze... o co? Może o miłość Bożą, śmiertelnym ciałom ich nie znaną, może o swoje wieczne przeznaczenie?

Kłęczeli blisko ołtarza i gdy szedłem po ampułki, spotkałem jej wzrok znowu. Nie powinienem był jej się przyglądać. Zapomniałem o swoim dobrym nawyku opuszczania wzroku w dół. Co tu gadać, to było dobrowolne roztargnienie. Szczególnie jadowite.

Potem stałem się tylko ciałem. Uchem, wzrokiem. Straciwszy władzę nad sterem, chwyciłem się nędznych półśrodków. A ciągle widziałem jej lekko rozchylone czerwone usta.

— *Infirmi- tatem nostram respice, omnipotens Deus* — mówi kapłan. Ja razem z nim błagam Boga, by wejrzał na słabość moją.

— *Deus, virginitatis amator* — powtarzam za kapłanem z wysiłkiem, ale to wezwanie traci pocieszającą moc, staje się zaledwie pochlebstwem dla niezmiernie odległych upodobań Pana.

Patrząc na Hostię unoszoną rękami księdza, nie czuję w niej ciężaru Boga, serce nie tłucze mi się w piersi z lęku i zachwytu. Widzę zwykły opłatek, a twarz klęczącej za mną kobiety uparcie napływa przed oczy. I co za myśli...

Organista wykonuje wariacje na pięknym motywie gregoriańskim, który już gdzieś słyszałem, ale mnie to nic nie obchodzi. — *Libera me per hoc sacrosanctum Corpus et Sanguinem tuum ab omnibus iniquitatis meis...* — szepczę prawie z płaczem, powtarzając razem z wikarym słowa modlitwy, zdolnej tak dobrze przygotować do zjednoczenia z Jedynym. Ale są to zdania nieżywe. Wyskakują gładko i przepadają w wyłobinach pamięci. Nie wykreślają twarzy, którą — o zgrozo! — odbija złote lustro pateny.

Uciekam wzrokiem dalej, aby wpaść dobrowolnie w inne sidła. Tępy przywarciem do powierzchni rzeczy zamazuję tamten obraz. To wszystko, na co mnie było stać. Świece unoszą do góry ogniste miecze. Każda świeca na końcu dziwnie przezroczysta. Knoty zanurzone w płonącym błękicie, który niżej

zastyga i ciemnieje. Mój Boże, czy nie popełniłem dzisiaj świętokradztwa, ośmielając się w tym stanie...

Po ślubie weszli do zakrystii. Udało mi się narzeczcie nie widzieć rumianej twarzy, patrząc na nią z bliska. W tej sztuce można się wyćwiczyć. Jest to świadome przymglenie spojrzenia, przyćmienie jego ostrości do tego stopnia, żeby zatrzeć kontury, żeby wzrok przebijał się przez widziany obraz i docierał do istoty rzeczy. Tak, miałem wtedy przed sobą tylko żonę przy boku męża, świeżą żonę, napełnioną łaską Sakramentu.

Nie mogłem jednak opanować wzrastającej sympatii do tych dwojga. Czy nie było to uczucie wysublimowanej zazdrości człowieka, który godzi się z tym, że ogień nie należy do niego, ale korzysta z okazji, aby choćby ogrzać przy nim ręce?

Twarz mówiącego jest otwarta i szczera. Z zakłopotaniem uśmiecha się. Przystępuje do przykrej sprawy. Widać, że nie przywykł do próśb. Ale wikary już wiedział, o co chodzi. Święty człowiek!

— Przyrzekłem księdzu proboszczowi — plątał się chłopak — te dwa kilo słoniny, ale chciałem prosić księdza o... kredyt. To jest nic właściwie, ja wiem, ksiądz proboszcz ma rację, że wy też musicie żyć, że... że... „jeśli nas nie stać na takie głupstwo, to jak możemy zawierać małżeństwo”, ale... to tylko teraz tak krucho... Ja... oddam. A ze ślubem dłużej czekać nie było można. Teraz... każdy grosz potrzebny. Jedziemy objąć gospodarstwo na Ziemiach Odzyskanych, bo...

Wikary podniósł oczy ponad lustro szafy z ornamentami, tam gdzie wisiał brzydki, cynowy krucyfiks. Zda-

wało mi się, że słyszę jego szept: „Dwa kilo słoniny, dwa tłuste prosiaki, procent godny pana”. Potem nagle przeciął:

— Jedziecie na Mazury?

— Tak.

— A inwentarz tam macie?

— Właśnie, z tym najgorzej. I dom jeszcze nie wyremontowany. Ale dostanę pożyczkę...

— Dobrze, będzie dobrze, nie ma strachu. A o słoninę... szkoda kłopotu, my tu mamy jej dosyć. Aż za dużo. Proboszcz tylko tak sobie, żartował. W jego imieniu sprawię wam dzisiaj niespodziankę. To będzie prezent ślubny od... od Kościoła. Macie jaki wóz ze sobą?

— Nie — odrzekli jednocześnie, zdziwieni równie jak ja.

— To nic. Chodźmy na plebanię.

Po drodze wszystko wytłumaczył. Trudno było im uwierzyć. Jak to, dostaną darmo dwoje prosiąt? Coś tu jest nie w porządku. Mężczyzna nawet zaczął oponować. Ale kobieta wysuwa się na pierwszy plan.

— Tak, tak, przydadzą się bardzo. Złote ręce księdza... proboszczunia! Tak, tak, nie zapomnimy aż do śmierci.

Zbyt skwapliwie przybija pieczęcie dziękczynnych słów i pocałunków na akcie darowizny. Już nie jest tak oszołamiająco piękna. Zwykła chłopka o świeżej buzi.

Stangret, ubrany świątecznie, drzemie na progu stajni. Nastroszone żółte wąsy, papieros przyklepiony do warg. Wikary każe mu zaprzęgać konie do wozu. Zabiera się do tej czynności niechętnie i niezdarnie, mrużąc coś pod nosem i długo celując sprzączkami

w dziurki rzemieni. Wikary się gorączkuje, sam zaciska linki na orczykach.

Nowożeńcy, przynagleni zapalem księdza, pomagają doprowadzić zaprzęg do porządku. Ku zdumieniu stangreta wikary podprowadza wóz do drzwi obory i otwiera chlewek. Para wieprzków, gwałtem wspólnymi siłami wpycha się na wóz, energicznie kwiczy. Zwierzęta nie kwapią się do zmiany pomieszczenia. Trzeba je w końcu pętać i wnosić, jak ciężkie tłumoki, falujące żywym sadłem.

Zasapany wikary żartuje i życzy nowożeńcom wesolej podróży poślubnej. Z klekotem kół odplywają słowa podziękowania. Przez cały czas tej wspaniałej sceny diabeł szeptał mi na ucho: „Dla niej to zrobił, bo mu wpadła w oko”. Choć usiłowałem nie słuchać tego głosu, to jednak... Czuję do siebie wstręt. Dlatego nie mogę pisać. Człowiek zły i grzeszny nie może mówić o świętych rzeczach.

Za chwilę jakaś kobieta wywołała księdza do kościoła. Zostałem sam. Wracając na plebanie, przystanąłem za oborą, w osłoniętym zewsząd zakątku, gdzie odzyskałem spokój. Stare dyle, scementowane mchem, odgradzają od świata; gęste warkocze wierzby wspartej o złotą, świeżoposzytą strzechę, która równo ucina błękit. Z drugiej strony trzyma straż zagajnik, wybiegły z lasu. Świece młodych sosenek rozdmuchują sinymi mgiełkami ciemną zieleń olch. Dalej przewiewne jasnozielone brzozy.

Bóg mnie przyzywa. Powiewa w moją stronę chorażkami brzoź. Podchodzę bliżej — stoją cichutko. Rozproszyły listkami słońce — wszędzie połyskują odłamki blasku. Oprószone u góry błękitnym pudrem nieba, w niepokalanie białych szatach — jakże są

piękne! Witają mnie niemym śpiewem tysięcy listków. Na pierwszej z brzegu — wycięte nożem — serce przebite strzałą. O Panie, bądź moją miłością! Uczyń mnie świętym. Zabij pożądliwość moją. Oddaję Ci swój spokój, swoje szczęście, dobre imię, wszystko, co mam, a Ty mi daj siebie. Uczyń mię swoim, Ty, niebo błękitne, Ty, zieleni wiosenna, Ty, wietrze pachnący, piękności wszelka, Ty, wszystko moje. Pozwól mi mówić o sobie, o otchłani Twojego Serca...

Przystojny mężczyzna o słodkim wejrzeniu i długich włosach gestem nieśmiałym a zapraszającym, jakby chciał podać dziecku nową zabawkę, wyciąga przed siebie dłoń, w zagłębieniu której leży przekrwiona bryłka w kształcie serca, opięta wianuszkiem cierni, z zatkniętym u szczytu krzyżykiem.

Ten obraz, spotykany na obu półkulach ziemi w niezliczonych kościołach, kaplicach i mieszkaniach, budzi różne uczucia: ufne westchnienia, łyzy wdzięczności albo zakłopotanie, bezradność, zakrzepłą na razie w surowej krytyce wartości artystycznej dzieła. Gdybyż na tym koniec! Ale obraz jest tylko wyzywającym sygnałem. Idzie za nim mglisty orszak spraw dziwnych, denerwujących, wśród których obietnice zbawienia, słynne pierwsze piątki miesiąca i inne praktyki skłaniają wielu katolików do ostrożności.

Nie potępiajmy ich zanadto. Dobrze wychowane zakonnice w Paray-le-Monial, które zwierającą się lękliwie ze swoich widzeń Małgorzatę nazywają bez ogródek wariatką, które ją kropią przy spotkaniu święconą wodą — nie spisywały się lepiej.

Plastyczne rozwiązanie tematu „Najświętsze Serce Jezusa” może być wzniosłe lub trywialne. Ale to zewnętrzna strona zagadnienia.

Trzy wieki temu miało miejsce zdarzenie ważniejsze dla chrześcijańskiego świata niż edykt mediolański czy bitwa pod Lepanto. Noc, w której Bóg-Człowiek ukazuje się pogardzanej siostrze w klasztorze Wizytek i przemawia do niej językiem dotąd nie słyszonym — jest rozrywana błyskawicami mocniejszymi od tych, co towarzyszyły Mojżeszowi na górze Synaj.

We Francji zbliżał się do okresu swego panowania Ludwik XIV. „Król-Słońce” kończył krwawy dzień nad krainą pierwородnej córki Kościoła, w brudnych oparach królewskiego dworu, największego w Europie lupanaru, wśród jęków wyzyskiwanego do ostateczności ludu. Jedyną reakcją były wystraszone arystokratki, które u wrót paryskiego babilonu w rezydencji Port-Royal rozmyślały nad marnościami tego świata, ponuro chuchając na mroźną teologię Janseniusza.

Ale reakcja na zło była gorsza niż samo zło. Bez względu, niedostępny, kalwiński bóg jansenistów niedaleko odbiegał od absolutnego władcy, który popychał Francję ku przepaści. „Różaniec do Najświętszego Sakramentu” Agnieszki Arnauld, opatki Port-Royal, skrzętnie wyliczył wszystko, co oddziela człowieka od Boga i oddaje go na pastwę własnej nicości. Proboszczowie tego czasu w sprawozdaniach dla biskupa chwalały się, że od jednej spowiedzi wielkanocnej do drugiej nie udzielili wiernym ani jednej Komunii świętej.

Groźna teologia szybko zdobywała nowych zwolenników. Herezja zataczała coraz szersze kręgi. Czy należy sądzić, że Paray-le-Monial było odpowiedzią Boga na Port-Royal, nieuchronną Jego interwencją?

Myślę, że nie. Myślę, że On kocha nas tak mocno, tak szalenie, że czeka tylko okazji, aby dać nowy dowód miłości. Za wszelką cenę pragnie wszczepić w dusze nasze spokój — owoc odczuwanej opieki. Wie, że jesteśmy przewrażliwieni, a nie wszystko może nam teraz wytłumaczyć i tajemnica czyha na nas zewsząd. Tajemnica zła, tajemnica wiecznej kary, koszmar wojny, cierpienia niewinnych dzieci, zwierząt łatwo skręcają się w bolesne znaki zapytania, którymi zapisujemy niebo, jak dzieci ścianę parkanu zasłaniającą im ogród bogacza. Chce więc nas uciśzyć, przekonać, że wszystko w porządku, że wciąż oddany nam jest całym sercem.

Im bardziej ludzkość w swym pochodzie jest zmęczona, tym bardziej i w coraz więcej zdumiewający sposób On otwiera przed nią otchłanie swego miłosierdzia.

I to właśnie nas, zimnych, wyrachowanych „inteligentów”, razi w nabożeństwie do Najśłodszego Serca.

Jakaś drzazga jansenizmu przeszkadza nam zgodzić się, aby Bóg zachowywał się aż tak po ludzku. Każe nam zapominać, że „Chrystus ten sam zawsze”, że nie zmienił się wcale od czasów palestyńskich, kiedy to najchętniej obcował z dziećmi i prostytutkami, każąc wszystkim stawać się „jako dzieci”, kiedy z jednakową swobodą powierzał swoje stopy w ręce jawnogrzesznic, wycierających je własnymi włosami, i w ręce katów, wbijających w nie gwoździe.

Nie pozwala nam zrozumieć, że ten wstrząsający wypadek, który miał miejsce 16 czerwca 1675 roku, to nowy akt rozzierającego dramatu Boga walczącego o miłość stworzenia.

Wydawałoby się, że Golgota jest wystarczającym dowodem miłości, posuniętej do absurdu, i że nasza tępa reakcja na Golgotę będzie wystarczającym pretekstem do zerwania z nami.

Ale On jest Miłośnikiem Zawziętym. Zdrady Go nie odstraszą. Jak zakochany chłopiec, który na białej korze przydrożnej brzozy niezdarnie rysuje nożem serce przebite strzałą — tak Chrystus w czystych oczach Małgorzaty odbija emblemat swojej miłości. Wie, że te oczy Go nie zawiodą, nie skrzywią obrazu, przechowają na zawsze.

Emblemat jest oklepany, stary jak świat. Może kiedyś, za lat tysiące, gdy podręczniki anatomii, wykuwane w szkołach, przestroją ludzką wyobraźnię, godłem miłości stanie się jakiś płat mózgu. Ale dotąd ciągle jeszcze wbrew logice kawał mięśnia o łagodnym kształcie, wyrwany z piersi, znaczy tyle, co wola, uczucie, myśli.

Aby zaś nie było wątpliwości co do autora rysunku, On go uzupełnia. Określa bliżej herbowymi znakami. Cierniowa korona (On tylko jeden z królów nią się posługiwał) opasuje Serce, jakby chroniła je od pęknięcia. W płomieniach przebija je strzała krzyża (tą strzałą kiedyś najcelniej ugodził ludzkość).

I skarży się: „Oto Serce, które tak bardzo ukochało ludzi, które się nie oszczędzało, spalając się dla nich, aby w zamian odbierać zapomnienie i wzgardę...”

A potem znów obiecuje. Same niemożliwości. Zdać by się mogło, że chyba przekracza tu już upraw-

nienia własnej wszechmocy, przechodzi granice, wstępuje na niebezpieczny teren, na którym chwieje się porządek przez Niego ustanowiony. Aby tylko nas zdobyć dla siebie, żąda śmiesznie mało! Kilkakrotnego posilenia się Chlebem Życia, kilkakrotnego objęcia Go grzesznymi ramionami. W zamian za to — gwarancja, że w ostatecznej chwili nasza wola nie odwróci się od Niego! Jest to coś, jakby zabranie nam możliwości upadku, czasowe zawieszenie atrybutu wolności.

Zaiste, nasza konsternacja, nasza inteligencka rezerwa ma coś na swoje usprawiedliwienie.

Nie przeszkadza nam to jednak w tym miesiącu zbóż kwitnących po wielekroć wmieszać się w tłum ludzi klęczących u stóp Hostii, tego najwyższego dowodu, że Serce bije dla nas, i powtarzać wzruszające wezwania:

Serce Jezusa — starte przez grzechy nasze,
Serce Jezusa — życie i zmartwychwstanie nasze,
zmiłuj się nad nami!

NOC SIÓDMA

Moje obawy są bezpodstawne. To, co ja robię, na pewno tak się nie nazywa. Pamiętniki piszą mizantropi i megalomani, a ja mimo wszystkich swoich wad...

Kocham ludzi. Bardzo kocham wszystkich ludzi. Każdy człowiek — piękny czy brzydki — ma w sobie niewysłowiony urok. Majestat, którego zniweczyć nie może żadne komedianctwo. Każdy jest naznaczony piętnem tajemniczej wielkości, której osobliwy tragizm otwiera nową kartę potężnego dramatu. O, nie tylko ja go widzę. Śledzą go ze drżeniem wszechświaty. Każdy...

Wschody i zachody słońca potrafią mnie przyprawić o łzy. To prawda. Wpadam w uniesienie na widok drzew mijanych przy wiejskiej drodze, mokrych łąk, lasów. Są takie urzekające perspektywy, takie pola pomazane niebem, takie nieskazitelne harmonie, które chciałbym chłonać zawsze. Ale gdy spotykam człowieka... Gdy spojrzę mu w twarz... Ach — to co innego! To wstrząsa. To upija lub budzi grozę, ale zawsze zapiera oddech. Człowieka nie można minąć obojętnie. Chciałoby się iść za nim krok w krok, wnikać w jego istotę, przejąć się jego przedziwnymi sprawami, wesprzeć go i poprosić o pomoc. Wzbogacić się o niego.

Każdy, każdy człowiek jest niepojęty. Jest jedyny. Ma w sobie coś niepokojącego, coś tak dosłownie boskiego, że to aż przygniata. Zgina kolana. Wygląd? Może być nijaki, żaloszny, odrażający. Może nie być wcale twarzy, może być gęba zwierzęco tępa i mimo to... Gdy mijam człowieka, mijam górę niebotyczną, całkiem niespodziewaną, o wierzchołku ginącym gdzieś w innym świecie, skąd wieje chłodem międzyplanetarnych przestrzeni. Nawet w najbardziej skwarne południe... nie, nie mogę tego wyrazić. Każdy najędzniejszy człowiek-lachman, to król. Pan świata niewidzialnego, który za nim ciągnie się wszędzie i wszędzie go otacza. Właśnie ten orszak niemy i czujny, ta milcząca świta, ta chmura straszna...

Tak, człowiek jest sprawą prawdziwie Boską i trzeba ukochać samego Boga, by prawdziwie zająć się sprawą człowieka. Ale czy ja Ciebie Kocham, o Panie?

„Człowiek na łonie przyrody. Najpiękniejszy kwiat natury.” Bzdury! Człowiek na tle ziemskiego krajobrazu — to szok. Błyskawica, wybuch wulkanu, który mąci niebo, to coś, co nie mieści się w ziemskich ramach, co jest godne najwyższej czci, co ściąga na siebie nienawiść i największe miłosierdzie. Cudowny dziwoląg wprawiający w osłupienie całą przyrodę. Ona idzie jak zegarek nakręcony nieuchronną koniecznością praw. Ciężenie instynktu każe zwierzętom działać w ich rytmie. Jest tu kojąca i nudna harmonia gatunku. Jedynie człowiek ma świadomość celu i możliwość obrócenia się twarzą do nieba lub do piekła. Posiada niebezpieczny potencjał wolnej woli, która czyni go bogiem. Rzekłeś, Boże, w psalmie Asafa: „Bogami jesteście”. Ten dar pozwala nam

tworzyć wspaniałe dzieła i rujnować świat. Dlatego jedynie my jesteśmy godni uwagi w całym wszechświecie. Od nas teraz wszystko zależy.

Czy można dziwić się Bogu, że wcielił się w człowieka? Że ukochał go do szaleństwa, że ukorzył się do najdalszych granic, żeby go pozyskać dla siebie, to znaczy dla szczęścia?

Jest we mnie pragnienie, które sprawia mi wiele bólu. Kiedy o zmierzchu mijam domy z zapalonymi oknami, chciałbym wejść do każdego; zasiąść za stołem, przy którym ludzie dzielą się swymi radościami i smutkami, uściskać się ze wszystkimi, usłużyć im, zagubić się w nich, obradować z nimi całą noc nad naszą wspólną sprawą. Bo przecież wszyscy mamy tylko jedną ważną sprawę: jak uratować siebie. „Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni ku drugim.” Mój Boże, czyżbyś tak mało miał uczniów na ziemi? Czyżby ci wszyscy, ochrzczone w Twojej śmierci członki Twego Ciała, nie słyszeli nic o Twoim nowym, największym przykazaniu? Gdy im je przypominam słowem lub gestem — wytykają mnie palcem jak wariata.

Wiem, że to wygląda na deklamację i jest bardzo nierozsądne, ale ja składałam się tylko z szalonych pragnień, które mi się wydają zupełnie naturalne. Nie mogę się z tym zgodzić, żeby mieszkanie chrześcijańskiej rodziny przypominało warowny fort na Dzikim Zachodzie. Ta jednak przepastna dysproporcja między moimi pragnieniami a ich realizacją jest bezlitosną miarą mojej wartości. Jeśli dobrymi chęciami jest wybrukowane piekło, to ja...

Dlatego nie mogę się również posądzać o megalomanię. Nic nie udało mi się w życiu. Nie osiągnąłem żadnego z moich celów. Przegrałem na całej linii. Wiem, że jedyną wartością człowieka jest świętość. Pożadam jej mocno, aż do bólu, a przynajmniej chcę całą duszą jej pragnąć i... nie posuwam się ani na krok na tej drodze. Wpatruję się w promienny ideał, rozumiem doskonale najwyższe wartości, ach, jak ja pięknie potrafię o nich myśleć i mówić, a jestem pełen brudu. Szarpia mną karczemne, kompromitujące pokusy. Czasem zwykle pijaństwo, ordynarna rozpusta jawi mi się jako uczta, do której wyrywa się cała moja istota. Chyba to świadczy o tym, że jeszcze w ogóle nie nawróciłem się do Boga. Tak, jestem brudnym śmieciem, rzucanym tu i ówdzie przez wiatr, strzępem istnienia; to przynajmniej wiem dobrze.

Moja nicość duchowa harmonizuje z moją nicością fizyczną. Moja nie nadająca się do leczenia choroba umieszcza mnie poza nawiasem społeczeństwa. Wstydzę się samego siebie. Wstydzę się tym bardziej, że nie odczuwam do siebie wstrętu, że nawet chwilkami — o Boże! — ja jestem szczęśliwy, jakaś radość...

Nie, to, co ja robię, nie jest pisanie pamiętnika. To tylko sposób, który wynalazłem wreszcie na bezsenność. Gorzkie lekarstwo. Gdy zmęcę się pisaniną, a jest to przeważnie już na progu świtania — zwykle zasypiam na godzinę, dwie. To mnie ratuje.

Ty jeden będziesz czytał te gryzmoły, drogi ojczy, który zechciałeś być moim przyjacielem. Postanowiłem tobie w końcu roku to wszystko pokazać. Ciebie się nie wstydzę, bo jesteś moim bratem, świętym bratem. Dam ci ten diariusz codziennych rachunków

sumienia, abys mógł mnie lepiej poznać. Rozmowy ze sobą i z Bogiem — to przecież tylko wieczorne rachunki sumienia, nic więcej. Kierownik duchowny powinien znać swego penitenta. Myślę, że to musi być ogromnie trudno — znać drugiego człowieka.

Jakoś długo nie mogę zasnąć tej nocy. Chyba już dnieje... Dzisiejszy dzień... o Panie, nie opuszczaj mnie! Jestem dziś taki poturbowany. Nie opuszczaj mnie, Ojczy, niech anioły Twoje czuwają tej nocy nade mną więcej niż kiedykolwiek.

Boże mój, jak Ty mnie zdumiewasz! Pragnę, jak pragnę zawsze, każdej sekundy być żywym świadkiem nadprzyrodzoneści, która mnie objęła! A jestem ciągle niemową, kaleką, niemrawym bydlęciem, półtrupem. Czy Ty nie masz mnie całego w swoim ręku? Czy jest coś we mnie, co się Tobie wymyka? Czy nie chcę Ci być wierny jak pies, czujny na każde Twoje skinienie? Na każdy zew Twej łaski?

Wydaje mi się, że w stosunku do mnie obrałeś metodę wyjątkową, nie przewidzianą w Ewangelii, jedynym kodeksie Twojej miłości. Od lat dziesięciu proszę Cię w imię Syna, byś mi odjął... byś mi dał... I proszę na próżno.

Uzbrajasz mnie groźnie, podajesz konia, na którego wsiadam i pędzę, a gdy odsadzę się spory kawał naprzód, Ty wypadasz zza krzaka, przetrącasz nogi mojemu koniowi, abym zwałił się na ziemię i potłuczony, na czworakach wracał do miejsca, skąd wyruszyłem. I tak ciągle, i ciągle. Ciągle muszę zaczynać od nowa. Karmisz mię po królewsku, pieścisz jak matka, sadzasz na kolana, a za chwilę okładasz moje boki jak złego psa. Powiedz, Panie mój, czego ode mnie chcesz?

Nie mogę przyzwycząić się do Ciebie, bez którego żyć nie umiem. Nie rozumiem wcale Ciebie, który jesteś dla mnie wszystkim. A może taką obrałeś mi drogę, abym nie skończył żadnej drogi, abym zaprzepaścił wszystkie możliwości, abym, pragnąc wytoczyć dla Ciebie wszystką krew z żył — robił głupstwa, które mnie ośmieszają? Abym czuł się wyrzutkiem Twego stada, najmarniejszym z marnych, i nie tracił ufności, gdy cały świat naigrawa się ze mnie? Abym stał prosto, podczas gdy Ty sam usuwasz mi ziemię spod nóg?

Możesz, Umiłowany i Niepojęty, wszystko możesz, bo Ci wszystko wolno. Tobie jednemu... Głaszcz i kop, kiedy chcesz. Będę Ci wierny. Będę szedł za Tobą do ostatniego tchu...

Gdzie ja się znajduję? Czy nie na samym początku Drogi Oczyszczającej? Myślałem, że już niezmiernie dawno wyrosłem z pewnych pokus, a tymczasem bije to we mnie na nowo, uderza ze straszliwą świeżością i znów z pola schodzę pół żywy, zupełnie wykrwawiony. I nie ma mi kto ran przewiązać, bo Ty... Gdzie Ty jesteś? Pokusy, które ledwo przewyciężam, mimo że dotkliwie rozumiem ich nędzę i bezsens, okropna posucha, nieznośna oschłość, ten wstręt do modlitwy, jak do odrażającej pańszczyzny, wraz z nieugaszoną tęsknotą za Tobą, poczucie nieustannej winy wraz z namiętym pragnieniem, aby Tobie się przypodobać, ten lęk, te wątpliwości, czy Tobie rzeczywiście służę, czy służę ludziom...

Właściwie już dawno nie mogę się modlić i o Tobie rozmyślać, chociaż ani na chwilę o Twojej obecności nie zapominam. Na tej bezwodnej pustyni, w tych ciemnościach dawno załóżnione rany otworzyły się

na nowo. Krwawią i świecą... Nie widząc Ciebie — we wszystkim Ciebie czuję, a raczej czuję Twój brak, i wydaje mi się, że kocham Ciebie bardziej niż kiedykolwiek. Kocham zupełnie po ciemku. Twój ogromny cień na rzeczach... Wydaje mi się, że gdybym nawet stracił wiarę, kochałbym Cię jeszcze. Czy jest to naprawdę miłość? Jeśli tak, to zupełnie podobna do krzyżowej drogi.

Kiedy ta noc się skończy? Do świtu jeszcze chyba daleko. Została mi tylko połowa świecy, którą kupiłem w wiosce. Może zresztą już świta. Słyszałem przed chwilą pianie koguta. Przez to małe okienko, zakurzone i pokryte pajęczyną, nic nie widać. Zastaniają je także gałęzie. Już wiem, skąd to skrzypienie, to wiatr omiata gałęzią szybę.

Ciekaw jestem, do czego tutejszemu proboszczowi służy ta komórka i czy łóżko specjalnie dla mnie gospodyni tu wstawiła? Proboszcz wygląda poczciwie, mimo że nie jest zbyt gościnnie. Moje propozycje wyraźnie mu się nie podobały.

— Pan chce mi napisać kazanie? Hm, dobre sobie. Kazania to ja sam sobie potrafię układać. A pan? Skąd pan się tu wziął?

Patrzył na mnie trochę jak na wariata, ale jestem do tego przyzwyczajony. Proboszcz mi nie ufa, a może nawet trochę się mnie boi. Pewnie, propozycja jakiegoś przybłądy, bez żadnej rekomendacji, mogła się wydawać bezczelna. Bywają też złodzieje... Zdawało mi się, że gospodyni przekręciła klucz w zamku. Nie powinienem mieć im tego za złe. Powinienem odczuwać wdzięczność. Ofiarował mi przecież nocleg. „Za wszystko dziękujcie...”

Już dawno nie widziałem tak uroczej plebanii. Stare drzewa... Osiki — ogromy! Topole — wiszące parki, w których można zabłądzić. Boże, jak potężnie uderzasz mnie swoim pięknem! Te wiekowe lipy nad kościółkiem... Słyszać tutaj ich szum.

Nie zasnę już chyba wcale. Chwytają mnie bóle. O mój Boski Oraczu, który od dwudziestu lat prujesz moje ciało ostrym, o, jakże ostrym pługiem — słuchaj mnie: mam prawo do Twojej Łaski. Chyba już dość wzruszyłeś i spulchniłeś swoją ziemię, aby ziarno zakiełkowało. Chyba... Ale dzisiaj...

Jak to było? Na horyzoncie ukazywała się od czasu do czasu wieża kościoła. Po prostej jak klinga miecza drodze szedłem rażno, mimo kilkugodzinnej wędrówki. Tak jakbym tu kiedyś już był. Jakbym wracał do znajomych okolic, przemierzanych dawnymi laty, pachnących domem rodzinnym. Dziwne złudzenie. Szosa jest pusta. Czasem fura z drzemiącym chłopem.

Znajoma droga i topole-giganty po obu stronach. Olbrzymie staruchy, wiecznie przesiewające przez liście polny wiatr. Cicha, tajemnicza muzyka.

Na zakręcie — ona. Tak jakbym ją dobrze znał, chociaż ją widzę na pewno po raz pierwszy w życiu. Ledwo pojawiła się na drodze, ledwo ją musiałem spojrzeniem. Mijam ją, nie zwalniając kroku i... Pożar!

Idę dalej sam. Jak dobrze, że ta droga jest znowu prosta i równa — za każdym krokiem oddala mnie od pożaru. Jak ciężko odchodzić tak daleko, każdym krokiem uciekać od niej. Idę oślepiiony. Wszędzie ciemno, a ja widzę tylko obraz objawiony błyskawicą. Widzę oczy, usta, włosy, każdy szczegół za-

chwycającej postaci. Dzieje się to w ułamku sekundy, a cały dzień stał się preludium do tego ułamka sekundy. Cały dzień rozplywa się gdzieś, przepada w przedsionku tej chwili. Znikają szumiące drzewa, kamienie szosy, wieża kościoła. Ta chwila wyrывa mnie z czasu i zatapia w okrutnej trwałości.

Czemu drżą pod tobą nogi? Chciałbyś może zawrócić, upaść przed nią na kolana? Stary, głupi Don Kichocie — twoja Dulcynea nie jest biskupem i w rękę nie trzyma pastorału. To prosta dziewczka. Wraca właśnie z pola z grabiami. Myśli o krowach, które trzeba na wieczór wydoić. Jest urodziwa i młoda, tak jak wiele tysięcy dziewcząt. Jest ciałem i krwią. Zmęczenie pomalowało na różowo jej policzki i osnuło oczy powagą. Ma ciężkie spojrzenie chłopca, który się narobił. Patrzy na ciebie z ciekawością, boś dziwoląg. Tak sobie mówię, a jednak do tej pory...

Wsiowa dziewczyna, której nie znam; której nie zobaczę nigdy. Prawda, dobry Boże, że mi jej już nigdy nie pokażesz?

Uśmiechnęła się do mnie. Miała dobre oczy; oczy matki; oczy dziecka. Pozwoliłem się prowadzić tym smutnym oczom, temu bezszelestnemu uśmiechowi w ciągu kilku następnych nieopisanych kroków. Odalając się w przeciwną stronę, prowadziła mię za rękę, niby krnąbrnego chłopca poskromionego biczem szczęścia. Potwornie mocne jest to szczęście ziemi!

I znów ją widzę — idzie, już idzie. Maleńka w dalekiej perspektywie drogi, ogromnieje w pobliżu. Złote włosy nad czołem płoną w słońcu i rozrzucają promienie wokół. Już znalazłem się w ciepłym kręgu tych promieni. Jaka wspaniała! Zdaje mi się, że

mijam kościół pachnący kadzidłami i rozjarzony światłem — blask tej urody mnie zabija, zatruwa — odchodzę pół żywy, jestem tylko otwartą raną. To najgorsze, że nie jestem zdziwiony wcale tym spotkaniem. Tak jakbym wiedział o nim zawsze. Jakbym przywołał tę kobietę modlitwą namiętnych, dawno zdławionych tęsknot, ją, stworzoną na miarę mojego zachwytu. Potwornie mocne jest to szczęście ziemi, przeboleśnie miły pokój, którym darzy.

Widzisz, Panie, co się ze mną dzieje? Ty... Ty nie zostawiłeś mnie samego, ja wiem. Nikogo nie kuszysz ponad miarę. Zaraz usłyszałem Twoje słowa niby surmę bojową: „Nie przyniosłem pokoju, ale miecz”. Uchwyciłem się promienia Twej łaski. Twa Dziewicza Matka... święta Agnieszka, moja patronka, moja dobra siostra...

Ja wiem, że wolą Twoją jest, abym żył w czystości. Wybacz mi moją słabość.

Ale wydaje mi się czasem, że tego, czym kobieta obdarza człowieka, nic na ziemi nie może zastąpić. Ten urok naiwny, ta powaga macierzyńskiej tkliwości, ta gotowość opiekuńcza, na którą żaden mężczyzna w tym stopniu się nie zdobywa, to, co jest większe od rozkoszy zmysłów i bez czego każdy mężczyzna jest wiecznym sierotą, wydanym na łup samotności, niepełnym, jakby kalekim... Skąd te myśli buntownicze, przecież ja pamiętam Twoje słowa: „Kto opuści żonę swoją dla mnie, stokroć tyle weźmie teraz, w tym czasie”. Dla mnie. To jest ważne. Trzeba żyć Tobą, żyć Twoimi sprawami. A może ja...

Bo przecież, Boże mój, Ty sam... Ty sam „na początku stworzyłeś człowieka na wyobrazenie

swoje, jako mężczyznę i kobietę stworzyłeś go”. Rozróżnianie i dopełnianie się człowieczeństwa przez płeć jest Twoją sprawą, a wszystkie Twoje sprawy są czyste i święte. Inaczej widać wyobraża Cię mężczyzna, a inaczej kobieta i oba te wyobrażenia są potrzebne. Wiem, już wiem. Grzech pierworodny. Fakt przedhistoryczny o wymowie religijnej, bez którego psychologia byłaby absurdem. Fakt, który radykalnie zmienił Twoje plany. Teraz wielu ludzi dopiero wtedy reprodukuje Twój obraz, kiedy skazuje się na samotność.

Wiem, że wołą Twoją jest, abym i ja tak żył. Wybacz mi. To Ty również, który podniosłeś związek kobiety i mężczyzny do niesłychanej godności, powiedziałeś: „...są trzebieńcy, którzy się sami na to skazali dla Królestwa Niebieskiego. Kto może pojąć, niech pojmuje”.

Ja mogę pojąć i dlatego muszę wypełnić. Pojmuje Twój plan. Wiem, że istnieje ewolucja, której celem jest wznoszenie się wszystkiego wzwyż, aż do Twojej doskonałości. Wlałeś ongiś ducha nieśmiertelnego w zwierzę, które dojrzało do tej operacji, aby zwierzę stało się człowiekiem. Teraz wlewasz w duszę ludzką boskie elektrony swej Łaski, aby człowiek mógł zjednoczyć się z Bogiem.

Zadaniem człowieka jest wznosić się do Ciebie, przewyciezać w sobie zwierzęcość. To droga jego twórczej ewolucji, na którą dopiero wstąpił. Prekursorami tej ewolucji są Twoi święci. To nasz właściwy cel, jedyne usprawiedliwienie naszego dziwaczego istnienia. Człowiek uzwierzęcony — to obelga dla człowieczeństwa i karykatura Twego wyobrażenia.

Jedni przewyciężają w sobie zwierzę przez małżeństwo. Jeśli uświęciłeś małżeństwo, to dlatego również, aby potępić wszelki akt o charakterze biologicznym, pozbawionym tej nierozdzielnej wyłączości, którą daje Sakrament. Wspólność płci z Twojej woli musi być wspólnością w Łasce. *Mysterium magnum in Ecclesia Tua.*

Bez wstąpienia w orbitę niewidzialnego życia Łaski współzycie płciowe nazywasz złem. Uroki najsilniejszej miłości, opiewane przez genialnych poetów świata, niezdolne są usprawiedliwić tego zła, które w oczach Twoich jest grzechem.

Tak, rozumiem Cię doskonale, jesteś zachłanny. Wszystko chcesz przerobić na swój obraz, wszystko chcesz przebóstwić swoją straszliwą, przepotęzną miłością, swą radością, swą wielkością, swym szczęściem.

Pamiętam, pamiętam... „Jeśli tak się ma rzecz mężczyzny z niewiastą — lepiej się nie żenić.” Nie zaprzeczyłeś wtedy swoim uczniom. „Nie wszyscy pojmują tę naukę, jeno ci, którym jest dane” — odrzekłeś. Bo trzeba tylko pojąć — aby już móc.

Małżeństwo nie jest biletem do raju rozkoszy. Raczej uwikłaniem się w wielką tajemnicę.

Ale znając Ciebie trochę, sędzę, że nie tak mało jest tych, „którym jest dane” pojąć potrzebę całkowitej czystości i wstąpić na wąską drogę. Czy nie jesteś samą miłością? Czy możesz kogoś postawić w sytuacji bez wyjścia? A przecież tyle jest ludzi, którzy nie powinni porywać się na *Mysterium Magnum!* Do małżeństwa trzeba mieć powołanie — tak samo jak do kapłaństwa. Biada tym, którzy... Ach —

swąd i dym ognisk rodzinnych zasłania nam jasność nieba i napełnia ziemię zapachem piekła.

Jest na świecie kilka milionów kobiet więcej niż mężczyzn — oto już armia istot, które Ty powołujesz bez pardonu do życia anielskiego. Wiele jest powołanych, choć mało wybranych. Zdrada powołania nie umniejsza jego siły. Nie ma przeznaczenia do prostytucji ani do wielożeństwa.

A dalej jeszcze większa armia. To ci, którym życie nie pozwoliło związać się z osobą ukochaną. Przecież *Mysterium Magnum* nie może być targiem ubitym za wszelką cenę, byle tylko w zgodzie z przepisami dostać prawo do spania z kimkolwiek. Wiele już kobiet i mężczyzn wie o tym, że do miłości zmysłowej daje człowiekowi prawo tylko miłość duchowa. Dlatego wybierają trudną samotność... i otrzymują od Ciebie szczególne zadania. Stają się niechący solą ziemi. Nie ma obawy, aby gatunek ludzki zaginał. Nigdy nie zabraknie herosów jego utrzymywania. Łatwiej płodzić niż wychowywać, łatwiej bezmyślnie rozprzestrzeniać życie niż je ulepszać.

Czy dość już tych, którzy „sami się skazali dla Królestwa Niebieskiego”? Tych, którzy nie szukają ziemskich miłości, bo Ty sam raczyłeś im zastąpić wszystkie miłości — tych duchownych i świeckich ochotników Łaski, poślubionych Tobie przez Najczystszą Kobietę Ziemi, aby spalać się całkowicie w służbie? Czyż można uważać, Panie Żniw, że dość już posłałeś robotników na żniwa swoje, gdy w chrześcijańskich krajach Ameryki jeden kapłan wypada na kilkadziesiąt tysięcy ludzi?

Jeszcze chorzy, ułomni, którzy nie powinni płodzić dzieci. Jakże wielu ich jest! Może właśnie tych naj-

słabszych powołałeś, aby zawstydzi cię ciałem i krwią. Trzeba tylko, aby ta część mieszkańców ziemi, wzywana przez Ciebie, odpowiedziała swemu powołaniu.

Na początku czasów powiedziałaś: „Rośnijcie i mnożcie się, i napełniajcie ziemię”. Teraz już nie powtarzasz tego nakazu. Budujące historie sprawiedliwych Abrahamów i Jakubów, zapładniających z natchnienia Twojego liczne żony i niewolnice, stały się anachronizmem, który gorszy nasze dzieci. Dzisiaj już ziemia jest zapełniona. Co dnia, co godzinę nieprzeliczone legiony matek pozbywają się nie donoszonego płodu. Co roku kilkadziesiąt milionów ludzi przybywa na ziemię. Z coraz większym trudem znajdujemy dla nich miejsce obok siebie.

Kwestia murzyńska, kwestia żydowska, kwestia marokańska idą w cień. Kwestia ludzka — przeludnienie. Spędza to sen z powiek wielkim politykom, staje się postrachem kontynentów. Ludzie pędzą ludzi na równiku i pod biegunem północnym. I jeśli jakieś państwo nie ma wydatnego przyrostu, to nie dlatego że jego obywatele żyją powściągliwie, ale że dając wolny upust swym namiętnościom, potrafią nie cofać się przed niczym. Wynaturzenie, trucizna, mord — czy to jest droga cywilizacji i postępu?

Jedyne rozwiązanie — to opanowanie popędu, choćby kosztem największych ofiar.

Świeca się dopala, a myśli wciąż się rodzą. Nie zdążę zanotować tego, co mi nakazujesz, Panie.

Ty jesteś samą miłością i dobrocią. Nie stawiasz nikogo w położeniu bez wyjścia. Jeśli powołujesz nas do czystości, to dajesz nam możliwość jej zacho-

wania. „Nie będą mogli więcej umrzeć, bo są równi aniołom i są synami Bożymi.” Tak opisałeś życie Wieczne, w którym ani się żeniają, ani za mąż wychodzą. Królestwo Boże jest w nas. Już teraz słowa Twoje się ziszczają. Już dzisiaj wielu „jest dane” zapoczątkować życie ludzi Przyszłego Wieku. „Albowiem wielu jest powołanych.” Gdyby połowa z nich usłuchała głosu Twej Łaski, życie stałoby się wspaniałe. Krzywa ewolucji wystrzeliłaby w górę. Popęd płciowy jest potężny, ale Łaska Twoja potężniejsza. Ślepa siła rozrodcza — dźwignią tytanicznego, największego w dziejach postępu. Tymczasem ludzkość chora, pijana wykrwawia się coraz bardziej. Okropna rana, którą wycieka dzień i noc życiodajna siła...

Ciągle w gąszczu przesądów, zabobonów, obcych nawet tępogłowym zapaśnikom starożytnej Hellady, wleciesz się z trudem, gospodarzu ziemi.

Stajesz się panem świata, gdy opanujesz samego siebie, bo jesteś streszczeniem świata. Zdobywasz władzę nad siłami przyrody i prawdziwą wolność, gdy zawładniesz sobą.

Czystość, wstrzemięźliwość — atrybuty pełnego człowieczeństwa. Wolna miłość, rozpusta — duchowe kołtuństwo, bydłące zacofanie. Coraz więcej kobiet i mężczyzn powinno zrywać poniżające pęta; przestawać być niewolnikami popędów; podnieść się ponad poziom zwierząt. Inteligencja. Wola. Łaska.

Duch — wieczny rewolucjonista.

Ale żadna rewolucja nie odbywa się bez ofiar. Górnicy, lekarze oddają zdrowie dla dobra wszystkich. Każdy człowiek czysty pracuje dla dobra wszystkich. Ukryty i nie znany, jest potęgą, której najbardziej potrzebuje świat. Potrzeba przesady dla

zrównoważenia braku. Potrzeba ofiar. Potrzeba gwiazd.

Falsz o szkodliwości wstrzemięźliwego życia jest natchniony przez przeciwnika rodzaju ludzkiego. Wstrzemięźliwość przywilejem upośledzonych i zimnych fajtlap? Nie, rzeczywistość śpiewa inną pieśń. Pole popisów gwałtowników, dzieci ognia, którzy opanowali swe popędy w dramatycznej walce, a rozkwitnęli geniuszem: Hieronim, Augustyn, Katarzyna, Tomasz.

Tak, czystość jest niezdrowa dla brudnych, bo ciało i dusza w człowieku to jedność; bo człowiek nie dzieli się na *psyche* i *soma*, on jest ciałoduszą. Nie można bezkarnie żyć we wstrzemięźliwości ciała, gdy duch opanowany jest żądzami: to na pewno szkodliwsze od rozpusty. Z ignorancji tych prawd wynika zakłamanie i obłuda świętoszków wszystkich czasów... Aby zachować czystość radosną i twórczą, trzeba wyrzeczenia. „Nie może człowiek nieść w zana drzu ognia, aby nie zgorzały szaty jego.” Jedyne pole, na którym tchórzostwo jest bohaterstwem.

O Panie mój, Panie, łatwo to wszystko mówić, gdy tymczasem ja sam... Iskra z oczu jednej, spotkanej na drodze dziewczyny padła i rozpałała we mnie pożar. Czy naprawdę jestem uczniem Twoim? Miraż życia we dwoje, podwójne istnienie. Budzi lęk i olśniewa. Zaufać komuś całkowicie. Zdjąć wreszcie sztywny uniform. Rozbroić się zupełnie w mieszkaniu przyjaciela. Powierzyć mu swój sen. Sen... Sen...

Tak, Boże, tak, ja wiem. Już dobrze. Wybrałaś mnie, abym żył w czystości. Skazujesz mnie na życie samotne. Twoja wola jest dla mnie prawem. Gdybym

się ożenił — zdradziłbym Ciebie. Zdradziłbym swoje człowieczeństwo.

Ja rozumiem tajemnicę szóstego błogosławieństwa. „Szczęśliwi czystego serca...” Zakaz zmysłowej miłości, który obejmuje nie tylko mnie, ale wielu moich braci, nie wypływa z jakiegoś widzimisie, z nie-ludzkiej surowości Wielkiego Zazdrośnika. Ty nie jesteś sadystą. Ty nie lubujesz się w udręczeniu ludzkiego zwierzęcia, jak to wynika z życiorysów niektórych hagiografów. Mimo licznych upadków celibat — to wielka zdobycz Kościoła. To nic, że część Twoich sług jeszcze do niego nie dorosła i że zamiast wzbogacać, nieraz dewastuje on ich psychikę. W porównaniu jednak do dawnych wieków — jaki postęp!

Tu chodzi o wielką stawkę — o osiągnięcie Absolutu. Abyś Ty mógł zagrać na strunach ducha, potrzebny jest pewien stan fizyczny czyniący te struny dostatecznie czułymi. Pętając w sobie zwierzę przez życie czyste — zdobywamy taki właśnie stan. Uzdolniamy się na przyjęcie światła. Widzimy. „Oglądamy Boga.” Każde nawet najmniejsze uczestnictwo w Królestwie Niebieskim wymaga czystości serca.

I w małżeństwie obowiązuje czystość, więcej, ono istnieje tylko przez czystość: czystość wierności. Czy małżeńska czystość nie byłaby dla mnie trudniejsza?

Wiem, że ubłogosławiasz wielkimi łaskami małżeństwo, ale szczególnie lubujesz się w stanie dziewiczym. Sam jesteś czystością, zrodziłeś się z Dziewiczej Matki, którą po swej śmierci oddałeś w opiekę dziewiczemu, najbardziej umiłowanemu ze wszystkich uczniowi, Janowi. W dziewictwie żyło tysiące Twoich Świętych, których wyjątkowo świetnymi obsypywałeś darami, a i ci, którzy żyli w małżeń-

stwie, często po jakimś czasie ślubowali Ci czystość zupełną.

„Niepokalanego bojowania zapłatę wygrywając...”
Niepokalana Matko — wspomóż mnie, albowiem jestem jeszcze bydlęciem. Oczekiwana, przepowiadana przez samego Boga, opiewana przez starożytnych wieszczów, żywa tęsknoto wszystkich ludów, Ty, któraś nawet za cenę Boskiego Macierzyństwa nie chciała stracić swej dziewiczej czystości — wesprzyj mnie łaską swego Syna. Spraw, aby bojowanie moje było niepokalane. Jeśli czystość moja ma się okupywać heroizmem, niechaj nie ulegnę pokusie wyrzeczenia się jej.

Ta śnieżna biel ducha, broniona przez ludzi z ciała i krwi — uparcie, rozpaczliwie, aż do krwi przelania, ten stos ofiarny, słup ognia, bijący nieustannie w niebo na świadectwo świata, że człowiek jest wielki, że poza zmysłami, poza materią istnieje ogromna rzeczywistość, ogromne piękno...

Ta śnieżna biel, której ja, nędzarz, dosięgam tylko uwielbieniem i tęsknotą, której we łzach pragnę i łaknę...

N O C Ó S M A

O, te kilka kroków, które trzeba zrobić, aby usiąść na ławce pod domem! Kilka kroków, które przebiegniecie lekko, bez wysiłku, nie pamiętając o tym. Nie widzicie przestrzeni, którą przemierzacie, którą przeskakujecie prostym zachceniem, sprawnie, płynnie, jak ryba w wodzie jednym drgnieniem pletwy, jak motyl w powietrzu jednym ruchem skrzydła! Czy uświadamiacie sobie ogrom tej łaski, którą podobało się Ojcu was obdarzyć?

Te kilka kroków, na które ja zdobywam się najwyższym wysiłkiem woli, w śmiertelnym lęku, w męce konania. Każdy krok — to wygrana bitwa przed następną bitwą, która już chyba będzie klęską. Te kilka kroków, które trwają wieczność. Ta droga krzyżowa od środka wyboistej ulicy w małym miasteczku do ławki przed parterowym domkiem. Nad ławką tabliczka: „Pokój do wynajęcia”. Aby tylko tam dojść, aby dojść do białej tabliczki, na której wypisano: ratunek.

Dopiero usiadłszy, w pełni odczuwam potworny ból.

Ścisła mi piersi. Zwaliała się na mnie góra: gniecie, zapiera oddech. Powietrze nie jest powietrzem, ale duszną przestrzenią, z której nie można się wyrwać. Bzy pod oknem parują trującym gazem.

Otwierają się niskie drzwi i staje w nich schludnie odziana staruszka, której oczy szybko napełnia troska.

— Co panu się stało? Jaki pan blady, może wody?

Przynosi szklankę wody, którą odsuwam trwożnym gestem. Siada przy mnie. Milczy, jakby już wiedziała wszystko. Ociera mi spoconą twarz chusteczką.

Po kilkunastu minutach atak ustaje. Jestem nowo narodzony i słaby jak niemowlę. Nie mogę mówić. Do mieszkania proboszcza już dzisiaj nie dojdę. Czy staruszka pozwoli mi tu zostać?

Prowadzi mnie do pustego pokoju, tego do wynajęcia, i kładzie na łóżku. Przynosi znowu wodę i sok malinowy. Sok malinowy i miód — powiada — to najlepsze lekarstwa na serce, ale miodu nie ma, przyniesie mi później od sąsiadki. Jacy ludzie są dobrzy!

Staruszka niczego nie żąda za swoje usługi. Prosi tylko o jedno. Dowiedziała się ode mnie, że wierzę w Boga i jestem pisarzem. Kiedyś wnuczka jej, bawiąc się przy kuchni książką do nabożeństwa, jedyną książką, którą posiada i którą bardzo ceni, przypaliła kartki z rozdziałem o drodze krzyżowej. Teraz nic tam nie można odczytać. Prosi mnie, żebym napisał jej rozmyślanie o drodze krzyżowej. Naturalnie w przyszłości, jak wyzdrowieję. Teraz śpi obok w kuchni. Kuchnia jest maleńka i drzwi trudno byłoby otwierać, dlatego ich nie ma. Wejście zasłania koc, przez który przepływa lekkie chrapanie. Ja nie wyzdrowieję, moja kochana. Jutro może umrę. Muszę napisać ci to dzisiaj, teraz.

Panie Jezu, pozwól mi napisać dla tej dobrej kobiety rozmyślanie o Twojej Królewskiej Drodze.

Przebacz mi, że niedawno poddawałem się rozpacz. Wątpiłem w to, że mnie kochasz, i przemawiałem do Ciebie jak bluźnierca. Wyrzucałem Ci Twoją dobroć, która mnie obdarza brzemieniem cierpień. To brzemie wydawało mi się za ciężkie.

Mówiłem: Twoja męka nie trwała jednej doby, a ja już męczę się tyle lat! Twoje Serce było przebite już po śmierci włócznią Longinusa, a moje serce za życia przebijają, jakże okrutnie, godziny, minuty, sekundy! Dopiero gdy umierałeś na krzyżu, ciemności zaległy wszystką ziemię, a ja prawie każdego ranka, pachnącego słońcem i swiergotem ptasząt, wstępuję w ciemność, przez którą każesz mi się przedzierać do światła, bez nadziei, że do niego dotrę. Jakie to nieznośne! Panie, Ty konałeś raz jeden, a ja już konałem sto razy, ja żyję w nieustannej agonii!

Zapomniałem o tym, Dobry Panie, że Ty i ja stanowimy jedno. Że jestem tylko częścią Twego Ciała. Że ja dopełniam w swoim ciele Twoje cierpienia. Cóż za honor!

Ale zapomniałem i o tym, że Twoja męka była największą ze wszystkich cierpień, jakie wszyscy ludzie od początku świata do końca wieków przeżyli i przeżyją. Przecież jesteś Bogiem i każdy najmniejszy ból rozlegał się w Tobie z boską potęgą, w tysięcznych echach! Masz naturę ludzko-boską, tak niewyrażalnie jedyną, tak wspaniałą, że nikt z nas o niej nie ma najłżejszego pojęcia. Możemy tylko wyobrazić sobie, z jak nadzwyczajną, kosmiczną wrażliwością Twoje nieskażone ciało odczuwało wszystko. I chociaż nie wbijano Cię na pal, nie obdzierano ze skóry, nie palono na stosie, nie gotowano we wrzącym oleju — jeden policzek, jedna plwocina na Twojej boskiej

twarży, jeden raz rzymskiego bicza, jeden gwóźdz krzyżowy wystarczył, aby Cię napełnić bólem po brzegi nieskończoności, aby Cię zamienić w pochodnię bólu, która rozżagwia niebiosą!

Któż mógł poznać, choć zewnątrz, Twoją mękę, przyjrzeć się Twojej twarzy, wtedy gdy Ty, nieustraszony i mężny, upadałeś na swojej drodze pod ciężarem krzyża? Przecież wszyscy, którzy Cię kochali, odbiegli od Ciebie jak ptaki spłoszone wystrzałem. Wszyscy zdradzili, wyparli się Ciebie w godzinie, dla której właśnie przyszedłeś na ziemię.

Nie, nieprawda, nie wszyscy. Jeden z Twoich uczniów szedł za Tobą krok w krok. Widzę go. Pójdę z nim razem drogą, którą Tyś dla mnie wczoraj przebył. O tak, na ziemi nie ma bardziej Królewskiej Drogi...

Brama Bab-en-Nadir zahuczała jak bęben, uderzony nagle tysiącem pałeczek. Tupot wielu niecierpliwych stóp, dziki gwar stłoczonej w wąskiej gardzieli gromady mężczyzn i wyrostków, z których każdy przedzierał się naprzód, nie bacząc na innych, napełniły sklepienia ogłuszającym echem.

Jan, potracony brutalnie przez rosnącego Idumejczyka z koszem na plecach, przewróciłby się wnet, gdyby gęstniejąca wciąż ciżba nie wpełchnęła go w niszę z lewej strony. Nie próbuje wydostać się stamtąd. Przywarł rozpalonym czołem do zmurszałego głazu i ręką uchwycił hak, sterczący w otworze.

Nogi pod nim drżą, oczy przesłania czerwona mgła. Za chwilę chyba upadnie. Pragnie już tego niemal, chce paść bez duszy pod kopyta okropnego tłumu. Niech go wdeptą w ziemię, niech rozniosą na szcząt-

ki, jak padlinę, jak cuchnące ścierwo, aby już nic nie widział, nie czuł, nie istniał.

Nie jest godzin istnienia. Dlaczego milczy?! Czyja dłoń chwyta go za gardło, dusi tak mocno, poraża paralizem za każdym razem, gdy otwiera usta i próbuje krzyknąć głosem wielkim, głosem, który ma moc zatrzymać tę straszliwą procesję?

Na poziomie jego głowy jest wyrwa, przez którą widać wszystko. Całą drogę od murów świątyni, zeskakującą bazaltowymi stopniami w dół do strumienia Tyropeon, i dalej, wyżej, gdy skręca na północno-zachód, aż po mury zewnętrzne, po bramę Efraima — ma przed sobą jak na dłoni. Tylko za domem Alfeusza kępa palm przesłania ją nieco.

On jeszcze tam nie doszedł. Idzie wolno, ciężko stawia kroki. Każdy może nasycić się widokiem tej hańby, obrzucić Go kamieniami wyzwisk, napluć pod boscę nogi, czyniąc tłusty, oślizły bruk ulicy jeszcze bardziej zdradzieckim. Chwieje się... przystanął!

To dobrze, że On idzie tak wolno. Może jeszcze ktoś zdąży... O Jahwe, jak to drzewo okrutnie stuka na nierównych schodach! Kwadratowa belka zsuwa się leniwie ze stopni i wybija głuchy takt górujący nad wyciem tłuszczy, ostrym krzykiem legionistów, lamentem kobiet. Śmiertelna melodia ucichnie dopiero na Górze Czaszki, gdy młot kata wbije ostatni gwóźdź w żywe ciało Pana.

— Ty Umiłowany, Ty Królu Mój... Drżysz za każdym wstrząsem, kurczysz się. Takież teraz maleńki pod tym surowym, długim drewnem szubienicy... Twoja niepokalana tunika rumieni się coraz mocniej, będzie niedługo czerwona jak chlamida, którą

Cię odziano w nocy na pośmiewisko. Będiesz miał znów królewską purpurę. Z prawego barku, spod miażdżącego patibulum, płynie świeża krew. Rubinowa plama rośnie na zgarbionych plecach. Włosy już nie lśnią miedzianym połyskiem w słońcu południa. Zlepione kosmyki... brudna, martwa skorupa leży na głowie. Głowo Najdroższa... Tak oni Ciebie, swego Boga... Nad uchem tkwi cierń ułamany. I nie rozrywa się ziemia, nie płoną niebiosy?! W czystym błękitie trzepece się skowronek, dzwoni radośnie, wiosenny oddech napływa z pól, w ogrodach kwitną sykomory, migdały, róże... tak jak wczoraj, jak zawsze.

On idzie coraz wolniej — to dobrze. Może nie zdąży przed sabbatem. Może wreszcie ktoś... dlaczego nie on sam, Jan?! Co go trzyma? Czy nie ohydna ręka strachu, przeklętego, poniżającego do ostatecznych granic strachu? Nie, to nie to. Czyżby przestał już być uczestnikiem tragedii i zamienił się w biernego widza? On przecież jest odważny, najodważniejszy; z gromadki dwunastu znalazł się tu jeden jedyny. Z Piotrem rozstał się na dziedzińcu arcykapłana, dokąd wprowadził go dzięki znajomości z odźwierną. Teraz i ten, zaprzaniec, siedzi, zapłakany pewno i wystraszony, wraz z bratem Jakubem i innymi bohaterami w grobie Hezira, aby bezpiecznie doczekać końca.

Tak to się kończy wszystko. Kończy się życie, kończy się świat. Nie ma już, nie będzie Królestwa. Mój Boże, na wzgórzu u wrót Jerycha prosił kiedyś Pana z Jakubem, aby w Jego Królestwie siedzieli obaj po prawicy i po lewicy... Kiedyż to było? Przed dziewięcioma dniami? Dawno, bardzo dawno, chyba

przed wiekiem. Za godzinę Pan wstąpi na inny tron, a towarzyszyć Mu będą łotry. Tak, tak będzie. Nie, nie będzie tak, nie może tak być!!! Ale...

— Zaprzaniec — dlaczego nazwał Piotra zaprzańcem? On sam — kim jest w tej chwili? Że odważył się przyjść aż tu, że płacze całym sobą, jakimś suchym, rozrywającym duszę płaczem, że serce pęka mu z bólu nie do zniesienia, że oddaje się rozpacz — to... to już cały jego tytuł wierności? Dlaczego nie czyni tego, co powinien, żeby ocalić Pana od śmierci, od hańby niesłychanej?!

Lęk przed śmiercią? Niestety, to coś gorszego. W rozpalonej głowie huczą, błyskają oślepiające myśli. Przed minutą jeszcze, gdy szeregiem naiwnych wymówek przyduszał jęk podnoszący się z młodzieńczej, nabrzmiałej żądzą życia piersi, gdy odkrywał pokornie swoje dwadzieścia trzy lata, brak stanowiska w Izraelu, nawet gdy przewidywał, nie wiadomo czemu, nieskuteczność interwencji — mógł przeklinać swoje tchórzostwo. Teraz chętnie by powtórzył ów akt samopotępienia, aby w nadludzkiem wysiłku otrząsnąć się z trwogi i zerwać do czynu. Zdaje mu się, że w tej chwili zdobyłby się na to. Daniel był pacholeciem, gdy przed sędziami i wszystkim ludem zawołał głosem wielkim: „Czystym ja jest od krwi tej” — i wyrwał Zuzannę z rąk plugawych starców, przekreślając niesprawiedliwy wyrok.

Ale teraz nachodzi nań co innego. Lodowa chmura zwątpienia zatopiła go w sobie. I dlatego tak stoi i patrzy, jak niemy widz, jak mieszkaniec innej planety, co przypadkiem znalazł się na ziemi obiecanej, wśród tego ludu, który wlecze na śmierć Mesjasza. O, to jest gorsze od strachu, gorsze od śmierci. On

już się nie boi. On tylko chce się przekonać, czy nikt z ludu nie ujmie się za swoim Królem. Przecież On nim jest — nie wyparł się wobec prokuratora swej władzy. „Jezus z Nazaretu, Król Żydowski” — głosi napis na desce niesionej przed Nim przez żołnierza. Czy to jest dowód Jego winy, czy dowód Jego Prawdy?!

Jan uświadamia sobie w osłupieniu, że niewiara poczęła się wkradać w jego serce już w nocy, wywołana wstrząsem, jakiego doświadczył u Kajfasza i Piłata podczas parodii procesu, w którym pogwałcono wszystkie prawa Mojżeszowe: bez obrony, bez świadków, o niedozwolonej porze skazano na śmierć Niewinnego. Oni jednak byli źli, czyhali na Jego zgubę od dawna. Teraz chodzi o prosty lud; o te owce, co ciągnęły lat kilka za swoim pasterzem. Syn Dawidów, Syn Boży, Zbawiciel oczekiwany całe wieki, Król królów — nie znajduje wśród nich żadnego obrońcy? To już nie lęk, ale przeraźliwa ciekawość trzyma go w miejscu. Ta hańba... ta kara, wymyślona przez wroga, przeznaczona dla złoczyńców, dla niewolników... Bo jeśli...

Potrzeba tylko jednego głosu! Jeden sprzeciw może wstrzymać egzekucję i zmusić ich do rewizji wyroku wydanego przez mężobójców i kłamców. Jeden człowiek ma moc uratować naród wybrany od zbrodni najgorszej, trudnej do pojęcia, takiej, którą cała ludzkość raz tylko może popełnić. Mądre i dobre jest prawo żydowskie. Kto z niego skorzysta?

Przed drzwiami Sanhedrynu stoi woźny z niebieskim proporcem w ręku. Konny jeździec za orszakiem Jezusa co chwilę obraca oczy w tył. Razem z nim odwraca głowę Jan. Patrzą, czy chorągiew nie

pochyla się w dół: znak, że ktoś protestuje w Radzie. Od fortecy Antonia do bramy Efraima droga niedaleka — zaledwie dwa i pół stadiona. Mimo krzyków i wycia, mimo jęków i płaczu wszyscy słyszą i słyszeć będą do końca, aż do samej Góry Czaszki, monotonny głos woźnego:

— Kto chce dowieść niewinności Jezusa, niech się śpieszy!

A Jezus idzie ciągle. Biała postać, zgięta wpół pod ciężarem krzyża, tonie w fioletowych cieniach oliwek, rozbłyskuje w złotych plamach słońca. Robi się parno jak przed burzą, choć chmur na niebie nie widać. W cieniu potężnej bramy Jan odczuwa rosnący upał. Jest godzina piąta.

Jezus zeszedł już na dół. Wchodzi w ciemny wąwóz uliczki, między wysokie domy, milczące okna, skąd bije zgniło-słodki odór oliwy i piżma. Z przecznicy wyskoczyła wataha chłopaków. Krzyczą coś, gwizdzą, ciskają kamienie. Jakaś kobieta rozpycha ich, wybiega na środek drogi, nie zważa na groźny gest centuriona, wykonawcy wyroku. Ociera twarz Jezusa chustą. To Berenice, Greczynka. Niewiasta! Istota bez prawa głosu! Tylko one ośmielają się płakać głośno, nie obawiają się okazywać Mu współczucia! Pan przystanął... coś do nich mówi. Idzie dalej. Przekracza mostek na Tyropeonie. Wstępuje teraz pod górę. Porusza się coraz wolniej. O, jak musi Mu być ciężko! Czy dojdzie do celu, wykrwawiony biczowaniem, zmalretowany przez żołdaków, pólżywy? Znow staje, pochyla się mocno, upada! Żołnierz uderzył Go batem, drugi Go kopie. Ach! Unosi wolno swoje okropne brzemie, kroczy kulawo naprzód... znow pada!

Ale oto z ogrodów Gareb wychodzi człowiek. Wraca pewnie z pola. *Extractor mortis* i kapłani zatrzymują go. Zdejmują krzyż z Jezusa i kładą mu na ramiona. Jezus idzie przed nim, zwolniony z ciężaru. Janowi się zdaje, że idzie teraz prędko, strasznie prędko, jakby się śpieszył, jakby się bał, że Mu coś przeszkodzi dojść za nim... Tak, kapłani też się tego boją. Nie z litości zmusili Szymona z Cyreny do pańszczyzny. Święty dzień Paschy bliski, a przecież może ktoś... Boże, jak On rażno idzie! Do bramy Efraima już niedaleko, najwyżej stadion. A przecież może jeszcze ktoś...

A więc nikt? Ani Bartimajos z Jerycha, który siedzi rozkraczony na gałęzi sykomory i patrzy z góry, niby na ciekawe widowisko... Czemu nie krzyczy teraz: „Zmiłujcie się nad Synem Dawida, on obdarował światłem moje oczy! Zmiłujcie się!” Ani centurion z Kafarnaum, którego Piłat ściągnął na ten dzień z oddziałem legionistów dla pilnowania porządku. O, stoi tam, na rogu ulicy, wyprężony jak struna, niemy jak słup soli, nie zadrży mu powieka. Inaczej wyglądał tego dnia, gdy sługa jego konał.

Jan widzi ich wszystkich, przybyłych z całego kraju na Dzień Święty. Zjawili się zewsząd razem, jak na Sąd Ostateczny. Pamięta ich twarze. Idą opętani — oswobodzeni od szatana, trędowaci — oczyszczeni, głodni — karmieni hojnie chlebem i rybą, ślepi widzący, niemi mówiący, świadkowie cudów z Betsajdy, Kany, Tyberiady, z Cezarei Filipa, Żydzi i poganie od Bethabary aż do Tyru. Pięć dni temu rzucali płaszcze pod nogi osłęcia, na którym jechał ten Skazaniec, powiewali gałęzmi i wrzeszczeli do utraty tchu:

— Hosanna!

— Niech żyje Król!

I błogosławili Go, wynosili pod niebiosa za wszystkie cuda, jakie im uczynił. Dziś milczą. Żeby tylko milczeli! Jan słyszy ich wrogie okrzyki:

— Uzdrowił mnie, a sam już ledwo dyszy!

— Oświecił mnie, a sam ślepie już zupełnie!
Patrzcie, znów przewraca się na kamieniu!

— Mesjasz spod szubienicy!

— Samozwaniec!

— Zwodziciel! Obiecywał nam żywot wieczny i dzisiaj skona pierwszy! Hej, stolarzyno z Nazaretu, kto ci ten krzyż heblował? A gdzie twoja korona?

— Poganiajcie go prędzej, bo zachód słońca blisko!
O tak, brawo, Azronek, kamieniem go z tyłu, dobrze mu, bluźniercy!

— Precz z nim!

Pałące bicze ohydnych krzyków smagają Jana po twarzy. Od kogoż oczekuje obrony Pana? Kto wyzna:

— On jest niewinny!?

Kto zaprotestuje, kto przypomni zaślepionym sędziom Mojżeszowe prawo: „Niewinnego i sprawiedliwego nie będziesz zabijał”? Choćby nawet herolda ze sztandarem wystawiono tylko dla pozorów, dla zamaskowania złej woli, która nie cofnie się przed niczym, to... jeśli ci, którym Pan całe życie oddał, boskimi mocami służył — jeśli ci teraz stoją potwornie obojętni lub biegną zadyszani, aby czym prędzej przywalić kamieniem Jego grób, to... to...

Jan zatrzymuje się ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem na krawędzi otchłani. Nogi się pod nim ugięły. Żeby nie upaść, opiera się rękami o kamienie bruku.

Są oślizłe i mokre. Podnosi dłoń do oczu — czerwoną od krwi. Krew... skąd ta krew?... Ach!

Nagła fala bólu i niewysłowionej miłości podrywa go do góry. Całuje własną rękę, przyciska ją do piersi. — Mój Bóg, Mój Król... Wraz z tym gestem milknie burza w jego sercu. Kołowrót myśli ustaje. Jakiś promień rozświetla ciemności. Słyszy słowa: „...Jeśli nie będziecie pić Krwi mojej i pożywać Ciała mego... potrzeba, żeby się to stało...”

Już rozumie nareszcie, że to druzgocące, to niepojęte musi się stać. Za murami miasta, obok brudnej fosy pełnej wszelkiego śmiecia, musi zawisnąć na szubienicy jego Pan Umiłowany, Najpiękniejszy Syn Człowieczy — skazany na śmierć nie tylko przez Annasza, Kajfasza i Piłata, nie tylko przez faryzeuszy, skrybów i herodian, nie tylko przez braci jego, żydów, i obcych pogan, ale przez wszystkich ludzi, jacy są, byli i będą — i przez niego samego. Ta chwila zwątpienia, której się niedawno poddał, wystarczyła, aby Pan umierał. Gdyby wszyscy inni byli świętymi i rzucili się w Jego obronie jak Piotr w Getsemani — On i tak oddałby swoje życie za jednego tylko Jana, aby zbawić go od złego.

NOC JEDENASTA

Należałoby o niej pisać błyskawicami, które rozpruwają niebo w czarną noc i oślepiającym pazurem wrywają mrokom świat.

Należałoby...

Dzień. Jawi się bielą firanek i młodziutką ziele-
nią gałązek kasztana, głaszczącego szyby uchylonego
okna. Stamtąd napływa śpiew radosny, przedobry,
niby kwilenie sygnaturek na Zmartwychwstanie.
Cuci zacadzony mózg odkryciem: po co szukać Boga
w *Summie Teologicznej*? Czyż nie znajduje się On
wszystek w gardziółkach małych śpiewaków za
oknem? Przecież to On śpiewa!

Już dochodzi czwarta. Zasnąłem nad kartą pa-
pieru. Przespałem całą noc. Dziwna przygoda!
O ósmej pociąg. Przyrzekłem księdzu prefektowi, że
mu zanotuję swoje uwagi o Łasce. Trzeba się spie-
szyć. Jestem niesprawiedliwy. Pomawiam księży
o przyziemne zainteresowania, a tymczasem ksiądz
prefekt do późnej nocy rozmawiał ze mną tylko
o sprawach Bożych. To prawdziwy teolog. *Summę*
Teologiczną zna lepiej niż ja katechizm. Co za subtel-
ność! Powiem — co za wyrafinowanie w tych rozwa-
żaniach. Idzie się po ostrzu miecza nad przepaściami,
którym na imię: Sprawiedliwość i Miłosierdzie, Zba-
wienie i Potępienie, Przeznaczenie i Wolność. Stra-

szne imiona. Przyznam się, że cała ta dyskusja, prócz bólu głowy, nic mi nie dała. Święty Tomasz, Molina, Suarez. Determinacja i predeterminacja. Łaska dostateczna i łaska skuteczna. Jakie światło wnoszą do umysłu te dystynkcje? W rezultacie czymże jest Łaska? Zagubiliśmy się w podziałach, rodzajach i kategoriach Łaski i zapominamy, że jest ona najsilniejszym znakiem Bożej miłości. Słynne dystynkcje nie podobają mi się zupełnie. Jak to? „Łaska dostateczna”, której Bóg nikomu nie odmawia, wystarcza do zbawienia teoretycznie, w porządku możności, bo rzeczywiście, praktycznie dopiero „łaska skuteczna” daje nam moc wykonania zbawiennego czynu. Kto otwartym sercem przyjmuje „łaskę dostateczną”, temu Bóg nie odmówi „łaski skutecznej”, koniecznej do zbawienia. A co sprawia, że otwartym sercem przyjmujemy „łaskę dostateczną”? — Łaska Boża. A więc błędne koło. Fatalizm. Oto co słyszałem: „Jeśli Bóg sprawia w człowieku dobrą wolę za pomocą łaski skutecznej, to znak, że chce On skutecznie uczynić miłosierdzie. Jeśli nie — to dopuszcza, że człowiek pozostaje w swej zatwardziałości. Dopuszcza dla wyższych racji. Tą wyższą racją jest manifestacja Bożej sprawiedliwości. Wprawdzie Bóg może siłą łaski zawsze usunąć brak dobrej woli w człowieku, ale nie zawsze to czyni. Dlaczego? Tajemnica predystynacji”.

Mój Boże, jak ciężko człowiekowi jest wkraść się w Twoje tajemnice! Myślę, że to wszystko nie jest powiedziane, tak jak należy. Że w Drodze na te tematy nie sposób wyrazić się poprawnie. Przeznaczenie jest i nie ma go. W dramatycznym turnieju woli z Łaską przegrywa czasem Wszechmogący. Jesteśmy

po czubki włosów zanurzeni w czasie, a Bóg jest poza czasem. Dopóki nie odejdziemy od siebie na odległość gwiazd, dopóki nie przestaną podmywać naszych myśli pulsujące elektrony... Ale przyznam Ci się, Panie, że gdybym tak mówił jak owi mądrzy teologowie, musiałbym Ciebie znienawidzić, a słowa objawienia: „Bóg chce, aby wszyscy byli zbawieni” — nazwać ponurym żartem. Wybacz mi zuchwałstwo, ale ja inaczej pojmuję Ciebie, Dobry Ojczy, i Łaskę, dzięki której jestem Twoim dzieckiem. Jeśli Ty masz swoją tajemnicę „przeznaczenia” — my mamy swoją nieszczęsną tajemnicę „wolnej woli”, przed którą nawet Ty się zatrzymujesz. Gdyby było inaczej, nie wydałbyś Syna swego na mękę. „Kto widzi Syna — widzi Ojca”. Nie mogę patrzeć inaczej na świat niż przez dziury przebitych rąk Twego Jedyne go Syna. Widzę przez nie tylko niebo. Niebo Twojej miłości. A teraz, gdy śpiewasz mi za oknem, będę pisał dalej o Łasce...

Należałoby o niej śpiewać głosami ptaków, które czuwają we mgle porannej i razem z promieniami jutrzeńki pukają cicho do bram nowego dnia.

Należałoby o niej mówić powiewem wiatru, który rodzi się o wiosennym zmierzchu i za ledwie zdoła coś szepnąć liśćmi nadrzecznych trzcin.

Ale choćbym o niej mówił głosem ludzkim czy anielskim — niewiele o niej powiem. Jest niedotykalna, niewyrażalna, nieuchwytna. Przychodzi nie wiadomo skąd i działa nie wiadomo jak, a w jednym ułamku sekundy daje nam moc — moc synów Żywego Boga.

W teologicznych księgach wiele o niej piszą. Ochrzczono ją różnymi nazwami, podzielono na kategorie, wyznaczono stosowne funkcje, określono dokładnie skutki. Nie bardzo ci te uczone traktaty pomogą. Im więcej o niej będziesz czytał, tym mniej jej sens zrozumiesz. W końcu pomyślisz, że może jej wcale nie ma. Może to tylko sama Odwieczna Miłość ziele tym ogniem, płonie tym światłem, przebija grube mroki naszych dusz, przelewa się przez nie i napełnia sobą? Może Miłość Samoistna jest tym magnesem, który przyciąga do siebie wszystko spragnione ciepła?

Dziwne opowiadają o niej rzeczy. To najgorsze, że nieraz sądy ze sobą sprzeczne wydają się równocześnie prawdziwe. Jest pewne, że atakuje ona każdego człowieka, który na ten świat przychodzi; nikogo nie zostawia w spokoju. Każdego tropi bezustannie, od kolebki aż do grobu, znajduje wszędzie i wszędzie trafia palącymi strzałami. Nie ma takiej sytuacji ani takiego miejsca, które by mogło nas przed nią uchronić.

A mimo swej celności i siły — nie zawsze zwycięża. Mimo że wszechmocna, czasem wydaje się bezsilna. I nie wiadomo, co bardziej jest nadzwyczajne: czy jej potężne i skuteczne ataki, czy nasza słaba i jeszcze skuteczniejsza obrona.

Jeżeli pozwoliłem sobie porównać jej wizyty do strzał, to po to, aby zaznaczyć, że inne, zupełnie odmienne porównania, może lepiej ją obrazują. Choć bowiem jej najścia bywają gwałtowne, jest ona z natury niewypowiedzianie łagodna i pokorna. Jej ciche nawoływania ledwie muskają nasze uszy, niby

głosy owiec zagubionych daleko, wśród skał. Puka ona wprawdzie często do drzwi twojej izdebki, ale czyni to z nieśmiałością dziecka, które łatwo odpędzić. Bez trudu możesz je zagłuszyć. Wystarczy ci zanucić jakąś piosenkę, otworzyć książkę lub gałkę aparatu radiowego. Przeważnie wślizguje się za tobą niepostrzeżenie. Będiesz z nią jadł i spał, wchodził i wychodził, będziesz z nią upadał i powstawał, nie wiedząc o tym wcale.

Zdarza się, że na naszych oczach przygina twardy kark gwałtownika, którego nigdy nic nie wzrusza. A obok inni, spokojni i prawi — dożywają lat swoich, jakby przez nią nie tknięci. Niektórych szczęśliwców od niemowlęctwa już otacza swymi względami — na innych spada dopiero w przedostatnim tchnieniu, prawie jak sęp. Jedni podkreślają jej wszędobylstwo, cierpliwość i nieustępliwość. Inni zwą ją nieobliczalną, kapryśną, utrzymując zuchwale, że i o niej da się powiedzieć: łaska pańska na pstrym koniu jeździ. „Tak — dorzucają — jest ona bardzo miłosierna, ale nie bardzo sprawiedliwa”. Czy nie wygląda to raczej na komplement?

Chociaż jej nie widzimy, nie słyszymy, nie wierzymy czasem w jej istnienie, jest bezspornym pewnikiem, że wszystko, co nas spotyka na ziemi — to jej wyraz doskonały.

Nie rozumiejąc działania — jak mogę pojąć naturę rzeczy? Zrezygnowałem więc z definicji. Usiłowałem złapać ją chytrym słowem. „Promienie słońca” wydawały mi się nieco wyświechtane. Nazwałem ją przeto „oddechem gorącym Boga”. Napisałem o niej: elektron boskości.

Ale i te metafory nie potrafią mi jej uzmysłwić. Promienie z najodleglejszych gwiazd, które docierają do ziemi, są wobec niej gruboskórne. Jest absolutnie duchowa, a nic tak silnie nie wiąże się z istotami materialnymi jak ona. Jakkolwiek stworzona i skończona — wprowadza nas w bezpośredni kontakt z niestworzonym i nieskończonym. Jest biletem wstępu do królestwa Boga! Daje nam udział w Jego naturze.

Gdyby człowiek dorosły powrócił do ciała swojej matki i urodził się z niej na nowo — byłoby to sto-kroć mniejszym cudem od tych, które ona co dzień mnoży, choć działa harmonijnie z przyrodą i jest sprawą zupełnie normalną. Ona to odradza nas do wspaniałego i nieprawdopodobnie nowego życia, jest zarodkiem, ziarnem naszej nieśmiertelności, absolutnej wiedzy, nieskończonej miłości. Ona to jest najmocniejszym fermentem chrześcijaństwa.

Dzięki niej właśnie spełnia się kusząca obietnica demona, która tak upoiła naszych prarodziców przed wiekami: stajemy się naprawdę „jako bogowie”. Wkraczamy z nią w wewnętrzne życie boskie, w nadludzką harmonię, światło i moc, nabieramy sposobu bycia naturalnego tylko dla Boga, dla Trójcy Odwiecznych Osób.

Jaki honor, jakie dobrodziejstwo, jakie dary można z nią porównać? Cóż przy niej znaczą zdrowie i piękność, geniusz i bohaterstwo, potęga i miłość, szczęście i sława? Jeśli jedno jej dotknięcie odmienić nas może do niepoznania, co może zrobić z nami jej obfitość? Wiemy coś o tym. Pewna skromna dziewczeczka, córka Joachima i Anny, otrzymała jej pełnię. I to wystarczyło, aby owa Łaski Pełna zabłysła

blaskiem niewiarogodnym na firmamencie niebios, zaćmiła wszystkie gwiazdy wszechświata: stała się Królową wszystkich najwyższych duchów i wszystkich synów bożych na ziemi.

W chwili gdy staje się naszą własnością, zastygają w podziwie anielskie hufce. Oto ulepiony z mułu ziemi zasiada ze swoim Stwórcą na tronie, podobny Mu przez nową, nadprzyrodzoną naturę.

Może ten właśnie ostatni paradoks będzie właściwą definicją? Nie — taką jej nie uwięzimy nigdy. Należy przecież do boskich intymności, jest tajemnicą jak każda rzecz, która Go bezpośrednio dotyczy. Wszystko więc, co o niej mówię, mieści się ciągle w jednym słowie: ona jest łaską. Łaską samego Boga.

Nie mam, nie mam czym jej określić, ja, który bez niej byłbym niczym! Odpychałem ją kiedyś całą siłą, nie wierząc w jej istnienie. Teraz trzymam się jej kurczowo, chociaż nie jestem jej godzien.

Byłem już tylko żywym trupem, gdy Łucznik wziął mnie na cel. I rana musiała być śmiertelna, aby śmierć odstąpiła ode mnie.

Mówią, że nie można żyć z grotem w sercu — ja drzę, aby go nie utracić. Bo wiem — gdybym wyrwał go z siebie, umarłbym z upływu krwi.

NOC DWUDZIESTA

Jesteśmy gruboskórni i powierzchowni, dlatego ulegamy złudzeniom. Jedna cecha wspólna wielu rzeczom sprawia, że utożsamiamy je ze sobą. Nie odróżniamy Chińczyków, bo każdy jest żółty i ma skośne oczy. Czarny uniform sutanny skłania nas do przypisywania księżom podobnych zalet i wad, do umieszczania ich w jednej klatce naszej wyobraźni. Mówimy: typ księdza... I ja tak dawniej widziałem.

Dopiero w czasie swojej wędrówki przekonałem się, że jest inaczej. Poznałem kilka zupełnie odmiennych typów księży. Nauczyłem się wyłuskiwać z sutanny człowieka. Człowieka, który każdy z osobna jest innym światem.

Ksiądz K. oddaje się nauce. To jego namiętność. Wydaje mi się dość rzadka u księdza osiadłego na skromnej plebanii, na wsi, z dala od ośrodków kultury. Co prawda jest on kanonikiem, ale to nie ma nic do rzeczy.

Duży pokój zawałony książkami. Grube tomiska, słowniki. Najwięcej słowników. Na biurku dwie maszyny. Obok na małym stoliku jeszcze jedna maszyna. Ksiądz kanonik ciągle mię zaskakuje. Gdy już go sklasyfikowałem jako zimnego naukowca — on:

— Niech pan ją sobie weźmie. Tę, o tę. Jest niewielka i zmieści się do teczki. Tak, na zawsze. Już jest pana własnością. Przynajmniej odczytam to, co pan napisze. Namęczyłem się wczoraj dość nad pańskimi bazgrołami.

Ledwie go przekonałem, że nie mogę niczego dźwigać. Przyrzekłem, że po nią jeszcze przyjadę. Mój Boże, teraz... A może rzeczywiście... Czuję się coraz lepiej. Ksiądz K. oddał mi ładny pokoik na górze i zaprzęga mię do współpracy. Przygotowuje on do druku słownik wyrazów obcych.

Siedzi tyłem do okna i zachodzące słońce prześwietla jego bujne, siwiejące już włosy, pozostawiając twarz w półcieniu. Ma dziwną wymowę. Zapala się i mówi głośno, prawie krzyczy, aby za chwilę urywanymi mruknięciami strząsać z cienkich warg roztapiające się słowa, które trudno zrozumieć.

Ma chyba ze sześćdziesiąt lat, o ile nie więcej, ale nie można go nazwać starym. Zarówno twarz, jak cała figura tchnie chłopcą niedojrzałością, jakąś dopiero co zgaszoną świeżością, a zmarszczki na czole, koło oczu i ust robią wrażenie raczej blizn po ostrych cięciach niż znamion pewnego wieku.

— Mój słownik, ho, ho, takiej rzeczy w Polsce jeszcze nie było. Plewy naturalnie odrzucam, nie obchodzi mnie byle śmieć. Wybieram słowa cięższego kalibru, same wielkie ćwieki, tkwiące we wręgach... Z dwudziestu tysięcy wyrazów cudzoziemskich nie przedostanie się do mojego słownika nawet trzy tysiące. Ale opracowanie! Zobaczysz pan sam. Każde hasło na kilku stronach. Wszystko tu jest. Dlaczego taka egzotyczna roślina zakorzenia się mocno w rodzimej glebie? Jakimi drogami przybyła?

Dlaczego zagłuszyła kwiaty ojczystych słów lub sta-
nęła na pustym placu i stała się niezastąpiona? Dla-
czego dla pewnych pojęć naród nie wytworzył sobie
w porę dźwiękowych znaków? Cała filozofia, panie.
A potem znaczenie etymologiczne, filologiczne, wy-
dobyć, odkurzyć; potem dobra definicja, synonimy,
projekt neologizmu, wykuć ze szlachetnego metalu
polszczyzny wyraz zastępczy, zwycięski, ho, ho, to
jeszcze nie wszystko, mój miły.

Przyznam się, że to mnie zainteresowało. Przeglą-
dam pracę i stwierdzam, że słownik kanonika jest
raczej encyklopedią, zbiorem esejów, wokół dowol-
nie wybranych pojęć i słów, ułożonych alfabetycznie.

— Zaczynam właśnie literę F. Pierwsze słowo:
„fanatyk”. Jeszcze nie opracowane. Czuję się trochę
zmęczony. W ostatnich czasach... Panie miły, a może
by pan? Jako filolog... Proszę naszkicować, to mi bar-
dzo pomoże. Tylko z tym słówkiem trzeba ostrożnie!
Widzi pan... my wszyscy jesteśmy trochę fanatykami
i nie możemy bezstronnie... trzeba by spojrzeć z po-
zycji najbardziej tolerancyjnej, szerokiej. Szkoda, że
pan taki pobożny.

Zielony księżyc zapalił ściany mego pokoiku.
Szyba nasiąka perłowym płynem, rama okienna ośle-
piająco błyszczy. Na stole, mokrym od światła, leżą
srebrne blachy: to karty papieru, na których będę
pisał. Jest tak widno, że mógłbym nie zapalać lampy.

„Szkoda, że pan taki pobożny.” Kanonik ciągle
mnie zaskakuje. Ale i ja go teraz zaskoczę. Napiszę
mu artykuł z pozycji... niewierzącego. To go chyba
uraczy. Niewierzący jest całkiem niezaangażowany.
Może sobie pozwolić (o ile to prawda) na zupełną
bezstronność. Takie krytyczne spojrzenie od zewnątrz

bywa pożyteczne. Może uda mi się to zrobić. Byłem tyle lat niewierzący... Przecież właśnie niekatolikom zawdzięczamy precyzyjne uwagi o konfesjonale. A najwspanialszy hymn ku czci Najświętszej Pani wyśpiewał Luter.

Zaczynam.

Fanatyk. Od słowa *fanum*, to znaczy miejsce święte, przeznaczone przez kapłanów na świątynię. *Fanaticus* po łacinie: należący do świątyni, szalony, natchniony. Synonimy: zapalenie, nadgorliwiec, gorączka (por. sanskryckie *hara*, greckie *theros*), zaślepieniec. Przeciwiństwa: umiarkowany, tolerancyjny, letni, rozsądny. „Fanatyk krzyż w jednej ręce, żelazo ma w drugiej” (Fr. Karpiński).

Jak zdecydowanie na to wskazuje etymologia *F.*, „fanatyk” i „fanatyzm” są pojęciami ściśle związanymi z religią. Odnosi się to do wszelkich religii, i to od najdawniejszych czasów. Zapał religijny rodzi się na podwórcach świątynnych i wsiąkając w naturę ludzką, nie zrównoważoną i skłonną do krańcówości, zaszczepia w niej jad fanatyzmu. Nie ma i nie było religii bez fanatyków. Wszystkie systemy religijne w założeniach swoich posiadają pierwiastki zdolne wywołać u swoich wyznawców szal niepokromionego fanatyzmu. Można powiedzieć, że fundamenty każdej religii zrobione są z dynamitu.

Wprawdzie fanatyzmem zarażeni bywają czasem wodzowie i partie polityczne, uczeni badacze i filozofowie, ale klasyczny obraz tej choroby spotykamy najczęściej u szczerych wyznawców jakiejś religii. Typowym objawem fanatyzmu w skali społecznej i międzynarodowej są wojny religijne, których nie brak w żadnej epoce historii. Ileż one nieszczęść

sprowadziły na ludzkość, jakim skutecznym stawały się hamulcem postępu! Przykłady: 1. Wojna trzydziestoletnia (1618—1648), w której brało udział pięć narodów, wywołana i podsycana antagonizmem religijnym katolików i protestantów. Spustoszyła ogniem i mieczem środkową Europę, a milionom mieszkańców kulturalnych krajów przypomniała życie jaskiniowe. Innych skutków, poza obniżeniem poziomu moralności, poza masową zbrodnią i masowym rabunkiem, te długotrwałe i okrutne wojny nie miały, gdyż tak katolicy, jak i protestanci pozostali na swoich pozycjach. 2. Krucjaty, czyli wyprawy krzyżowe (od XI do XIII w.), których celem miało być wyswobodzenie Jerozolimy od Turków i rozszerzenie chrześcijaństwa mieczem. Celów tych nie tylko nie osiągnęły, ale uczyniły znaki chrześcijańskie nienawistnymi na całym Wschodzie, stały się przyczyną gwałtownej śmierci sześciu milionów samych tylko krzyżowców, niezliczonych zbrodni i łajdactw popełnianych w imię Boże. Przyniosły w darze Europie nędzę, wzrost przesądów i rozpusty, choroby zakaźne i... nowe szlaki handlowe.

Doskonałym przykładem religijnego fanatyzmu jest islam (mieszanka sabeizmu, judaizmu i chrześcijaństwa). Twórca jego, prorok Mohammed, zdobył w krwawych bojach swoje miasto rodzinne — Mekkę (r. 630) i zmusił siłą jej mieszkańców do przyjęcia nowej wiary. Mohammed wierzy w jedyne, prawdziwego, wszechpotężnego, wszytkowiedzącego Boga, w swoje posłannictwo, w sąd ostateczny, w nieśmiertelność duszy, przeznaczenie i raj wiekuisty dla swoich owieczek, a „psom niewiernym” grozi srogimi karami na ziemi i ogniem piekielnym. M. uczynił

z rozszerzania islamu mieczem prawo moralne, któremu muszą służyć wszyscy wyznawcy pod utratą zbawienia. Całe średniowiecze rozbrzmiewa więc szczękiem oręża, którym mahometanie (Arabowie, Maurowie, Saraceni, Turcy, Berberowie) krzewili miłość do swego Allacha w sercu Azji, w Afryce i Europie. Podboje religijno-polityczne wyznawców islamu zamierają dopiero na progu czasów nowożytnych i zbyt boleśnie są znane naszemu narodowi, aby z nich ścierać kurz historii.

„Jeden jest Bóg — Allah, i Mahomet, prorok jego” — oto klasyczna dewiza, która nosi wszelkie znamiona fanatyzmu. Rodzi się on najczęściej z gorącej wiary w określone bóstwo i z bezwzględnego przekonania o własnym, wyłącznym posłannictwie obrony praw tegoż bóstwa wśród ludzi. Fanatyk w swej ciasnocie i nadgorliwości jest zwykle *plus catholique que le pape* — albo powiedzmy to inaczej — fanatyk usiłuje dbać o sprawy Pana Boga energiczniej niż sam Pan Bóg. Pragnie on szerzyć chwałę Boską za wszelką cenę, nawet środkami zgoła szatańskimi.

Naturę fanatyka cechuje tak wielka przewaga czynników emocjonalnych nad umysłem, że potrafi on dowolnie kształtować rzeczywistość — w swojej wyobraźni. Jeżeli logika jest przeciw niemu — biada logice. Jeśli życie nie przynosi mu dowodów na poparcie jego tez — on te dowody sfabrykuje przy pomocy swojej egzaltacji. W gąszczu potwornych niekonsekwencji znajduje prostą drogę do swego celu. Nie cofa się przed absurdem: w imię miłości bliźniego będzie zabijał przeciwników idei, które ubóstwia.

Zawsze widzi to, co chce widzieć, a nie widzi tego, czego widzieć nie chce, i wcale się nie martwi, że wszystkie koszty tej groźnej samowoli pokrywają ludzie.

Tu leży jego cała nędza i stąd płynie jego potęga, której wstrząsające pokazy dawali nieraz światu wielcy fanatycy historii.

Posłużyłem się przykładem islamu bynajmniej nie przez jakąś szczególną niechęć do tego wyznania, wpółczuję bowiem jednakowo wyznawcom wszystkich religii. Uczony nie powinien odznaczać się ani przesadnym upodobaniem, ani awersją do jakiegoś przedmiotu swych badań. Lekarzowi nie przystoi nienawidzić jednej tylko choroby. Skutki fanatyzmu nie zawsze są katastrofalne. Bywa on bardzo różnokierunkowy. Np. skrupuły. Fanatyczne umiłowanie prawdy.

Poświęćmy teraz chwilę uwagi najbardziej na globie ziemskim rozpowszechnionej religii: chrześcijańsko-katolickiej. Zdaniem wielu poważnych badaczy religia ta pod względem czystości i precyzji doktrynalnej przewyższa wszystkie istniejące obecnie wyznania, a założyciel jej, Jezus Chrystus, jest synonimem doskonałego człowieka. Nie mam zamiaru krytykować błędów poszczególnych wyznawców tego ciekawego systemu religijnego czy nawet błędów jego przywódców w różnych epokach historii.

Przecież muszę być obiektywnym i w swoich ocenach wystrzegać się jak ognia fanatyzmu. Gdybym załamywał ręce nad okrutnymi lub niemoralnymi papieżami, nad biskupami prowadzącymi krwiożercze wojny, nad takimi gorliwymi mnichami, jak Torquemada, który w XV wieku torturował tysiące

osób z powodu odmiennych poglądów na świat — składałbym mimo woli hołd religii. Uważałbym ją za jakąś instytucję nadludzko wzniosłą, która może ludzi zamieniać w anioły.

Inkwizycja jest bez wątpienia czarną plamą na kartach historii Kościoła, ale zbyt rażąco kłóci się ona z duchem Ewangelii, żeby ją zapisywać na konto chrześcijaństwa. Los jest kapryśny, a jego względy bywają złowieszcze. To wcale np. nie wina chrześcijan, że w czwartym wieku obdarzono Kościół największymi przywilejami w państwie Cezarów, dzięki czemu wielu rzezimieszków i spryciarzy przywdziało sutanny. Czy tej fortuny chrześcijanie nie powinni traktować jako tragicznego wydarzenia, które później doprowadziło do powstania tzw. „Kościelnego Państwa” oraz innych monstrualnych zbrodni i złań katolicyzmu? Ale mnie chodzi o analizę sprawy o wiele głębszej.

Bo — niestety — i w tej religii tkwią zarodki fanatyzmu. Tkwią zarówno w jej najwznioślejszych zasadach, jak i w słowach i czynach jej najznakomitszych przedstawicieli. Wystarczy otworzyć powszechnie używany mszał (książka do nabożeństwa) katolicki, aby na samym wstępie natknąć się na taką modlitwę:

„Błagam Cię, Najśłodszy Panie Jezu Chryste, spraw, abym się bronił, osłaniał i obwarowywał mocą Twej Męki. Twymi ranami niech się upajam i żywię, niby pokarmem. We krwi Twojej niechaj obmywam wszystkie grzechy moje. Śmierć Twoja niech mi będzie życiem niewyczerpanym, a Krzyż wiekuistą chwałą. Daj, abym w tym oto znajdował odpoczynek, zdrowie, radość, ukojenie dla serca, Ty,

który żyjesz i królujesz przez wszystkie wieki wieków. Amen”.

A oto urywki innej, ułożonej przez wielkiego Doktora Kościoła, świętego Bonawenturę, polecanej do codziennego odmawiania i opatrzonej odpustami:

„Rozedrzyj, o przesłodka Panie Jezu, rdzeń i wnętrzości duszy mojej najczulszą i najzbawieniejszą raną Twojej miłości... tak, abym topniał zawsze i jedynie w jej ogniu..., omdlewał z pragnienia Ciebie..., Ciebie tylko pożądał, chciał umrzeć i z Tobą się zjednoczyć..., abym o Ciebie się tylko ubiegał, Ciebie wszędzie szukał, do Ciebie dążył i dochodził, Ciebie znajdował. Abym o Tobie tylko rozmyślał, o Tobie tylko mówił i wszystko robił dla chwały Twego imienia...”

Przytaczam te przydługie nieco teksty słynnych, polecanych wiernym do odmawiania modlitw na wstępie swoich skromnych uwag, gdyż dźwięczą one tonem właściwym chrześcijaństwu.

Jest to ton bardzo wysoki i nie do wygrania na klawiaturze uczuć zrównoważonego człowieka. Nie należy sądzić, że tylko jakieś wyjątkowe i nienormalne jednostki spośród chrześcijan na taki ton się zdobywają. Ogół chrześcijan cechuje wprawdzie daleko posunięte umiarkowanie i oziębłość. Takie objawy, jak „fideizm” (upatrywanie w ślepej wierze jedyne go źródła wiedzy i jedynej normy postępowania) lub „integryzm” (chęć podporządkowania wszystkich dziedzin życia bez pośrednio Bogu, co się równa chęci zastąpienia światła żarówki światłem Ewangelii i przebudowania wszelkich budynków użytkowych na kościoły) — to tylko sporadyczne i chorobliwe rekompensaty tejże oziębłości.

Ale nawet oziebli katolicy wsłuchują się z lubością w ów ton, który zarówno dźwięczy w Ewangelii, jak i emanuje z kościelnej, przez wieki kształtowanej doktryny, a pachnie jakimś przesadnym, nieumiarkowanym maksymalizmem. „Sprawiedliwy mój z wiary żyje” — przemawia do chrześcijan Bóg Objawiony. „Co za pożytek człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swojej poniósł szkodę” — woła Chrystus, który w swoich naukach stale powraca do „życia wiecznego”, a w najtragiczniejszej chwili uroczyście oświadcza, jakby się wreszcie dekonspirując: „Królestwo moje nie jest z tego świata”. Istotną więc rzeczą dla nich to wieczne szczęście, czyli zbawienie duszy. Dla osiągnięcia tego celu chrześcijanin musi wszystko poświęcić. „I jeśli oko twoje gorszy cię, wyłup je: lepiej jest tobie wniknąć do Królestwa Bożego jednookim, niż dwoje oczu mając, być wrzuconym do piekła ognistego.”

Jedynym szczęściem jest poznanie i pokochanie Boga. Dlatego pierwsza nauka katechizmu (popularny skrót teologii) głosi: Po to Bóg stworzył człowieka, aby Go człowiek znał, kochał, wiernie Mu służył, a po śmierci z Nim wiecznie królował. Najważniejsi zaś teologowie chrześcijańscy (św. Tomasz z Akwinu) dowodzą, że nie ma czynów obojętnych moralnie, tylko albo złe, tzn. te, które nie prowadzą do Boga, albo dobre, tzn. skierowane do Celu ostatecznego, do Boga. Człowiek ma obowiązek wszystko odnosić do Boga (bezpośrednio lub pośrednio), nawet najprzyziemniejszymi, najdrobniejszymi czynnościami Bogu swemu służyć. „Czy jecie, czy pijecie, czy co innego czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie” (św. Paweł z Tarsu).

Wszystko więc dla chrześcijan jest polem walki o największą sprawę. Wszystko nasycają Bogiem, wszystko oddają na łup Opatrzności. Szewc-chrześcijanin nie szyje butów. On może tylko chwalić Boga szyciem butów, bądź też szyciem butów Boga swego obrażać. „A z każdego słowa próżnego zdacie w dzień sądu przed Bogiem rachunek.”

Najlżejsze drgnienie duszy porusza fale płynące w nieskończoność. W świecie nadprzyrodzonym łakome spojrzenie sprowadza tak fatalne skutki jak kradzież („Każdy, który patrzy na niewiastę, aby jej pożądał, już ją scudzołożył w sercu”).

Zaiste, zdecydować się na chrześcijaństwo — to straszliwe ryzyko. Bezpieczniej zostać ludożercą i pożerać w błogiej nieświadomości swoich braci. „Biada tobie, Korozain! Biada tobie, Betsajdo! Bowiem gdyby się były w Tyrze i Sydonie stały cuda, które się u was działy...”

Chrystus żąda po prostu od swoich naśladowców, aby „się stali jako dzieci” — jednym słowem, chce ich uczynić zupełnie bezbronnymi! Żąda bardzo wiele, niesłychanie wiele, a na domiar złego mówi: „Jarzmo moje słodkie jest”! Co prawda, na taką wiarę, która górami rzuca jak piłką, zdobywać się mogą tylko dzieci. Czy więc dzieci są rzeczywiście bezbronne?

W tym systemie religijnym, jedynym chyba na świecie, słowa: „Bóg” i „Ojciec” — to coś więcej nawet niż synonimy, to tautologia. Bóg jest tak mocno, tak wyłącznie ojcem ludzi, że pożyczanie tej nazwy komukolwiek innemu jest co najmniej niedelikatnością. „I ojcem nie nazywajcie sobie nikogo

na ziemi, bo jeden jest Ojciec wasz, który jest w niebiosach.”

Niestety, stanowcze zdanie: „Nasz Bóg jest ogniem trawiącym” — znajdujemy zarówno w Starym, jak i Nowym Testamencie. Dla podkreślenia wagi tego sądu Objawienie powtarza go w obu Zakonach. Omyłka wykluczona. Czy wypada się ludzić, że dzieci Ognia nie będą płomieniami?

Jak dla islamu świętymi księgami są *Koran* i *Sunna*, tak dla chrześcijan źródłem wiary jest głównie Ewangelia. Czytamy tam: „Kto uwierzy i ochrzci się, zbawion będzie, a kto nie uwierzy, będzie potępiony”. Mocne to słowa w ustach tego, który „Inu kurzącego się nie zgasi, trzciny nadłamanej nie złamie”. A w co należy wierzyć? W to, co zawiera nauka Ewangelii, czyli dobrej nowiny (greckie *euangelion*). W ustach jednak Chrystusa wyraz ten ma bogatą treść: obejmuje zarówno prawdę objawioną na świecie przez Syna Bożego, jak i dzieło Jego życia. Tu znów wstrząsający paradoks. Głównym dziełem życia Chrystusa jest właśnie Jego śmierć: „Przecież po to przyszedłem na tę godzinę”. Śmierć, która odkupia, wybawia ludzkość. Dlatego to chrześcijanie krzyż, znak śmierci, mają w największym poszanowaniu i czczą go jako godło życia i miłości.

Jeśli chodzi o naukę Zbawiciela świata, to spotykamy w niej co chwila krańcowe i przesadne sformułowania, które odstręczają od niej człowieka rozsądnego. Przykłady: „Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi wniknąć do Królestwa Niebieskiego” (*Mt. XIX, 24*). „A kto by cię uderzył w prawy policzek twój, nadstaw mu i drugi” (*Mt. V, 39*). „Każdy, który się gniewa na brata swego,

będzie winien sądu” (Mt. V, 22). „Gdy wyprawiasz ucztę, wezwij ubogich, ułomnych, chromych i ślepych, a błogosławionym będziesz, bo nie mają ci czym odplacić” (Łk. XIV, 14). „Jeśli kto idzie do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki, i żony, i dzieci, i braci, i sióstr, jeszcze też i duszy własnej — nie może być uczniem moim” itd. itd.

Również i życie Chrystusa jest pełne paradoksów. Jak się okazuje z opowiadania Ewangelistów, ten najdoskonalszy z ludzi, ten Wcielony Bóg obcuje chętnie z celnikami i dziewczynami ulicznymi, czyli z najgorszymi grzesznikami, jada obiady u faryzeuszów, a na apostołów swej nauki obiera ludzi z gminu, nieokrzesanych rybaków.

Z jednej strony jest tak łagodny, że z niesamowitą cierpliwością znosi najgorsze obelgi, których nie szczędzą Mu przez całe życie Jego wrogowie, niby baranek na rzeź, pozwala się wieść bez oporu na okrutną śmierć, chociaż mógłby, jako Bóg, jednym słowem zmieść swoich wszystkich przeciwników z powierzchni ziemi. Z drugiej strony wpada w ostry gniew na widok zbezczeszczonej przez kupców świątyni jerozolimskiej i... ale oddajmy głos naocznemu świadkowi: „I zastał w świątyni sprzedających woły, owce i gołębie, i siedzących tych, co zamieniali pieniądze. A uczyniwszy jakoby bicz z powrózów wypędził wszystkich ze świątyni, owce też i woły, pieniądze zmieniających je rozsypał, a stoły powywracał. Do sprzedających zaś gołębie rzekł: Wynieście to stąd i nie czynicie domu Ojca mego domem targowiska”. Z tego powściągliwego opisu wyciera zbyt mocno niepohamowana gwałtowność najłagodniejszego z ludzi, toteż narrator usprawiedliwia

ją zaraz komentarzem: „I przypomnieli sobie uczniowie Jego, że jest napisane: Żarliwość o dom twój pożera mię”. Tak — ż a r l i w o ś ć o d o m t w ó j p o ż e r a m i ę. Zwróćcie uwagę na to zdanie. Ileż w nim namiętności, ileż przesadnego umiłowania idei!

Z jednej strony z nadzwyczajną łaskawością odpuszcza grzechy jawnogrzesznicom, z drugiej strony nakazuje wszystkim swoim zwolennikom: „Bądźcież wy tedy doskonali, jako i Ojciec wasz Niebieski doskonały jest”. Nawoływać do naśladowania Boga w Jego doskonałości — co za pomysł!

W opowiadaniach Chrystusa ciągle powtarzają się dwa dziwne słowa: Królestwo Niebieskie. Z kontekstów można wywnioskować, że owym „Królestwem Niebieskim” jest współzycie z Bogiem i ludźmi przez miłość, którą inny wielki apostoł chrześcijaństwa, Paweł, nazywa „węzłem doskonałości”. Tenże święty Paweł, mówiąc o miłości, wpada w charakterystyczne uniesienie:

Gdybym miał dar proroctwa,
znał wszystkie tajemnice i posiadał wszelką wiedzę,
a wiarę miałbym taką,
iżbym przenosił góry,
a miłości bym nie miał:
niczym nie jestem.

Ze słów tych wynika, że dla chrześcijan nadprzyrodzona miłość do Boga i człowieka jest największym skarbem, jest jedyną istotną wartością, bez której wszystkie, najwznioślejsze nawet rzeczy są — równe zeru.

Niezwykłą tę teorię dosadnie podkreśla Chrystus. Według Niego największym przykazaniem jest: „Bę-

dziesz miłował Pana Boga twego z wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. Będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego”.

Przykazanie to było wprawdzie znane starożytnym Żydom, ale dopiero Chrystus uczynił z niego istotę religii, rozszerzając (por. przypowieść o dobrym Samarytaninie) bezgranicznie sens pojęcia „bliźni”, którym, wedle Niego, jest każdy człowiek. Stąd wypływa zdumiewający nakaz: „A ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjacioly wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za prześladowających i spotwarzających was...”

Ten nieprawdopodobny postulat wiąże się jednak logicznie z całością teologii chrześcijan, której zarys znajdujemy w księgach świętych, rzekomo objawionych, objętych ogólnym tytułem „Nowy Testament”.

Bóg, zdefiniowany przez apostoła Jana jako sama Miłość (por. *Jan* IV, 8), ukochał człowieka najwięcej ze wszystkich swoich stworzeń (dlaczego?). Ponieważ człowiek przez grzech zamknął sobie drogę do Niego, Bóg w osobie swego Syna wcielił się w człowieka, aby mu tę drogę otworzyć doskonałym życiem, objawieniem prawdy i śmiercią odkupieńczą: „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał...”

Ewangelisci w naiwnych opowiadaniach podają, że znalazła się kobieta, która — z całą świadomością losu tego skazanego z góry na przeokrutną śmierć w kwiecie wieku Męża Bolesci — zgodziła się zostać Jego Matką. Było nią nieskalane najmniejszym grzechem dziewczę — Maryja z Nazaretu, jedyna na świecie Matka-Dziewica, otaczana boską wprost

cją przez chrześcijan, jako matka człowieczeństwa Boga i dzięki swemu bohaterstwu — jako współwybawicielka rodzaju ludzkiego.

Dzięki interwencji więc Boskiej poczęła w swym łonie i porodziła potem w oborze, w niesłychanym ubóstwie oczekiwanego od wieków Mesjasza. Jezus Chrystus strawił całe prawie życie na ciężkiej pracy, jako biedny rzemieślnik, a w ostatnich latach oddał się apostołstwu. „Przeszedł przez życie dobrze czyniąc” — uzdrawiał chorych, wskrzeszał umarłych, rzucał w tłumy wydziedziczonych płomienne słowa prawdy i miłości.

„Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali.”

„Ogień przyszedłem rzucić na ziemię — wołał na progu swej misji — a czegoż chcę — jeno — aby zapłonął.” Jest to naturalnie ogień miłości Boskiej i wszechludzkiej, którym Chrystus chce roztopić zamarźnięte w egoizmie serca swych ziemskich braci. Nie bardzo Mu się to udaje za życia. Ściga Go rienawiść i oszczerstwa możnych. Cisną się do Niego co prawda tłumy, ale są to tłumy zdeklasowanych nędzarzy, którzy węższą chleb i odstępują Go w dniach próby. Wkrótce też wpływowym kupcom i wyższemu klerowi udaje się przygasić niebezpieczny ogień. Jako głosiciel wywrotowych haseł, prorok z Nazaretu zostaje poddany wymyślnym męczarniom i z pomocą rzymskiego okupanta zamordowany.

Chrystus bez buntu godzi się ze swym losem. Pragnie krwią swą zmazać winy wszystkich ludzi i przypieczętować wieczne przymierze ziemi z niebem. Wraz z Jego umęczonym straszliwie ciałem zostaje przybity do krzyża „cyrograf zgubnego dla ludzkości

dekretu i zniszczony na zawsze". Po trzech dniach jednak Zbawiciel zmartwychwstaje. Przebywa jeszcze przez pewien czas wśród swoich wiernych i wstępuje do nieba.

Ale nie na tym koniec. „Szaleństwo krzyża” trwa dalej. Chrystusowi, opętanemu miłością do ludzi, mało było raz umrzeć — chce za nich ofiarowywać się Bogu Ojcu zawsze, chce umierać do końca świata. Chce, mimo swego odejścia, pozostać z ludźmi tu, na ziemi i żyć z nimi dalej w najściślejszym zjednoczeniu. Jako Bogu, określającemu prawa natury, nie sprawia Mu to trudności.

Dotykam rzeczy najbardziej tajemniczej, dziwnej u chrześcijan, a mianowicie tzw. „Eucharystii”. Myślę, że polot najśmielszych poetów całego świata nie mogłyby zdobyć się na coś podobnego. Eucharystia jest to po prostu chleb, a raczej pozorny chleb, kryjący pod swymi jakościowymi i ilościowymi postaciami prawdziwego, żywego Boga-człowieka. Otóż Eucharystia jest owocem „Mszy świętej” — sprawy równie tajemniczej i strasznej. Podczas tych mszy, odprawianych co dzień przez kapłanów, Chrystus jakoby na nowo, w sposób mistyczny umiera ofiarując się Bogu za grzechy świata.

Dzięki tej trwałej agonii właśnie Chrystus przemienia się w codzienny pokarm wierzących. „Jam jest chleb żywy, który z nieba zstąpił; jeśli kto pożywał tego chleba, żyć będzie na wieki, a chlebem, który ja mu dam, jest ciało moje (*oddane*) za życie świata.” „Szaleństwo krzyża” nie skończy się więc nigdy. Wszystkie ołtarze kościołów katolickich — to właściwie tylko krzyże, na których co dzień umiera nieśmiertelny władca życia, aby poić swą krwią stru-

pieszających suchotników. Czy może powstać bardziej fantastyczna i przepastna niemożliwość? Czy możecie sobie wyobrazić Boga nieskończenie pięknego, wszechmogącego, bezgranicznie szczęśliwego Boga, stwórcę wszechświatów gwiazdnych i plejad potężnych duchów, który jest tak zakochany w mizernych lokatorach ziemi? Boga, który chce się poniżyć, jakby zrównać ze swoim stworzeniem, unicestwiając się w okruchy chleba? Boga, który staje się zwykłym zerem okrutnych półzwierząt, aby przedłużyć ich egzystencję na wieczność, aby zdobyć sobie choć cień ich nędznej miłości?

W Apokalipsie Ewangelisty Jana Chrystus mówi: „Bodajś był zimny albo gorący. Ale iżeś letni, pocznę cię wyrzucać z ust swoich... Radzę ci, kup sobie u mnie złota w ogniu wypróbowanego... Bądź żarliwy...” Użyte w tych zdaniach terminy dobrze charakteryzują religię chrześcijańską. Jej Bóg uznaje tylko gwałtowników, ludzi gorących, żarliwych, kocha ogień, nienawidzi „letniości”, czyli umiarkowania. „Umiłowałem was, mówi Pan” (proroctwo Malachiasza). „Przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali.”

Jak widać z tych cytatów, które by można mnożyć bez liku, religię chrześcijańską cechuje swoisty fanatyzm — fanatyzm miłości. Nie należy sądzić, że jest on mniej szkodliwy niż inne. Miłość bywa zaborcza i mocna jak śmierć. Na bramie piekła Dante wita nas przecież napisem: „Jestem dziełem... pierwszej miłości...”

Według oficjalnych statystyk obecnie żyje na ziemi około pół miliarda chrześcijan-katolików. Jest to całkiem poważna armia, jeśli się zważy, że wyznanie

to, jedynie z małymi i nieudanymi zresztą wyjątkami, było rozpowszechniane mieczem (podboje Karola Wielkiego, Zakon Krzyżacki, krucjaty).

Na szczęście mały tylko procent chrześcijan zna dobrze naukę zawartą w Nowym Testamencie, a jeszcze mniejszy procent wprowadza ją w życie. W przeciwnym razie chrześcijanie staliby się zarzewiem gigantycznej rewolucji, której by nie ścierpiało żadne praworządne państwo. Znikoma przeto ich ilość zasługuje na miano „sprawiedliwych” w Chrystusowym rozumieniu tego słowa. Dla Chrystusa bowiem „sprawiedliwym” nie jest jeszcze człowiek, który odznacza się wiarą w prawdy i dogmaty wiary, składaniem przepisanych prawem ofiar, odprawianiem nakazanych modłów do Boga, zachowywaniem postów, apostołskim zapałem, zdolnością do umartwień ciała i abnegacją. Pobożność i „religijność” w ujęciu Mistrza z Nazaretu o tyle tylko ma jakiś sens, o ile pokrywa się z wypełnianiem Boskiej woli. Jaka jest Boska wola? Odpowiedź na to daje On w opowiadaniu o ostatecznym sądzie świata. Z tej uderzającej przypowieści dowiadujemy się, że król i sędzia narodów, Syn Człowieczy-Syn Boży, domaga się przede wszystkim od swoich wiernych miłości względem ludzi, wyrażonej w sposób zupełnie prozaiczny i realny: „Łaknąłem, a daliście mi jeść. Pragnąłem, a napoiście mnie. Byłem gościem, a przyjęliście mnie, nagim, a przyodzialiście mnie, chorym, a nawiedziliście mnie”. Ci właśnie dobrzy i miłosierni ludzie są „sprawiedliwi”. Oni to prawdziwie ukochali Chrystusa, który *nota bene* utożsamia się ze wszystkimi potrzebującymi pomocy. Za swoją czynną miłość sprawiedliwi, „błogosławieni

Ojca”, posiadają wieczne królestwo, niesprawiedliwi zaś, czyli egoiści, pójdą na wieczną mękę.

W tej alegorii Bóg chrześcijan całkiem się już dekonspiruje. Obnaża swą namiętną, szaloną miłość, którą człowiek rozsądny musi nazwać fanatyzmem.

NOC DWUDZIESTA DRUGA

Znów ciemności. Niepokój mnie osacza, a przecież *non in commotione Deus* — jak lubiłeś powtarzać, drogi ojcze.

Dzisiaj czwartek — nasz dzień. Pamiętasz? O, jakbym chciał przelecieć przez oceany, do Meksyku, i powiedzieć ci wszystko... Ty byś siadł blisko mnie, jak dawniej, ujął moją rękę w swoje dłonie i patrzył mi w oczy spokojnie, długo, z takim oddaniem, z taką dobrocią, jak sam Bóg patrzy na nas. Dziś bardzo potrzebuję ciebie. Niech mi to wybaczy Jezus, nasze Serce i nasza Głowa, nasze Życie i nasza Krew, że tęsknię do kogoś poza Nim, że czuję się osamotniony, nieszczęśliwy, szukający oparcia w ludzkiej przyjaźni.

Gdy odjeżdżałeś na misje, powiedziałeś: „Dość ci już mleka niemowląt. Zostawiam cię w rękach Jezusa. On ciebie będzie karmił swoją Krwią”. Ja wiem, że On jest jedynym Pośrednikiem, jedynym Dawcą Miłości. Ale ja znów osłabłem jak dziecko, łaknę mleka niemowląt. Tak rzadko do mnie pisujesz! Czy już nigdy stamtąd nie wrócisz? Czy zobaczymy się jeszcze kiedy? Drogi mój ojcze Józefie, ja muszę dzisiaj z tobą porozmawiać. Muszę ci się wyspowiadać.

Nie wiem, co się ze mną dzieje. Co sprawia, że tak wątłą, nadłamaną trzcina, którą za chwilę prąd wodny uniesie w wieczność — szarpia teraz potężne namiętności i atakują straszne pokusy?

Już słyszę, jak mi odpowiadasz: „Módl się, braciszku”. Usiłuję się modlić. Ale czy to, na co się zdobywam, zasługuje na miano modlitwy? Moja modlitwa jest bezsilna. Przepadły słodkie uczucia, uniesienia ducha, te wzruszające chwile, kiedy czujemy na sobie wzrok Istoty Najwyższej, czujemy Jej dotknięcie, pod którym człowiek drży ze szczęścia i staje się panem świata, najbogatszym z królów, dzieckiem Wszechmogącego. Już od dawna nie spadła na moją duszę kropelka rosy. Nie czuję obecności Boga. Nie otrzymuję najmniejszej pociechy w cierpieniach. Czuję się śmieciem świata, naczyniem brudu. Jestem winowajcą, którego każda godzina łapie na gorącym uczynku niewierności. Gdy rozprawiam o rzeczach Bożych, to wydaję się sobie marnym aktorem, który porywa się na odgrywanie znakomitej roli. I nie wiem nawet, jak w tym mroku i oschłości udaje mi się docierać do Niego... Są to chwile pozbawione jakichkolwiek wrażeń... jednocześnie się z Umiłowaniem woli mojej bez słów, w absolutnym milczeniu przez proste wejrzenie, nie czując, choć wiedząc wiarą, że On tu jest. Strzelam w Ukrytego w ciemnościach ognistymi strzałami aktów, które są wyłącznie aktami woli. Kocham Go uwagą.

Dziś nie mogę się zdobyć na nic. Gorzej... Tobie, tylko tobie, ojcze, to powiem: ja walczę z pokusą przeciwko wierze! Bluźnię! Zważyłem w potęgę Łaski, o której kilka dni temu prefektowi w Rado-

miu pisałem poematy. Zwątpiłem w nieskończoność miłosierdzia!

Opowiem ci wszystko. Chcę, żebyś to wiedział. Aby dostać się do tej wsi, musiałem przepłynąć się łodzią na drugi brzeg Wisły. Z tamtej strony dojeżdżają autobusy, ale droga jest zła. Bałem się wstrząsów. Kiedyś było tu miasteczko, książęca osada pod grodziszczem, które fale historii do cna zmyły. Został tylko z tych czasów ogromny kościół, pełen marmurowych nagrobków, robiący wrażenie mauzoleum, przeniesionego różdżką czarownika na puszcę. Wieś niewielka, uboga, schowana w lesie. Wszędzie ślady zniszczeń wojennych. Świat zabity deskami. Ciągnęła mię tu osoba proboszcza, o którym pewna kobieta na stacji opowiadała mi nadzwyczajne rzeczy. Chciałem otrzeć się o świętego.

Plebania mieści się w małym domku naprzeciw kościoła. Pokazano mi go z daleka. Było parno. Mimo niezbyt późnej pory zapadał dziwny zmierzch. Czuję się źle. Tak mi było duszno, że musiałem co chwila odpoczywać. Na sto kroków przed celem usiadłem na kamieniu przy drodze, pośród ostatnich drzew. W mgnieniu oka niepokojąco zmieniły się dekoracje. Chwilę przedtem niebo jaśniało lazurem, całkiem omiecione z chmur — teraz ginie pod ciężkimi cieniami stojącej u wrót nocy. Ścianę kościoła powleka miedzianożółta barwa. Złowrogi blask nasycy sobą wszystko, zamieniając wierzchołki sosen w płonące żagwie. Na żółtym płótnie niebios wystrzelają maszty pochylonych okrętów. Powietrze wstrzymało oddech w oczekiwaniu. Z dołu podnosi się wał gęstej mgły i pożera ostatnie drzazgi słońca

uczezione nagiej kory drzew. Tlą się gdzieniegdzie czerwono te drzazgi — sygnały ostrzegawcze.

Chciałem wstać i nie mogłem. Niebo kurczyło się coraz bardziej, mroczne zwaliska chmur spiętrzały się nade mną, aż ostatnia plamka błękitu zniknęła w jednolitej ścianie. Przesiakało przez nią brudnoróżowe, lepkie światło, jakby zwiększające niemożliwą do zniesienia jasność. Ale nadchodząca burza wbiła już zimne kliny wiatru w bezwładną masę powietrza. Szum przeciągnął wierzchołkami sosen. Huknął grzmot. Ciężkie krople rozbijały piasek na drodze, gdy dowlokłem się wreszcie do plebanii. Nie mogę tego zrozumieć, skąd te nagłe zmiany w moim samopoczuciu. Kiedy burza zagrała całym organem, ja czułem się już dobrze.

Czy świętość jest czymś nadzwyczajnym, niezwykłym, czy przeciwnie, czymś najbardziej naturalnym, czymś, na co najłatwiej jest nam się zgodzić? Jeśli Bóg jest samym dobrem, jeśli „Bóg” znaczy Szczęście — to człowiek Boży powinien napępniać nas radością.

Nie przeczę, że ksiądz S. wydał mi się od razu bliskim. Nie ma w nim ani odrobiny sztuczności. Ale jeśli chodzi o radość... drogi ojciec, opowiem ci, jak to się stało.

Powitała mię znękana twarz, budząca współczucie. Nie dziwił się niczemu, co mu mówiłem. Chętnie ofiarował mi gościnę. I od razu powiedział:

— Za napisanie kazania na żądany temat byłbym bardzo wdzięczny. Nie mam dobrej wymowy i nie jestem wykształcony. Ale jeśli pan jest pełen tak dobrych chęci, to poproszę pana o inną usługę...

...W tej chwili niedaleko nas kona człowiek. Jest to jedna z owiec mojej parafii, dla której nigdy, przez dziewięć lat mojego tutaj pobytu nie zdołałem uczynić nic dobrego. Rozumie pan, co to znaczy? Bogaty dziwak. Mówię: bogaty. Mój Boże, co to słowo dla niego teraz znaczy! Mieszka samotnie, nie trzyma służby chyba ze skąpstwa. Nazywają go „Amerykaniec”, bo przebywał długie lata w Ameryce i tam się dorobił fortuny. Jest nawet wykształcony, ma bibliotekę, kolekcjonował swego czasu białe kruki. Mieszkał przedtem w Lublinie, tu osiadł po rozejściu się z żoną. Syn został przy matce. Rodzinna tragedia...

...Była z nim siostra, starsza od niego, kaleka, która prowadziła mu gospodarstwo. On był dla niej okrutny, a tej zimy ją przepędził. Teraz jest sam, zupełnie sam. Ludzie go nie lubią, ma charakter odpychający. Z trudem udaje mi się nakłaniać sąsiadów do niesienia mu pomocy. Od czasu gdy się dowiedział, że jest chory na raka, nie dopuszcza do siebie lekarzy. Zachorował niedawno, dotychczas odznaczał się żelaznym zdrowiem, odżywiał się tak, że... Biedna Anna! Czasami, bardzo rzadko — upijał się. Raz, gdy nad ranem wracałem od chorego, znalazłem go nieprzytomnego w rowie, w śniegu, bez palta. Przywiozłem go do siebie, ocuciłem... Od tego czasu, zdaje się, znienawidził mnie. Popełniłem wtedy niezręczność. Chciałem przy okazji przemówić mu do sumienia. Użyłem mocnych argumentów...

...Teraz ten człowiek umiera. Nie chce spowiedzi, ostatniego namaszczenia. Ciężkie to dla mnie. Byłem u niego przed godziną. Wygnał mnie. Otóż jeśli pan... może pan... Jest zupełnie sam.

— Dobrze. Idę natychmiast.

— Zaprowadzę pana.

W strumieniach deszczu, w grzmotach i błyskawicach docieraliśmy do furtki, przy której ksiądz S. mnie opuścił, wskazując duży dom w ogrodzie. Pa-liło się w nim żółte światło. Drzwi nie były zamknięte.

— A ty kto? Skąd się tu wziąłeś? Nie widziałem takiej fizjonomii dotąd. Nic! Niczego nie potrzebuję. Co? Przysłał cię ten świętoszek? Wszystko jedno. Już wszystko jedno. Siadaj. Pogadamy. Zrobisz mi coś... Tu, bliżej. Nie bój się.

O, drogi ojczy, znasz ten widok. Ale ja byłem wstrząśnięty. Mówią: „Świeca życia się dopala”. Nie wiem... dopiero pierwszy raz towarzyszyłem agonii człowieka i takie porównanie... to wygasał ogień... w potwornych podmuchach... strzelał płomieniami... Nawet nie jestem w stanie powtórzyć, opisać... Myślałem tylko o tym, że ten człowiek — że mój brat umiera. Starłem się skupić, modlić się, wzywałem pomocy Matki, całą siłą woli, całą ufnością... Ale gorące akty moich wezwań lodowaciały w zimnych podmuchach tej śmierci. Śmierć jest potworna! Co za ohyda! Jaki policzek dla naszego królewskiego człowieczeństwa!

Cierpiał widać strasznie. Odsunął kołdrę i rękami szarpał brudną koszulę na brzuchu. Przykrą jest rzeczą patrzeć na gnijący kwiat. Ale chłonać rozstrój ludzkiej twarzy, której rysy wymierza okrutny cyrkiel, wdychać trupi odór twarzy ziemistej, spoconej... Nie mogłem oddzielić tej śmierci od mojej śmierci, która może nastąpić, nie — która na pewno nastąpi lada dzień, lada miesiąc, lada rok... To nie ma zna-

czenia zresztą kiedy, jesteśmy wszyscy skazańcami, złączeni wspólnotą umierania. Nie mogę też zrozumieć tego, że księży, którzy tyle razy obcują ze śmiercią i asystują przy tej straszliwej uroczystości — nie stają się świętymi.

Idąc do chorego, gromadziłem słowa pełne mocy, którymi miałem zamiar dotrzeć do jego świadomości. Teraz poczułem się zupełnie bezsilny, zmiażdżony niewypowiedzianą powagą chwili. Moje mądre słowa wysypywały mi się jak piasek z garści. Gorączkowo szukałem innych, bardziej odpowiednich, i nie znajdowałem żadnego. Inaczej, zupełnie inaczej wyobrażałem sobie... Byłem rozbrojony.

Konający miał jeszcze dość sił, aby mówić wyraźnie. Przerazająco chudy! Tylko brzuch wielki i wzdęty. Najdziwniejsze było to, że nie okazywał lęku, że nie rozpaczał — przeciwnie, miał w sobie coś napastliwego. Błada woskowa twarz wyrażała zacięty upór, z czarnych, żywych oczu padały iskry. To nie jest metafora. Nie prosił, lecz rozkazywał. I mówił. Jak on dużo mówił! Jego słowa wprowadzały mnie w pomieszanie, w oburzenie, rozrywały mi serce — błagałem Boga, żeby mu zamknął wreszcie usta i... słuchałem.

Siedziałem blisko jego wezłowania, obok naczynia pełnego czarnej mazi, i dusiłem się od straszliwego fetoru. Nie wyobrażałem sobie nigdy, żeby tak potworne zapachy mógł wydzielać z siebie człowiek. Nie wiem, czy uda mi się kiedy zapomnieć ten odór. Ach, kupa gnoju na polu pachnie przy tym jak wiosna, kupa gnoju powabniejszy przedstawia obraz niż na pół rozłożone ciało człowieka, który jest królem stworzenia. Mówił wciąż z taką samą siłą, choć twarz

jego kurczyła się i zapadała coraz bardziej w brudną czerwień nie obleczonej poduszki. Potok słów przerywały napady duszności i kaszlu, który, zdawało się, że go lada moment zadławi. Wyływał z tego siny, blady i po kilku chrapliwych oddechach znowu mówił. A śmierć była tak blisko!

Sledziłem jej ostatnie, najgorsze uderzenia, te szeptach mistrzowskie, i czułem niewypowiedzianą trwogę. W pewnej chwili zdawało mi się: to ja za chwilę umrę, a ten nieszczęśnik będzie dalej mówił do mojego trupa. I po co on to wszystko mówił? Może gorączka... Czy może wiedział, że mnie tym najdotkliwiej ugodzi? Nie wiem. Nie będę powtarzał ojcu tych wszystkich głupstw i bluźnierstw. Nawet już tego wszystkiego nie pamiętam. Była w tym jednak jakaś żelazna logika. I była też źle zamaskowana, tak, teraz wiem, źle zamaskowana rozpacz.

— Widzisz, nie boję się śmierci. Po co mam się bać? Czego mam się bać? Przysłał ciebie ten klecha. Chciał mnie mieć. Chciał, żebym przed nim ukląkł, żebym bił się w piersi, chciał się napaść moją skruczą. Im tego potrzeba. Oni tym się żywią. Bez tego straciliby posady. Nic z tego. Dobrze, żeś przyszedł. Jesteś poczciwy, z oczu ci to patrzy. Dam ci okazję... Dobrze uczynki co do ciała, co? Chorych nawiedzać, co? He, he, he... Jest to zastrzyk czasem skuteczny. Jak morfina. No, nie patrz tak na mnie, ja jeszcze tak prędko nie umrę. Ja wolę morfinę albo coś w tym rodzaju. Widzisz tę ampułkę? Tam na stoliku. Nie tę — tamtą bez napisu. Obok jest strzykawka. Zrobisz mi zastrzyk. Trochę za bardzo boli. Nie jestem taki głupi, żeby cierpieć. Przygotowałem się na wszelką ewentualność. Czuję, że potrafisz to

zrobić. No, proszę. Można w rękę, wszystko jedno gdzie. Nie, nie patrz, że igła jest brudna! To nic, wszystko jedno. Prędzej, prędzej.

Wyciągnął rękę, piszczał bez śladu mięśni. Ręce mi się trzęsły, gdy wbijałem z trudem igłę w skórę wiotką, ustępującą spod igły jak gumowa błona o barwie papieru. Miałem nadzieję, że zastrzyk uspokoi go, a ja wtedy powiem mu kilka dobrych słów. Stawiałem się w jego położenie. Czulem w sobie całą jego mękę. Jak próżna okazała się moja nadzieja!

Rzeczywiście po zastrzyku chwilę nic nie mówił. Z twarzy powoli ustępował grymas. Oddychał spokojniej i czulem, że bóle nikną, bo dłonie jego nie błędziły już po bani brzucha. Uniósł się nawet trochę na łóżku. Nad domem gruchotał wóz naładowany grzmotami. Głuche dudnienie oddala się, natomiast szum ulewy rośnie. W pokoju panuje półmrok. Na stole kopci mizerna naftowa lampka. Błyskawice zapalają co chwila czerwoną poduszkę, przemykają po bladej twarzy i rysują srebrem wężyki rozwichrzonych włosów. Ostatni, odosobniony grzmot, silniejszy od innych, zagrzmiął mi w uszach jak huk wysadzanego mostu.

— No, już dobrze. To jest lepsze niż oleje święte. Zrobiłeś dobry uczynek. Ta trucizna usypia na zawsze dopiero po kilku godzinach. A do czasu śmierci likwiduje bóle. Jest mi lepiej, nawet przyjemnie. Teraz możemy spokojnie pogadać. Jestem bezpieczny.

Siedziałem zmartwiały. A więc ja... własną ręką dobiłem go. Upiłem go jakąś trucizną. Co to był za zastrzyk? Wydawał się teraz pijany. Wpatrywał się

we mnie natrętnie dziwnym, przeszywającym wzrokiem.

— Śmierć. Śmierć. Śmierć.

Słowo powtarzane ochryplym szeptem nabrało w końcu nateżenia krzyku. Niby wystrzały gniewu raz po raz wyrzucała je zaciśnięta krtka. Znowu zaczął swoje. Tracił widać przytomność, bo mówił coraz chaotyczniej. O jakiejś Marii, o pocałunkach, o czerwonych wargach, o jakimś Janku.

— Mała główka, którą czuć mlekiem i pierzem...
Mała główka...

— Teraz dopiero wiedziałbym — szeptał, a za chwilę krzyczał jak opętany: — Nie chcę odejść od stołu, ja protestuję, ja jestem, jestem!

Potem z cyniczną rezygnacją:

— Osiemnaście tysięcy razy kładłem się na to łóżko. I teraz, gdy znakomicie wprawilem się w tej czynności, podsuną mi niepostrzeżenie inny mebel...

A ja ciągle milczałem zamiast przerwać mu tę bezsensowną gadaninę, milczałem na pięć minut przed dwunastą! Zawsze gdy otwierałem usta, aby przemówić do niego serdecznie, wstrząsająco, on brutalnie osadzał mnie na miejscu. Nieubłaganie gasił mój zryw:

— Zamknij się i słuchaj. Wszystko zamieniłbym teraz na jedno zdrowe łajno z moich kiszek. Mój prawnuk zdechnie tak samo jak ja. Im będzie mu lepiej, tym z mniejszą ochotą będzie zdychał. I przyjdzie na pewno taki dzień, kiedy grzebnie kopytami ostatni człowiek na zlodowaciałej ziemi. Szczejnie. Wsiąknie w nicość. W tę samą, co ja, w tę samą, co miliardy jego poprzedników. I powiedz mi, ty idioto,

czy nie wszystko jedno, jak żyli ci, których nie ma? Czy inaczej nie ma tych, którzy byli, i tych, którzy nie byli wcale? Widzisz, uczyłem się kiedyś filozofii, a dopiero dzisiaj zrobiłem z niej użytek. Każdy chce żyć... każdy chce żyć... Czy może być nędzniejsze, bezsilniejsze życzenie? Każdy chce żyć i każdy musi w końcu nie żyć. Kresem życia jest nieżycie, celem bytu jest niebyt. Byłem dzisiaj, a jutro nie będę. Dziura w niebie się nie robi. We wszechświecie nie spowoduje to żadnego ubytku. Czy coś w ogóle jest? Czy coś w ogóle trwa, kiedy nic nie może przetrwać? Czy słowo „jest” — to nie największa blaga, majak, złudzenie? Czy terazniejszość nie jest tylko punktem przecięcia się dwóch płaszczyzn naszej wyobraźni? Miara ruchu istnieje tylko w moim umyśle. To, co się staje, równocześnie znika. Jaki ślad w rzeczywistości pozostawi ta lampa, kiedy się wypali? Co? Fałsz, fałsz, wszystko jest sfalszowane, wszystko jest złudzeniem! I ty jesteś sfalszowany! Idź, leć, krzycz, wołaj do wszystkich: nędzne robaki, nabierają was! Życie — to oszukaństwo! Światem rządzi prawo gwałcące sens życia. Wątpliwe, czy ktokolwiek znajdzie szczęście wędrując po krawędzi nicości, ale pewne, że każdy z nas się w nią stoczy! Ratujcie się przed nicością, obradujcie nad środkami zaradczymi! Co za brak wyobraźni! Gdybyż umierający zostawiali pamiętniki swojej agonii! Gdyby chociaż sztuka nie omijała tego rozdziału ludzkiej komedii! Haaa, to inaczej wygląda niż w poematach i powieściach! Gdyby prasa... ha, ha... trzydzieści milionów tragedii pod nagrobkiem statystyki, obok reklamy pasty do obuwia! Tyle o gehennie zwierzęcia obdarzonego

świadomością... Co dzień, co chwila kładą się posłusznie pod kosę... śmierzące chwasty i kwiaty geniuszu... razem, na jednej łące... Jak barany klute zatrutym żądłem, w jeden dół... I ty też, słyszysz, i ty! Nic cię nie zbawi! Pójdiesz za mną! Gdy ciebie ta otchłań... gdy ciebie nicość zacznie połykać, będziesz wył! Będziesz szczyrzył zęby... Idź, leć, niech cię nie widzę już, precz!

Drogi ojcze, nie opowiadam ci tego, jak należy. Używał często okropnych słów, nie do powtórzenia. Zmieniam porządek, a może wyrażam się inaczej. Komponuję czasem dla wytworzenia w twoim umyśle zrozumiałej całości. Byłem przecie taki oszołomiony, zdumiony, aż do granic wątpienia we własne zmysły. Byt i niebyt, możliwość i niemożliwość splątały się w moim mózgu w piekielny kłęb, chwilami myślałem, że ulegam halucynacji, a obecność moja w pokoju konającego Amerykańca jest złudzeniem.

Wyrywałem się z tego stanu. Błagałem miłosierdzie Boże o litość, o cud, z całą ufnością, na jaką mnie było stać... A gdy cud nie przychodził, wycofałem się. Po prostu uciekłem. Zląkłem się tego krzyku, tej strasznej twarzy...

Widzisz, drogi ojcze, ile ja jestem wart. Spisałem się bardzo źle. Nie umiem się już modlić. Ty pomódl się, proszę, gorąco za tego nieszczęśliwego, który umarł nad ranem, w kilka godzin po mojej wizycie. Ksiądz S. poszedł jeszcze raz do niego, ale on był już nieprzytomny. Namaścił olejami świętymi. Nie spowiadał go.

Gdzie on jest teraz? Nie zapomnę... Szarozółta twarz, kosmyki zlepione potem. Obleczona skórą czaszka, człowiek, który krzyczy, do końca wybuchu

uporem i rozpaczą. Biedak! Nie mogę o nim przestać myśleć. Jestem z nim mocno związany tą burzliwą godziną. Wierzę, że Bóg może wszystko, co nie jest złem. Może więc przebaczyć mu, prawda? Nie ma dwóch ludzi takich samych na świecie. I on był jedynym. Jego osobowość jest niepowtarzalna. Czy ma przepaść? Będę się za niego modlił co dzień, co dzień, do końca życia.

Nieoczekiwana przygoda wydała mnie na pastwę udręki, której sobie nie wyobrażasz. Czy to ja pokpiłem sprawę? A gdyby nie ja, to... Czy miłosierdzie Boże jest... Och, ja znowu bluźnię! Myśli moje są pełne bluźnierstw!

Ta przygoda rzuciła mnie w otchłań tajemnic, które mnie torturują. Obnażyła ich przepastne ściany, najeżone ostrymi skałami... Muszę się na nie wdrapywać, kaleczyć do krwi, spadać ciągle w dół.

Dlaczego Bóg do tego stopnia szanuje naszą wolność? Na czym ta wolność właściwie polega? Dlaczego człowiek wybiera zło, które jest jego nieszczęściem? Czy to nie absurd? Może gdybyśmy potrafili wymierzyć przyczyny złego wyboru, warunkując w sposób konieczny ludzkie czyny, odebralibyśmy im cechę wolności. Może sama niewytłumaczalność, absurdalność wyboru jest gwarantem naszej wolności? Ale w takim razie... nie, nigdy na to się nie zgodzę.

Wiem tylko, że nasza słabość jest straszną siłą, która szantażuje Boga, że nasze grzechy zmuszają Go do przybijania do drzewa kaźni Najumiłowanego Syna. Módl się, módl, drogi ojczy, żebym o tym nie zapomniał ani na jedną chwilę.

NOC DWUDZIESTA PIĄTA

To nadzwyczajne. Już drugi dzień czuję się dobrze, mimo tego, że sen po dawnemu mnie nie nawiedza. Nic mnie nie boli. Wszystko jem, dużo chodzę. Czuję, jak ciało moje jędrnieje, mięśnie napięją się nową energią, serce pracuje mocno. Stan obrzydliwej, omdlewającej słabości ustąpił i niedorzeczna nadzieja zaczyna się panoszyć... czyżby? Wszystko jedno. Wszystko możliwe.

„U ludzi to jest niepodobne, ale u Boga wszystko jest podobne.”

Dziękuję Ci, Panie, za radość dnia dzisiejszego, za to, że chociaż na chwilę wprowadziłeś mnie do królestwa ludzi zdrowych. Skorzystam z tego i napiszę zaraz księdzu K. to, o co mnie prosił. Myślę, że uda mi się to zrobić tej nocy.

Tu jest pięknie. Wieś na wzgórzu, ponad łąkami zbóż; rozległe łąki, strumienie, stawy. Kościół, który jakimś cudem godzi różne style: romański, bizantyjski, renesans, barok. Ze wszystkich stron widać jego zielone, cebulaste kopuły.

Jedyna niepokojąca rzecz w tym słonecznym państwie... Mój Boże, jeśli sam pasterz jest zgubioną owcą, to nie wypada nawet na chwilę z roli dobrego pasterza. Widzę, że ludzie go szanują. Wszędzie porządek, kościół świeżo odnowiony. Ksiądz K. jest

wzorem dobrego gospodarza. Hoduje rasowe bydło, uprawia sad z rzadkimi okazami drzew. Za jego przykładem chłopi z tej wsi stali się wzorem dla okolicznych gromad. Lubią go tu wszyscy. Każdemu coś poradzi, pomoże, wszystkich podbija swoim jowialnym humorem. Jest rzeczowy, praktyczny. Strasznie rzeczowy. Strasznie praktyczny. Przyzwyczailem się już do tego, że księża na ogół nie lubią rozmawiać o Panu Bogu i Jego sprawach. Jak zmęczeni lekarze, którzy w życiu prywatnym pragną zapomnieć o medycynie. Ale ksiądz K. tak mnie już zmęczył swymi wykładami o angielskich maciorach, o nowoczesnych chlewikach, o ruchomych ulach, nadstawkach, o zimowych odmianach...

Niestety, podejrzewam, że ksiądz K. stracił wiarę. Panie, przebac mi to podejrzenie i przebacz jemu, jeśli obawa moja jest uzasadniona. Ty jesteś samym miłosierdziem! Pociągnij go ku sobie wszechmocną łaską! Ty wszystko możesz!

Było to dzisiaj po południu, kiedy obejrzawszy wreszcie dokładnie inspekty w ogrodzie, jabłonki i grusze w sadzie wyszliśmy na pole. Wszędzie rozlewają się łany zbóż. Żyto rozczesywane chłodnym wschodnim wiatrem głęboko faluje. Ciągłe jeszcze zielone, niby woda morska, u góry, na linii horyzontu nabiega fioletowobrunatną barwą, podkreślając świetlistą jasność nieba. Jakie ono niezmiernie czyste!

Gdzieś wysoko dzwoni skowronek. Nie można wypatrzeć miejsca, w którym ptaszek wkręca niezmordowanie słodki swój świderk w niebieski strop. Mrużymy oczy. W powodzi światła, które głaszczą

łaskawie i oślepia, spadają na nas ostrużyny dźwięków. Wtedy właśnie wyrwało mi się zdanie:

— Jeśli to pole jest wspanialsze ponad wszelką pieśń, jaką człowiek może o nim wyśpiewać, to co może być tam, gdzie...

„ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało,
ani w serce człowieka nie wstąpiło...”

Wówczas po długim milczeniu usłyszałem przerażające słowa. Nie tyle słowa były takie, ile ton głosu i oczy, i wyraz twarzy, który im nadawał jednoznaczny sens:

— Kto to wie, co tam jest. Nikt stamtąd nie wrócił.

Te słowa zabrzmiały jak wyznanie i od razu poczułem ich wagę. Jestem wstrząśnięty bolesnym zaszczepem, który mnie spotkał. Czy zasłużyłem sobie na taką szczerłość?

— Jeśli pan już chce koniecznie napisać mi kazanie, to wołałbym... Niech pan napisze coś na temat wiary. Ale chcę, żeby to było coś praktycznego. Nie sama teoria, nie. Coś związanego z faktami. Z osobistym przeżyciem i z obiektywną prawdą zarazem.

Dobrze, napiszę coś takiego. Właśnie jabłonie z proboszczowskiego sadu nasunęły mi wspomnienie osobistego, najdramatyczniejszego przeżycia związanego z wiarą. I z tobą, drogi ojcie Józefie, którego osoby nie mogę tutaj pominąć...

Nie działo się to dwa tysiące lat temu i nie trzeba szperać w zmurszałych kronikach, składać szczątków kamiennych postumentów, zdrapywać rdzy ze starych monet, aby rozpoznać niewyraźne ślady po rzeczy, która przeminęła.

Działo się to bardzo niedawno i żyje jeszcze główny świadek wydarzenia, co można sprawdzić w urzędzie meldunkowym. Tym świadkiem jestem ja sam. Uważają mnie wszyscy za człowieka o zdrowych zmysłach. Muszę jednak coś więcej o sobie powiedzieć, aby świadectwo moje stało się bardziej przejrzyste.

Jeśli usprawiedliwione jest powiedzenie: *Anima naturaliter christiana*, do mnie to określenie w najmniejszej mierze nie pasowało. Byłem raczej „duszą z natury niechrześcijańską”. Od najmłodszych lat nienawidziłem — tak, wyrażam się ściśle — nienawidziłem pacierza, kościoła, nabożeństw, modlitw, różańców, świętych obrazów i w ogóle wszystkiego, co dotyczyło religii i nadprzyrodzonego życia. Z drżeniem wymawiam te słowa, ale chcąc uchodzić za wiarygodnego świadka — muszę mówić prawdę. Rodzice moi byli za to bardzo religijni. Ojciec, tercjarz, miał swego Boga, którego rozwieszał na wszystkich ścianach. Bóg ojca był obłaskawionym bóstwem zasobnego, mieszczkańskiego domu. Był tabu, o którym nie wolno mówić, aby nie szkodziło. Był amuletem dobrych interesów. Odgradzałem się od niego swoim dziecięcym sceptycyzmem.

Mając lat cztery, znalazłem już skuteczny sposób, aby mnie nie prowadzono do kościoła. Dostawałem mianowicie w czasie nabożeństwa spazmów tego rodzaju, że trzeba było mnie czym prędzej wynosić z Bożego domu i matka musiała często rezygnować z Mszy lub niesporów dzięki moim sztuczkom.

Na pierwszej spowiedzi nie powierzyłem kapłanowi tajemnicy swego dziecięcego serca. Nie wyznałem tego, co uważałem za grzech najcięższy, cho-

ciaż moja przewina w oczach Boga musiała być bardzo nikła. Ja to przydałem jej wagi i ciężaru, który uznałem za swoją wyłączną własność. Sam siebie osądziłem i od swojego wyroku nie dopuszczałem apelacji nawet do potęg najwyższych. Było to ciężkie przeżycie, ale jakby uwolniło mnie częściowo od Boga. Kończyłem wtedy siódmy rok.

Potem przechodziły już bez wrażenia świętokradzkie spowiedzi, konieczne niestety dla uzyskania dobrego stopnia z religii w gimnazjum. Na moje chłopięce lata padał zimny blask „Żywota Jezusa” Renana, ale to mi nie wystarczało. Drogę do świadomego ateizmu pragnąłem przebyć w siedmiomilowych butach. Łykałem więc chciwie wszystkie „Worki Judaszów”, dobywałem z fantazji brakujące przesłanki do najdziwaczniejszych wniosków i, mając lat piętnaście, unicestwiłem w swojej duszy doszczętnie nie tylko Chrystusa jako Boga, ale Chrystusa jako człowieka. Wraz z usunięciem tej przeszkody Bóg rozplynął się we mgle. Wyszedłem na puste pole ze swoją straszną, absolutną wolnością. Nade mną nie było nikogo. Przede mną, w oddali grało wszystkimi barwami życie. Mogłem z nim robić to, co mi się żywnie podobało. To uczucie zapiera dech w piersiach, przynosi radość epokowego odkrycia, chociaż jest w istocie bardzo smutne.

Nie nienawidziłem już religii, raczej litowałem się nad nią jak nad pokonanym przeciwnikiem. Nie drażnili mnie już rodzice swoimi modłami. Współczułem tylko matce klękającej do wieczornego pacierz, żal mi było ojca, który tracił co dzień pół godziny cennego czasu w kościele. Biedak! Bił tam czołem pokłony, obchodził ze czcią wokół skrzynię

kryjącą w jego mniemaniu cudowne skarby — a skrzynia była pusta.

Tak zaczęły płynąć lata mojej młodości chmurnej i nie górnej. Płasałem sobie na krawędzi otchłani, do której wpadłbym niechybnie, gdyby nie miłosierny Bóg, który, jak sam mówi, „chce zbawić wszystkich ludzi”.

Na moje szczęście spotkały mnie różne nieszczęścia, dzięki którym ten wesoły świat wydał mi się nagle zupełnie bez sensu. Aby odnaleźć sens życia, zacząłem filozofować, innymi słowy, zacząłem uczciwie myśleć. Przychodziło mi to z wielkim trudem. Zdobyte namiętności bruździły, zaciemniały horyzont, a wszystkie rozumowania kończyły się konkluzją, że świat jest bardzo ciężkim dowcipem i to nie wiadomo czyim.

Wówczas poznałem „przypadkowo” księdza, który tak bardzo różnił się od wszystkich dotąd mi znanych, że wydał mi się wyznawcą jakiejś nowej religii. On zaś był tylko prawdziwym chrześcijaninem. On naprawdę mnie kochał. Swoją miłością rozbroił mnie całkiem. W jego pobliżu moje zabliznione rany zaczęły znowu krwawić, ale ja nie odchodziłem od niego. Ufałem mu, byłem mu posłuszny. Przeczytałem wiele książek, które mi przynosił, rozmawiałem z nim szczerze. Zaznaczam, że nigdy nie dowodził mi istnienia Pana Boga. Zajmował się moimi osobistymi kłopotami i starał się mi pomóc.

Ach, przepraszam. Byłbym skłamał: z wyjątkiem jednego razu, gdzieś jeszcze na początku naszej znajomości. Wybraliśmy się wtedy za miasto na bezcelową włóczęgę, którą tak obaj lubiliśmy. Dzień był jesienny, bezwietrzny, zupełne przeciwieństwo dzisiejszego dnia. Puste pola. Nagie rżyska płoną

w sierpniowym słońcu. Gdzieś, na widnokręgu samotny oracz idzie za pługiem. Kopyta konia dymią. Ruda wstęga kurzu odwija się coraz dalej i wisi w powietrzu.

Było mi smutno. Wtedy on zaczął mówić. Przemawiał do mego rozsądku, wysilał się na argumenty, które zresztą nie sprawiały mu wiele kłopotu. Podziwiałem wtedy jego spokój i siłę przekonania.

— Jest pan materialistą, uznaje pan... Doskonale. Opierając się na pańskich dogmatach i przesłankach jeszcze łatwiej mi będzie dowieść istnienia Boga. A więc założmy, że świat jest odwieczny, że ewolucja jest faktem, że myśl jest tylko wytworem żywej, wysoko zorganizowanej materii. Dobrze. Znasz zapewne powiedzenie Hegla: „Drzewo rośnie sylogizmem”, prawda? Faktem przez nikogo nie kwestionowanym jest porządek, ład panujący w świecie, który uderzająco występuje w biokosmosie. Na wszystkich bez wyjątku dziełach przyrody ożywionej spoczywa piętno rozumu, znamię racjonalności. Nie będę tu przytaczał przykładów tych niezwykle skomplikowanych struktur anatomicznych, doskonale, rozumnie przystosowanych do pełnienia różnorodnych witalnych czynności, tych mądrych i niezliczonych reakcji chemicznych zachodzących w żywej protoplazmie. Genialni uczeni z trudem dochodzą do określania arcylogicznych praw rządzących mechaniką tych uporządkowanych, harmonijnych przemian. Rzeczywiście, analizując te prawa, te struktury, te reakcje, zaczynamy bardziej podziwiać jeden listek wierzby niż całą bazylikę świętego Piotra ze wszystkimi arcydziełami Michała Anioła.

A przecież wierzba nie ma mózgu. Cała natura poza człowiekiem nie posiada organu myślenia. Mówi pan: „prawa natury”. A czymże jest prawo, jeśli nie określeniem nakazu rozumu i rozumnej woli? Nie znajdujemy określającej myśli w siłach przyrody, której rozwój wyraża się w ślepo działającym dynamizmie, chociaż nasz rozum odkrywa, że dynamizm ten słuca pewnych myślowych praw. Ponieważ nie dostrzegamy rozumu w obrębie ślepych sił przyrody — musimy poszukać go gdzie indziej, jeśli nie chcemy bronić absurdu i głosić, że skutek następuje bez żadnej przyczyny. Musimy więc uznać istnienie własnego rozumu, działającego poza przyrodą i poprzez przyrodę, rozumu absolutnego, nieskończenie przewyższającego nasz umysł, który ludzkość od niepamiętnych czasów nazywa Bogiem.

Dlatego św. Paweł napisał w Liście do Rzymian słowa: „Ponieważ to, co można poznać o Bogu, jest im jawne. Albowiem Bóg się im objawił. Bo niewidzialne jego przymioty, od stworzenia świata, przez zrozumienie tych rzeczy, które są uczynione, są oglądane. Wieczna też moc jego i bóstwo”.

W tym miejscu głos księdza Józefa stał się bardziej twardy i nalegający, a mnie zrobiło się jeszcze smutniej.

— No, niech pan powie sam, jeśli by pan odkopał w swoim ogródku doskonale piękną rzeźbę z marmuru, czy nie musiałby pan uznać bez żadnych wątpliwości, że to jakiś wielki artysta tę postać wykonał? A gdyby ktoś w pana wmawiał, że nie, że ta rzeźba cudownie piękna sama w ziemi się ukształtowała według znanych praw proporcji i ładu, to czy nie zaczęłyby pan podejrzewać tego kogoś o chorobę umy-

słową? Przecież znamię racjonalności wyraża się tak silnie w tym dziele sztuki przez dostosowanie bryły marmuru do określonej wizji twórczej, że nie sposób wątpić o istnieniu człowieka-autora tej wizji! Analogiczne promieniowanie rozumu widać w całej przyrodzie. Cały świat widzialny jest śladem kroków Niewidzialnego. Jeszcze jedno. Jeśli utrzymuje pan, że świat jest odwieczny i istnieje ewolucja, to jak pan wytłumaczy fakt, że przyroda znajduje się dopiero na pewnym etapie rozwoju? Przecież istniejąc nieskończenie długo, świat powinien dojść do ostatniej, maksymalnej i optymalnej fazy rozwoju! Co, zagadka? A może uznamy cykliczne nawroty, skłonimy głowę przed pesymistyczną teorią kataklizmów, utkniemy w wiecznym kole przemian, co? Wieczność świata to hipoteza, której nie można dowieść, w którą można tylko wierzyć. Przypuśćmy jednak, że świat jest wieczny, to... trwanie niczego nie wyjaśnia. Trzeba wykryć rację tego, co trwa, nie dbając o długość trwania. Czy wytłumaczy pan komuś strukturę samolotu i przyczyny jego ruchu, twierdząc, że samolot istnieje już bardzo dawno?

A teoria ewolucji... jeśli nie jest tylko hipotezą roboczą, jeśli jest faktem, który ja zresztą razem z panem uznaję — to świat nie jest gotowym, biernym przedmiotem, ale żywą, samoczynną, nad wyraz doskonałą obrabiarką. Ewolucja! Cudowna siła, która działa ślepo i przetwarza świat, podnosząc go wzwyż! Ale ewolucja niczego nie tłumaczy, nie wyjaśnia racji swego istnienia. Jej siły, jej tajemniczy mechanizm świadczą tylko dobitnie o tym, że jest ona narzędziem jasnowidzącej myśli, w rytm której działa. Ewolucja więc o wiele silniej niż teoria statyczności

świata śpiewa o potędze Boga. W całym wszechświecie, w makrokosmosie czy mikrokosmosie, uderza nas genialny plan, który rządzi biegiem rzeczy. Każda rzecz nosi ślady uderzeń jednego dłuta. Porządek powstawania rzeczywistości rysuje coraz to w innej tonacji jedną myśl, naśladuje wewnętrzny ład tej myśli.

I tak dalej, i dalej dobry ksiądz Józef uderzał we mnie wtedy coraz to nowymi argumentami. I chociaż nie potrafiłem tych dowodów unicestwić, muszę przyznać, że wcale mnie one nie przekonały. I jeśli zacząłem w owym czasie coraz częściej myśleć o Bogu, to z innych zupełnie przyczyn. Sprawiała to przede wszystkim osoba księdza Józefa.

Jego osoba sama przez się nasuwała nieustannie myśl o Bogu. Był Jego wysłannikiem. Trudno było sobie wytłumaczyć istnienie tego człowieka bez pojęcia Boga. Można powiedzieć, że pachniał Bogiem zawsze, nawet wtedy, gdy pogrążał się w sprawy zupełnie świeckie. Z drugiej strony moje pilne studia doprowadziły mnie do punktu, z którego, jak by tu powiedzieć — zacząłem się rozglądać za Bogiem we wszechświecie. „Z tego wszystkiego wynika, że Bóg powinien być” — tak obecnie kończyły się moje rozumowania. Powinien. To wszystko. Dalej już postąpić nie mogłem. Natrafiłem na barierę niepokonalną. Powinien być, ale czy jest? Od pojęcia Boga do uznania Jego rzeczywistego istnienia, do stwierdzenia Jego żywej, osobowej obecności byłem tak niezmiernie daleko, że zakładając w myśli potrzebę i logiczność Jego istnienia — samo Jego realne bytowanie wydawało mi się piękną bajką. Życie nasuwało mi tyle różnych „ale”, tyle zaprzeczeń i trud-

ności... Zło, niesprawiedliwość, cierpienie, krzywda ludzka... A cóż mówić o całokształcie religii? O przerażających wymaganiach, o nieprawdopodobnych dogmatach? Eucharystia, zmartwychwstanie ciał... ciekawe, cudowne historie, ale żeby ich prawdziwość uznać z nie mniejszą siłą, niż się uznaje istnienie własnego nosa — to przechodzi ludzkie siły. Na to mimo najlepszych chęci zdobyć się nie mogłem. Na to trzeba jakiejś bardzo naiwnej, ślepej wiary, na to należało chyba zostać zaczarowanym, urzeczonym, wprost umysłowo zgwałconym. I przez kogo? Kto mógłby dokonać tej operacji? Czy Ten, w którego istnienie nie wierzę?

W takim bardzo niewesołym stanie ducha przeżyłem jeszcze wiele miesięcy, a niepokój mój rósł z dnia na dzień. I wreszcie, gdy doszedł do nieznośnego napięcia, odnalazłem mojego przyjaciela, z którym w owym czasie straciłem kontakt.

— Nie pozostaje ci nic innego, mój drogi bracie, jak tylko pójść do spowiedzi. Jedyne wyjście z sytuacji — tymi słowy ksiądz Józef odpowiedział na moje gorzkie pytania.

Od razu rada wydała mi się absurdalna. To tak, jakby człowiekowi z pustyni, który nigdy nie widział wody i nie ma pojęcia o pływaniu, kazano nagle wziąć udział w zawodach pływackich o mistrzostwo świata.

— Ja... ja kilkanaście lat się nie spowiadałem i jestem niewierzący... Ksiądz wie...

— Wyznasz i to na spowiedzi. Zaznaczysz tylko, że chciałbyś uwierzyć. Przecież to jest prawdą. A prawda wyswobadza. Prawda cię oswobodzi.

Nie, tego wam nie wytłumaczę, jak to się stało, że posłuchałem szalonej rady księdza Józefa. Faktem jest, że po bezsennej nocy, na drugi dzień wieczorem, klęczałem u kratek konfesjonału.

Chciałbym bardzo wam jak najdokładniej opisać swoje przeżycia w następujących potem chwilach, ale zdaję sobie sprawę z trudności, jakie to pragnienie nasuwa. Na godne podkreślenie pewnych ułamków sekundy musiałbym poświęcić całe tomy. Nie, i tego byłoby za mało. Tu trzeba by jakiejś wizji lokalnej, dramatycznej, wstrząsającej wizji — przewodu, do którego stanąć by musiały wszystkie osoby dramatu. A ponieważ główną osobą w tej sprawie jest sam Bóg, więc... Więc podam wam to wszystko w wielkim skrócie, najwierniej, jak tylko będę mógł. Na pewno nie będzie to bardzo wierne, bo wzruszenie, które mnie w tej chwili ogarnia, zmaćmi mi obrazy, podsunie słowa niepotrzebne lub sztuczne.

Rzykowałem wówczas bardzo wiele. Stawiałem wszystko na jedną kartę, zdawałem sobie z tego sprawę. Co będzie, gdy odejdę od konfesjonału z takim samym wątpieniem w duszy jak pierwej? Liczyłem na to trochę, że mimo wszystko nie otrzymam rozgrzeszenia. Asekurowałem się tym w pewnym stopniu. Śmieszne, ale właśnie ta obawa najwięcej dodawała mi odwagi.

Po długiej, tym razem szczerej spowiedzi, po przyznaniu się do swojej niewiary — rozgrzeszenie otrzymałem. Niestety, w chwili wypowiedania uroczystych słów absolucji nie przeszła mnie upragniona strzała. Nie otrzymałem nagrody za swoją pokorę. Żadnej pewności — tylko wątpienie, jeszcze gorsze

wątpienie! W pomieszaniu, z rozdartym sercem, bliski rozpaczy uciekłem do swego domu.

I tu oczekiwała mnie niespodzianka, największa z możliwych.

Dopiero po dłuższym czasie otworzyłem zaciśniętą garść. Trzymałem w niej, prawie nie wiedząc o tym, obrazek, który mi wetknął spowiednik w chwili odejścia od konfesjonału; w tej chwili, gdy wychylając się, ucałował mnie w głowę, co mnie bardzo zaskoczyło. Obrazek był bezbarwny. Fotografia jakiegoś krucyfiks, właściwie górnej jego części.

Patrząc bezmyślnie na głowę Człowieka, wyrzucaną w górę spazmem straszliwej męki, poczułem nagle, że dzieje się ze mną coś nienazwanego. Siedziałem wtedy na łóżku, ale wnet ugięły się pod mną kolana. Strzała, która spadła wreszcie z wysokości, podobna była do ciężkiej, rozpalonej kropli krwi, spadającej z twarzy Zbawiciela świata. Przeszyła ostrzem pewności nie tylko mój umysł, przeorała, doprowadziła do wrzenia całą moją istotę. Ktoś za mnie umarł i ten Ktoś jest naprawdę Bogiem! On jest, On żyje! Patrzy na mnie. Kocha mnie w niewysłowiony sposób. Wierzę już. Wiem na pewno, bez cienia wątpliwości.

Pewność jest tak potężna i gwałtowna, tak dotkliwie, wstrząsająco zaborcza, że w jej uścisku płonie każde włókno mojego ciała. Przemieniam się w mgnieniu oka. Nie poznaję siebie. Nie poznaję rzeczy, które mnie otaczają.

W najwyższym uniesieniu wybiegam na dwór. Chcę kogoś wołać, krzyczeć, zapraszać cały świat na ucztę swego szczęścia. Wszystko stało się zupełnie nowe i nareszcie zrozumiałe.

Była późna jesień. Pamiętam, że w ogródku przed domem stały jakieś drzewa. Chyba jabłonie. Wydawało mi się wtedy, że coś je odmieniło. Nie przypominały martwych, nagich szkieletów, jakby rozkwitły niewidzialnymi kwiatami. W oczach moich ożyły, zagrały żywym tonem harmonii świata, który w końcu odzyskał swój sens. Zdradził swoje imię. Jak wspaniałe imię, jaka oszałamiająca harmonia!

Wiem wszystko, rozumiem wszystko, wszystko się zgadza, jest dobre, dobre na pewno. Wszystko jest w rękę Ojca. Dobrego, Wszechmogącego Ojca.

Teraz dopiero wiem, po co jestem, po co jest ból i radość, poznaję drogi mrówek i obłoków, drogi wielkich, odległych rzek, drogi historii ludzkiej. Wszystko wpływa do jednego portu, a ten port jest tuż przede mną. Nie ma tysięcy spraw, milionów rzeczy, jest tylko jedna rzecz, jedna wielka sprawa. Sprawa Boga i człowieka.

Rozrywany, pijany radością, oparłem się o pień jabłoni jak o pierś przyjaciela. Głaskałem wilgotną, spękaną korę, macałem, odnajdywałem ślady, odciski znajomej już Dłoni. Cieszyłem się jak dziecko, jak ślepiec, który nagle przewidział. Na kawałku kory spotkałem się z potęgą, która wywiodła z nicości świat, przywitałem się z Miłością. Byłem pewien, że gdybym rozdarł to drzewo, dobrał się do jego rdzenia, znalazłbym tylko Miłość, tylko mego Boga.

Głuchy pień w niewymowny, tajemniczy sposób opowiadał mi o Nim. Pulsujące bezgłośnie pod korą życie drzewa miało w sobie coś z tego Życia jedyne-ego, które jest w całej pełni, które żyje wszystkimi

możliwościami życia, w maksymalnej rzeczywistości.
Och, gdybym mógł wam...

Jak sami widzicie, wypisuję teraz dziwactwa. Seplenię, bełkoczę, tworzę literaturę, chociaż usiłowałem dokładnie opisać przebieg mojej wielkiej, największej przygody. Może więc streszczę ją inaczej. Owego dnia otrzymałem niespodziewanie i darmo, wbrew moim zasługom, bezcenny dar. Otrzymałem łaskę wiary, którą dzisiaj żyję.

NOC DWUDZIESTA ÓSMA

Dziwna rzecz! Zasnąłem, siedząc przed otwartym, rozżarzonym piecem. Spałem chwilę tylko i śnił mi się sen. Był straszny. Gdy się obudziłem, odetchnąłem z ulgą: To był tylko sen! Nietrwały, nierzeczywisty koszmar. Gdy wytrzeźwiałem zupełnie, spostrzegłem, że nie mam się z czego radować. Wszak pozostało życie — okropne, beznadziejnie smutne, a niestety już realne.

Aż pocieszyła mnie nagła myśl: I z życia cię Ktoś obudzi. I ono jest nietrwałe, nierzeczywiste, fałszywe, przelotne. Czekaj. Niedługo przyjdzie. Jeszcze rok, jeszcze dzień, a zjawi się na pewno. Wyrwie cię z ułudy i postawi na płaszczyźnie wieczności prawdziwej. Czekaj cierpliwie — przyjdzie — cicha siostra z zasłoniętym obliczem. Dotknie lekko twego ramienia i pierzchną wszystkie smutki, obudzisz się ostatecznie i na zawsze. Czekaj śmierci. Śmierci, która jest jedynym sakramentem, jaki wszyscy przyjmują muszą. Sakramentem absolutnej samotności.

Do nas należy tylko dzień dzisiejszy, który jak korek unosi się na falach niezmiernego oceanu. Tym oceanem jest wieczność, czyli niezmienna teraźniejszość. Zadaniem naszego życia jest zakotwiczyć się w niej dobrą śmiercią. A dobrą śmierć kupuje się dobrym życiem.

Jest już późno i cicho, tylko za oknem wiatr zimnymi paluchami gmerze niemrawo w pozółkłych czubach klonów i lip. Jego szum jest jak echo ludzkich głosów odmawiających Zdrowański różańca.

Proboszcz wyjechał na odpust do sąsiedniej parafii. Jego matka po krótkim wahaniu zgodziła się mnie przenocować. Patrzy na mnie poczciwie, ale trochę nieufnie. Nie wiem, co bym począł, gdyby się nie zgodziła. Gdy stanąłem wreszcie przed plebanią, niewielkim domkiem z czerwonej cegły, schowanym w środku starego parku, byłem tak wyprany z wszelkiej siły, że nie zdołałbym już szukać gdzie indziej schronienia. Może to wyczuła...

Po stromych, skrzypiących schodach z chwiejącą się poręczą zaprowadziła mnie na poddasze. Nie wiem, jakie jest zwykle przeznaczenie tego małego, brzydkiego pokoiku. Dla mnie stał się cichą przystanią po długiej, męczącej wędrówce. Ubogo tu. Gołe bielone ściany, żelazne łóżko, a nad nim prosty krzyż, stolik nakryty lnianą serwetą, dwa krzesła i czarny prostokąt okna, nie osłoniętego żadną firanką.

Starowinka przyniosła mi kolację i posłała łóżko. Gdy krzątała się po pokoju, pochylona nieco, patrzyłem na jej dłonie. Fruwały z przedmiotu na przedmiot jak dwa dziwne ptaki. Skóra na nich miała barwę i suchość pergaminu, rozciągniętego na siatce żył sinawych i wypukłych. Długie palce, zgrubiałe w stawach. Dobre ręce... Ręce matki. Z dziecinną tęsknotą zapragnąłem, aby mi je choć na chwilę położyła na głowie, ale nie śmiałem ją o to prosić.

Moja propozycja widocznie ją zaskoczyła. „Syn zawsze sam układa swoje kazania...” To nic. I tak napiszę. Dla ciebie, obca przecież a tak bliska, matko. Napiszę o Matce Niepokalanej.

Gdy zabłąkany żeglarz ujrzy wreszcie na firmamencie najpiękniejszą gwiazdę, ukazującą mu drogę do portu, gdy po długotrwałej nawałnicy radosna tęcza zepnie niebiosa z ziemią harmonijnym łukiem, gdy po jesiennych deszczach i zimowych zawieruchach doczekamy się dnia absolutnie pogodnego, wiekuiście wiosennego, parującego w słońcu jak kadzielnica czysta i wonna, dnia, który wygrywa, zda się, pieśń odzyskanego raj — pełne zachwyty milczenie wypiera wszystkie hymny pochwalne.

Czy dlatego właśnie katolikowi, w którego życiu tyle znaczy Niepokalana, przedziwna Dziewica-Matka, trudno jest mówić o Niej dużo i dobrze?

„Maryja Niepokalana. Matka Boska. Tak bliska modlitwom przez swą osobę ludzką, niewieścią, przez macierzyństwo, przez cichość, przez ból. I taka niepojęcie wielka. Tak niesłychanie tajemnicza. Samo imię Jej jest paradoksem.

M a t k a B o s k a. Kobieta z krwi i kości, która urodziła — Boga. Poczęta po ludzku, z woli mężczyzny podległego ziemskim pożądaniom, jest poczęta niepokalanie. Żona cieśli z Nazaretu, napełniona Duchem Świętym, rodzi Syna, który jest twórcą własnych narodzin. Staje się matką, nie przestając być nigdy dziewicą. Syn Jej jest zarazem człowiekiem i Bogiem. Mogąc grzeszyć, nie popełnia najmniejszego grzechu. Będąc skończonym stworzeniem, mie-

ści w sobie wszystkie łaski Boga. W chwili śmierci ciało Jej nie ulega rozkładowi. Umiera i nie rozstaje się z ciałem. Cieleśna, a przewodzi hufcom czystych duchów, o naturze wyższej niż ludzka. Skromna, nikomu nie znana dziewczeczka z żydowskiej miejsciny staje się władczynią dusz, Królową wszechmożną w orędownictwie. Z Jej głosem liczy się sam Bóg.

Ta niezwykła istota, która odegrała tak kapitalną rolę w dramacie Odkupienia, została naturalnie pomysłana przez Boga przed wiekami wieków. Bóg zdradził się ze swymi zamiarami już na progu raj, z którego wypędził upadłego Adama. Wtedy już rzekł do ducha ciemności: „Położę nieprzyjaźń między tobą a Niewiastą i między nasieniem twoim a nasieniem Jej. Ona zetrze głowę twoją”.

Na próżno jednak próbujemy odnaleźć godne tej roli miejsce w natchnionej przez Boga księdze, która jest poświęcona wyłącznie życiu Jej Syna. To zdumiewające — ale można powiedzieć, że Ewangelista nie tyle mówi o Kobiecie, z której się narodził Bóg-człowiek, ile raczej Ją przemilcza. Na kilkaset stron zaledwie kilka razy nam Ją ukazuje. I ukazuje jak? W głębokim cieniu. Poza narodzinami, w których wystąpienie Jej było rzeczową i historyczną koniecznością, nie widzimy Jej prawie. Tu i ówdzie Ewangelisci rzucają mimochodem powściągliwe wzmianki. Boski Syn tytułuje Ją po prostu — „niewiastą”, na równi z innymi niewiastami. Gdy zdyszana odnajduje Go w świątyni, gasi Jej macierzyńską wymówkę surową uwagą: „Cóż jest, żeście mnie szukali? Czyż nie wiedzieliście, że w tym, co jest Ojca mego, być winieniem?” Na dobitkę Ewangelista spieszy z ko-

mentarzem: „Lecz oni nie zrozumieli tych słów”. Czyni to Łukasz, najlepiej poinformowany, największym pietyzmem odznaczający się historiograf Maryi. Komentarz raczej kompromitujący.

Z głębokiego cienia wynurza się czasem Matka Słowa. W Kanie Galilejskiej ujmuje się za biesiadnikami, którym zabrakło wina. Drobiazg mało znaczący. Syn spełnia prośbę Matki jakby niechętnie, prawie strofując Ją za zbytnią natarczywość. Dowiadujemy się jeszcze z innych wzmianek, że nie opuszcza Go w apostołskich wędrówkach, idzie w trop za Nim, starając się trzymać w Jego pobliżu.

I oto zapewne stęskniona i stroskana odnajduje Go gdzieś w małej wioszczynie galilejskiej, gdzie przez wiele godzin, obleżony tłumem ludzi, głodny i zmęczony, pociesza znękanych, uzdrawia, naucza, ogłasza Królestwo. Maryja nie ma siły przepchać się przez tłum. Posyła ucznia z zawiadomieniem, że jest tuż, że pragnie się z Nim zobaczyć. Ale On nie wychodzi z domu na Jej spotkanie. Przybycie Matki natomiast zużytkowuje jako temat do następnej nauki, streszczonej w słowach: „Któż jest matką moją i którzy są braćmi moimi? Oto matka moja i bracia moi. Ktobykolwiek bowiem czynił wolę Ojca mego, który jest w niebiesiach, ten moim bratem i siostrą, i matką jest”. Wspaniała i pocieszająca lekcja dla nas. Ale dla Tej Jedynej, rzeczywistej Matki, która została za drzwiami?

Widzimy Ją również w ostatnim akcie dramatu, na Górze Trupiej Głowy. Z krzyża spadają ostatnie słowa Konającego. Ostatnie pożegnanie Syna z Matką: „Niewiasto, oto syn twój” — poleca Jej opiece umiłowanego ucznia. To wszystko.

A teraz wyobraźmy sobie scenę jedyną w historii świata, scenę Zwiastowania, którą rozważamy w pierwszej tajemnicy różańcowej. Scenę opiewaną przez chrześcijańskie poematy, malowaną przez wybitnych artystów, rzeźbioną w kamieniu na ścianach wielu kościołów i starożytnych katedr.

Wydarzenie przełomowe, które zmieni bieg historii. Wypełniają się czasy, urzeczywistniają prorocтва. Po tysiącach lat oczekiwania Bóg przybliży się do swego ludu. Syn Jego odwieczny zstąpić ma wreszcie na ziemski padół, wcielić się w człowieczeństwo.

Do ubożego domku w Nazarecie puka posłaniec Boży. Otwiera mu drzwi prosta, nikomu nie znana Dzieweczka, spędzająca wolny od ciężkiej pracy czas na modlitwie. Zapewne nie pamięta, że w żyłach Jej płynie krew podupadłego rodu królewskiego, na pewno nie wie o tym, że jest pełna łaski, gdyż zatrwożyły Ją słowa gościa. Te słowa, które powtarzane będą odtąd do końca świata przez miliony ludzi: „Bądź pozdrowiona, łaski pełna, Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami”. Nieznajomy, nie dając Jej ochłonąć ze zdziwienia, natychmiast zapowiada, że Ona właśnie porodzi Tego, na którego od wieków oczekuje lud izraelski i cała ludzkość, Mesjasza, Syna Boga Najwyższego.

Według tradycji żydowskiej, w której była wychowana Maryja, Mesjasz miał się narodzić w miejscu nikomu nie znanym, i zaiste na wielką próbę została wystawiona w tym momencie Jej skromność i pokora, a nikt z nas ocenić nie zdoła, na jak wielką próbę została wystawiona Jej wiara. Maryja jednak w swej cudownej prostocie od razu uznaje realną

możliwość niesłychanego faktu. „Błogosławionaś, któraś uwierzyła” — pochwali Ją słusznie Elżbieta. Niełatwo było uwierzyć. Ona już wierzy. Pyta więc spokojnie, jak to się stanie, gdyż ślubowała Bogu dziewictwo. Z pytania tego widać, że nie wyobrażała sobie, aby Jezus miał nie posiadać ziemskiego ojca, i nie przypuszczała, że porodzi mocą Ducha Świętego. Tę oślepiającą prawdę wnet Jej objawiono.

I teraz następuje chwila, w której Maryja z Nazaretu godzi się obdarzyć nas Zbawicielem świata; godzi się zbratać nas z Bogiem: stać się współniczką naszego zbawienia. Wobec tego, że sam Bóg, żądając Jej zgody, oznajmił Jej swój zamiar wciągnięcia do współdziałania w wielkiej sprawie, wyraża tę zgodę i współdziała z Bogiem: „Niech mi się stanie według słowa twego”.

Jaka trwoga i radość, zdumienie i zachwyt musiały rozszerzać serce tej skromnej Dzieweczki, która za ułamek sekundy była już Matką wszystkich ludzi!

Brzemienny w skutki pierwszy akt dramatu Odkupienia został zanotowany przez Ewangelistę w kilku zwięzłych zdaniach. Jesteśmy mu za to wdzięczni, gdyż w tych zdaniach zawierają się ziarna wszystkich Maryjnych dogmatów.

Następny akt — życie ukryte Jezusa w Nazarecie — nie znajduje właściwie żadnego odzwierciedlenia w księgach Dobrej Nowiny. Ten długi trzydzieści lat trwający okres, w którym rozwijał się i dojrzewał pod okiem Matki Przedziwnej Syn Człowieczy, zamknięty jest dwoma krótkimi zdaniami: „Jezus zaś wzrastał w mądrości i latach, i w łasce u Boga

i u ludzi”. „I udał się z nimi, i przyszedł do Nazaretu, a był im poddany.”

Nie sposób sobie wyobrazić, czym był dla Maryi ten szczęśliwy okres, w którym obcowała Ona najściślej, bez żadnych przeszkód, bez chwili rozstania, z Synem Bożym. Był zawsze z Nią, „był Jej poddany”. Kto zdoła ogarnąć umysłem to nadludzkie szczęście, ten przywilej udzielony człowiekowi raz na przestrzeni dziejów? Mieszkać pod jednym dachem z Dziecięciem Bożym! Patrzyć na Nie, gdy budzi się rano, gdy wstaje, gdy bawi się i pracuje, zasiadać z Nim do wspólnego stołu, witać Jego uśmiechy i słyszeć głos słodki, który kiedyś burze będzie uśmierzał, rozbierać Go i ubierać, odbywać z Nim spacer, układać Go do nocnego spoczynku, modlić się z Nim razem! Modlić się razem z Bogiem! Czym były te modlitwy niewysłowione, czym były dla naszej Matki te rozmowy długie, jakie wiodła w zaciszu nazaretańskiego domku w ciepłe wieczory galilejskie z Tym, który był stopiony z Bóstwem absolutnie, hipostatycznie, który nigdy nie oddzielał się od Wszchemogącego, ani na sekundę nie był pozbawiony Jego wizji!

„A matka jego wszystkie te słowa zachowywała w sercu swoim.” Zaiste — serce tej Matki stało się skarbem przebogatym.

Ona wiedziała, na czym czole składa co dzień pocałunki, czyje włosy rozczesuje, czyją głowę przytula do swej piersi. Jej nie trzeba było tłumaczyć: „Filipie, kto widzi mnie, widzi i Ojca”. I jeśli Jezus zaznaczył: „Nikt nie zna Ojca, jeno Syn i ten, komu Syn zechce objawić” — to nie wątpimy, że zechciał Go objawić najpełniej swojej Matce. I jesteśmy

pewni, że w codziennych rozmowach z Matką przybliżał Ją do najgłębszych tajemnic Ojca, zbliżył Ją do Niego tak, jak to jest możliwe dla człowieka, dał Jej z Niego wszystko, bo „wszystko, co Ojciec ma, do mnie należy”. Nikt przecież na ziemi nie kochał Jezusa bardziej niż Jego Matka, a „kto mnie miłuje, umiłuje go Ojciec mój, i ja go miłować będę, i siebie samego mu objawię”.

Niepojęte, naprawdę niewyrażalne było obcowanie Tych Dwojga. Ona — krwią swoją ukształtowała Jego ciało i boskie rysy Jego ludzkiego oblicza, tak że stał się „piękniejszy urodą nad syny człowiecze”, zupełnie podobny do Matki Najśliczniejszej. On — słowem swym ukształtował rysy Jej duchowego oblicza, tak że stała się najdokładniejszym Jego wizerunkiem, modelem wszelkiej świętości.

Oblubienica Ducha staje się oblubienicą Syna i z Nim razem rodzi nową ludzkość. Syn uzbraja Matkę w nadprzyrodzone moce i powierza Jej życie duchowe przyszłych swoich wiernych. To Ona będzie rodziła, karmiła i strzegła chrześcijan. Będzie ich matką rzeczywistą, nie tylko w znaczeniu moralnym, ale organicznym, bytowym.

Ale następuje dzień, w którym Zbawiciel odchodzi do Ojca. Historię młodego Kościoła opisuje inna księga objawiona — *Dzieje Apostolskie*. Jezus jest już w niebie, ale na ziemi zostaje Maryja, najważniejsza po Nim osoba, Matka Kościoła.

Zostaje, aby czuwać nad jego rozwojem. Ten Kościół jest dziełem Jej Syna, owocem Jego życia, Jego męki, Jego krwi. Jest więcej niż Jego dziełem. Kościół — to On sam w swoim Ciele Mistycznym.

Zjednoczona najbardziej ze wszystkich istot z Synem Boga — jest zjednoczona najściślej z Mistycznym Ciałem Boga, które ogarnia ludzkość. Rodzicielka Zbawiciela rodzi po raz drugi — Arkę Zbawienia. W Jej łonie dziewiczym kształtowały się członki Syna Człowieczego — teraz w Jej sercu gorącym rosną członki Kościoła Bożego. Pochylona kiedyś czule nad kolebką Chrystusa, pochyła się teraz z największą troskliwością nad kolebką chrześcijaństwa.

Niemożliwe jest, aby Ta, która uczyła chodzić małego Jezusa, nie czuwała nad pierwszymi krokami Jezusowej „małej trzódki”; aby nie była związana z jej losem, aby była obca czemukolwiek, co jej dotyczyło; aby nie radowała się z nią i nie płakała, nie odczuwała najżywiej jej zwycięstw i porażek; aby wreszcie nie przekazywała jej tych słów, które „zachowywała w sercu swoim”.

Jeżeli Syn Jej mógł powiedzieć: „Kto widzi mnie, widzi Ojca” — Ona miała prawo mówić: Kto widzi mnie, widzi Syna. I o ile wstrzeźliwość Ewangelistów można tłumaczyć obawą przed odrywaniem wzroku ludzi od centralnej Osoby dramatu, to obawa ta byłaby nieusprawiedliwiona u autora *Dziejów*.

Czymże więc uzasadnić milczenie Łukasza, znającego tyle szczegółów z życia Matki Bożej, który zaledwie raz wspomina Jej obecność w wieczerniku, po wyliczeniu imion apostołów, na samym końcu listy, w jednym szeregu z „niewiastami” i „braćmi jego”? Czy wystarczy tu powoływać się na niskie położenie socjalne ówczesnej kobiety?

Tak więc nie tylko postać Dziewicy-Matki wydaje się paradoksem, ale również kronika Jej życia, ukry-

tego w Chrystusie i Kościele. Stajemy wobec tajemnicy trudnej do wyjaśnienia. Rozjaśnić jej mroki może jedynie inna tajemnica. Tajemnica Ciała Mistycznego.

Chrystus nie odszedł. Chrystus nie zakończył swego dzieła. Chrystus żyje nadal na ziemi w swoim Kościele, który jest Jego Ciałem Mistycznym. „Jest z nami po wszystkie dni.” Jest i dopełnia siebie w nas. Jest i działa. Jest i ukazuje nam coraz wyraźniej swoją Matkę, którą ukrywał w czasie swej ziemskiej wędrówki. Bo mówił: „Nie ma nic zakrytego, co by odkryte być nie miało”. Kościół Chrystusowy jest ten sam i ciągle nowy. Rośnie i rozwija się. Obdarza nas coraz to nowymi skarbami, które miał w sobie od początku. Zadziwia nas boską „ewolucją” swojej Prawdy, którą określa dogmatycznie w odpowiednim czasie.

Stąd wynika wielka rola Kościoła, ogrom jego zadania.

Dzięki temu jest on wiecznie młody i twórczy. Bóg, który w przedziwny sposób miłuje człowieka — wysila się niejako, aby go wynieść jak najwyżej. Przez szacunek dla niego lubi działać przez niego. Chrystus mógł wszystkiego na ziemi dokonać sam i sam wszystko powiedzieć. Jeśli tego nie uczynił, to tylko dlatego, aby swej owczarni zostawić pole do działania, aby dać jej możliwość współpracy z sobą, dopracowywania się do siebie.

Matka Boża, która jest najwierniejszym odbiciem Chrystusa, kroczy zawsze Jego śladami. Od zarania obecna w Kościele i okrywająca go płaszczem swej opieki, nie od razu wystawiła na pokaz wszystkie perły i diamenty swej królewskiej korony. Na ziemi

ukryła się w cieniu Krzyża. Zastłoniła swe najpiękniejsze oblicze welonem łez, szatą służebną, lśniąca zbroją łask. Roztopiła się w Kościele. Oddała się do jego dyspozycji, aby podnieść jego godność. Niech sam wydobywa Ją ze skarbcza, jako swą własność, niech ukazuje wiernym.

Kościół objawił już Jej Niepokalane Poczęcie, Jej Chwalebne Wniebowzięcie, jutro... Co będzie jutro? Można się domyślać z Jej natchnień, w które wsłuchują się święci. — Zanoście swe modły do mnie — podsuwa nam Ona — nikt ich lepiej nie przekaze Synowi, a nikt lepiej od Syna — Wszechmogącemu Ojcu. Ja przejmuję się waszymi bólami. Jestem ulepiona z tej samej gliny. Znam wasz niepokój, gdy z oczu wam ginie Zbawiciel. On mi też zginął w drodze z Jerozolimy, a serce moje drgało z lęku i niepokojem znanym wam szalonym rytmem. I nikt troskliwiej ode mnie nie obdzieli was darami Ojca. Zresztą... wszystkie one przejdą przez moje ręce.

Jam jest waszą matką prawdziwą. Czy można komuś ufać więcej niż matce? Już od chwili Wcielenia nosiłam was razem ze Zbawicielem w swoim łonie. Nie zapomnę nigdy bólów, jakie mi sprawił wasz poród. Zaprawdę rodziłam was w męce tak wielkiej, że jej ogromu nigdy nie zdołacie pojąć. Było to na Kalwarii, u stóp Krzyża, na którym konał, straszliwie rozdarty, mój Jedyne Syn. Zapłaciłam za was wtedy wielką cenę. Kupiłam was dla szczęścia. Czy mogłabym dopuścić, aby wam czegoś brakło, pozwolić, abyście mi poginęli?

Niepokalana... Czyż cała chora natura nasza nie wrywa się ku Niej, nie łaknie tej czystości, czyż wszyscy, nawet w najgorszym poniżeniu, na dnie

grzechu, nie tęsknimy do tej bieli bielszej nad śniegi, do tej harmonii, co koi wszelkie smutki, co zabliznia brudne rany, co leczy bolesne rozdarcia?

Czyż nie napełnia nas radością i dumą fakt, że kogoś z naszej upadłej rasy, człowieka z krwi i kości, nie dotknęło najłżejsze zło, że ów człowiek przeszedł przez życie tylko dobrze czyniąc, nie popełniwszy najmniejszego z naszych nędznych grzechów? Jeśli my nawet, pomimo najusilniejszych starań, nie osiągniemy takiego ideału, czy ten ideał nie promieniuje na nas swym nieodpartym urokiem, czy nie napełnia nas płodnym buntem przeciw samym sobie, czy nie wszczepia w nas trochę tej boskiej odwagi, niezbędnej, aby porywać się na rzeczy niezwykle?

Niepokalana, właśnie Niekokalana jest bramą, przez którą najłatwiej wejść do Królestwa Niebieskiego.

Pomiędzy człowiekiem a Bogiem jest przepaść nie-skończona, a wszelkie mosty nad nią zerwał grzech pierworodny. Zasypać tę przepaść, pośredniczyć między stworzeniem a niepojętym jego Stwórcą może tylko istota dotykająca obu krańców, jednocześnie ograniczona i nie ograniczona, stworzona i nie stworzona. Tą istotą jest Chrystus, Bóg i człowiek zarazem. „W Chrystusie Bóg pojednał świat z sobą” (św. Paweł).

Ale i Chrystus przez swoje absolutne zjednoczenie z Bóstwem jest czymś tak przewyższającym nasze człowieczeństwo, że odczuwamy potrzebę, aby ktoś nas prowadził ku Niemu za rękę. Pragniemy, aby ten ktoś był godniejszy od nas, ale żeby mimo swej doskonałości — był już tylko człowiekiem, tak wątłym, jak i my. Tą istotą jest Maryja.

Istniała już przedtem kiedyś kobieta, która wyszła z rąk Boskich czysta i niepokalana, obdarzona najprzedniejszymi darami natury i nadnatury; ale owa kobieta przez grzech straciła swą sprawiedliwość pierworodną i przekazała nam w spadku swój bolesny rozdźwięk duchowo-fizyczny, z którym i my przychodzimy na ziemię, aby wyplenić z niej ze zmiennym szczęściem ciernie i osty. Zrodziła nas dla ziemi, zrodziła nas dla śmierci. Czy przed pojawieniem się Maryi ludzkość mogła oczekiwać czegoś lepszego?

Jeśli by i ta druga w historii świata, niepokalana z początku, nie została niepokalaną do końca, jeśli by i tę, Kobietę bez grzechu, uwięziło wieko trumny — daremna byłaby nadzieja nasza.

Gdy Maryja, przeznaczona od wieków do zwycięskiego turnieju z nieprzyjacielem rodzaju ludzkiego, stawiała w szranki — zadrzeć musieli wszyscy aniołowie w niebie. Z jakim niepokojem patrzylibyśmy i my na tę skromną Dzieweczkę, gdybyśmy już wtedy istnieli i wiedzieli, o jak wielką stawkę rozpoczyna się gra!

Ale Ona śmiało podnosi rękawicę. Staje do turnieju, aby pomścić wszystkie policzki, wymierzone od początku świata przez śmierć i szatana każdemu z braci naszych na gruzach Edenu.

I pierwsza — zwycięża. Pierwsza wyłamuje się spod upokarzającego prawa. Pierwsza nie płaci haniebnego haraczu. Pierwsza z nas odmyka ciężką bramę Ogrodu, w którym ludzie przechadzali się pod ramię z Bogiem. Jeśli Drzewo Życia, na którym zakwitł Krwią zbawienną Jezus, jest Boskim rewanżem za tanto drzewo śmierci — to Maryja jest na-

szym ludzkim odwetem za upadłą Ewę. Bóg dał Jej start równy matce rodzaju i — dobiegła do mety..

Matka Przedziwna, która zrodziła nas dla życia wiecznego, nie jest przecie jakimś manekinem w rękach Boga, sztucznym tworem Jego wszechmocy, którym pocieszył się On po pierwszej porażce. Jej niezwykle przywileje, Jej pełność łask doskonale harmonizuje z pełnią ludzkiej natury i ludzkiej wolności. Jest ułomna jak każde stworzenie, jest wolna jak każdy człowiek — i czyni zawsze najlepszy wybór. Niepokalane Poczucie nie jest wcale tego zjawiska przyczyną: Ewa również przyszła na świat bez grzechu i bez złych skłonności. Tylko Chrystus nie mógł grzeszyć, zachowując swą wolność jedynie w stosunku do rzeczy dobrych. Maryja miała zawsze wolność wyboru zła i dobra, choć utwierdzona mocno w łasce, nigdy nie przychyliła się do zła. I w niczym również nie osłabia mocy przykładowej tego jedyne go w historii wydarzenia pełność łask Najświętszej Dziewicy, która Jej świętości była zarówno przyczyną, jak i nadprzyrodzonym wtórem. W tej wyjątkowej, maksymalnie dobrej woli tkwi tajemnica Maryi. Nie przenikniemy jej tu na ziemi.

Matka miłująca... Gdy myślimy o Jej miłości do wszystkich ludzi, tej serdecznej, czulej, taką ufnością nas napełniającej miłości, nie przypuszczamy zapewne, żeby owa miłość mogła coś kosztować Serce Niepokalane — wydaje się nam zupełnie naturalna. Trudno, co prawda, to sobie wyobrazić, niemożliwe jest wprost przeniknąć psychologię Przczystej Dziewicy, postawić się choć na chwilę w Jej położeniu.

Ale czy właśnie sam wyjątkowy przywilej Niepokalaności nie sprawiał, że ta bez zmyły grzechu pierworodnego poczęta istota czuła się nieraz na ziemi jak zesłaniec z innej planety, na której wszystko jest nad wyraz czyste i piękne, czy nie czuła się wśród ludzi, tłących się zarzewiem grzechu, obco i nieszczęśliwie, czy nie miała powodów, aby usunąć się od wszystkich i zamknąć się w sobie? Jak ciężko jest bogaczowi miłować nędzarzy, sytemu — zgłodniałych, czystemu — trędowatych! Jak bardzo razić musiały Jej niczym nie zmaconą harmonię wewnętrzną ostre dysonanse, którymi świat Ją otaczał, jakże raniła Jej płomienną, doskonałą miłość do Chrystusa ta obojętność, ta nienawiść, którą świat Go ścigał i ścigać miał do końca! Jej bracia i siostry, wszyscy ci, których nędzę miała przez wieki okrywać swoim królewskim płaszczem, byli przecież w Jej bezgrzesznych oczach chorymi istotami, kalekami. Jeśli prawdą jest, że *similis simile gaudet* — to jak mało radości przynosiło Niepokalanej towarzystwo tak niepodobnych do Niej istot! Jeśli oblicze grzechu jest tak odrażające dla świętych, poczętych w grzechu, to jak mocno musiało odstraszać Tę, której grzech był całkiem obcy?

Miłosierna wyrozumiałość Niepokalanej Matki nie należy do rzędu umówionych znaków porozumienia, egoistycznych odruchów ofiar jednego nałogu, nie ma nic wspólnego z naszą pobłażliwością dla brzydoty własnego „ja” w nowym wydaniu. Jest o wiele gorętsza i aktywniejsza od zwykłej litości, którą rodzi widok cudzego nieszczęścia. Jest o wiele bardziej bezinteresowna, heroiczna i wzruszająca, niż to sobie wyobrażamy. Ona nas kocha mimo wszystko

szczerze, prawdziwie, bośmy chorymi braćmi Jej zdrowego Syna, bo Jej umiłowany Syn pragnął znieść hańbę śmierci dla zapewnienia nam Życia. Jej miłość do ludzi jest trudniejsza i potężniejsza od naszej. I dlatego właśnie jest ognistym apelem, krzyczącym wzorem, Boską ostrogą, którą nas przynagla do wstępowania w Jej ślady, tak zdumiewająco podobne do śladów Chrystusa.

NOC TRZYDZIESTA

Jest mi już prawie dobrze. Może nawet udałoby mi się znowu zasnąć, gdyby nie ten wiatr. Nadbiegł ni z tego, ni z owego gwałtowny i rzucił się z pasją na dom. Zaczął walić w dach jak w bęben, szarpać oknami. Zda się, że chce połamać od razu wszystkie wiązania. Naciąga boleśnie krokwie, aż trzeszczą. Zmęczony wysiłkiem, przysiada na chwilę i znów atakuje, jeszcze wścieklejszy. Prycha, warczy, gwizdże, wyje. Chce poderwać całą budowlę do góry, ale dom się nie daje, widać zahartowany już w takich bojach. Grzmoci go więc potwornymi łapami, przygniata do ziemi. Wydaje się, że dom jęczy, stęka, drży, w posadach, podskakuje z hukiem jak wóz na kamieniach i kołysze się jak barka, która za chwilę zatonie.

Dziwny człowiek z tego proboszcza. Gdym mu zaproponował napisanie kazania, zgodził się natychmiast, ale w taki sposób, że nie byłem pewny, czy moja propozycja w pełni dotarła do jego świadomości. Rozmawiał ze mną, a zdawał się mnie nie dostrzegać, zapatrzony jakby w coś, co było poza mną. A jednak wtedy gdy zawołałem na niego, pewien promień jego oczu, ciepły błysk spojrzenia, którym mnie objął... Poczulem się jak małe dziecko, które sadza na kolana ojciec... To spojrzenie ude-

rzyło mnie dobrocią, zagarnęło miłością, pod której mocą zadrzałem.

Jak to było... Zaczęło się chyba tym nagłym, dziwnym bezwładem w rękach i nogach. Próbowałem nimi poruszać, chciałem rozetrzeć sobie dłonie, ale nie słuchały rozkazu woli. Sztywniały coraz bardziej, wyprężały się. W uszach szum, dzwony. Jakaś siła groźna napinała mięśnie do ostatnich granic. Całe ciało stało się twarde, ciężkie jak żelazo. Ogromne. Nogi chyba sięgały do okna, rozbijały je, rozrastały się na podwórze. Głowa jak bania, jak hełm wieży kościelnej. Ból nie do zniesienia, ból zimny wypełził z dużego palca lewej nogi, podchodził wyżej, godził w samo serce. Zdawało mi się, że nie wytrzymam tego ani sekundy, to przekraczało granice wytrzymałości. Krzyknąłem.

Jak szybko i zrećźnie proboszcz zrobił zastrzyk. Spałem trochę potem, ale teraz już pewno nie zasnę. Ten wiatr... Będę pisał.

Dzień Wszystkich Świętych. Gaśnie rychło pod chmurnym zwykle niebem, w jesiennej morce, na zabłoconych ścieżkach, w mdłym zapachu świec, zbutwiałych liści, zwarzonych płatków chryzantem i marcinków. Zarażony od dnia następnego, poświęconego bez reszty wspomnieniu zmarłych, oddycha smutkiem wszystkich cmentarzy, nasiąka westchnieniem i jęklwym szepciem mogilnych pielgrzymów, którzy w uroczystej procesji spotykają się na szlakach grabarzy, na ziemi popiołów.

Wszyscy Święci! Ogromny tłum wielu narodów, plemion, szczepów i języków! Armia pionierów, przodowników, bohaterów największej pracy! Potężny

legion apostołów, męczenników, wyznawców i dziewic — triumfatorów, świadków Boga! Jak należałoby uczcić dzień ich zwycięstwa? Gdyby zapalono ognie na wszystkich wyniosłościach i pagórkach, a cała ludzkość wzięła się za ręce i tańcząc wokół tych ogní śpiewała Hosanna, byłoby to jeszcze za mało godnym obchodem tego dnia, z którego nadejścia radują się aniołowie.

Wszyscy Święci! Trudno sobie wprost wyobrazić, jak można wspominać ich razem, kiedy każdy z nich jest osobnym, неповtarzalnym światem, nad którego głębią dostajemy zawrotu głowy, którego bogactwo nas oszalałmia. Przelatują nad naszym niebem jak błyskawice, zapalają się jak słońca, grzmią jak surmy bojowe, wygrywają pieśni swego życia niby najwspanialsze symfonie. Tłum twarzy wyłania się z mroku, a każda z nich przykuwa naszą uwagę aż do bólu. Co w nich jest ciekawsze i bardziej godne uwagi? Czy przez łzy uśmiechnięte i w drogo okupionym pokoju zacięte usta Małej Teresy, czy pogodne czoło i dojrzały uśmiech Franciszka, biskupa z Sales, czy urzekająca brzydota zarośniętej, spalonej wichrem dalekich mórz, okrutnie zoranej rylcem trudów, zmietoszonej, jakby wyplutej z paszczy żarłocznego potwora twarzy Franciszka Ksawerego, którego czyste oczy są oczami zdumionego dziecka, czy żar spojrzenia Świętego z Asyżu, czy chłopięco ostrzyżona głowa Stanisława Kostki, który spogląda na nas poważnie, z wyrozumiałością mędrca?

Ilu ich jest, tych Stanisławów, Stefanów, Franciszków, Janów, Małgorzat, Teres, Marii, Tomaszów! I co nam dają ich imiona! Nie znamy ich naprawdę. „Kto ma ucho, niechaj słuca, co Duch mówi Kościo-

łom: Zwycięzcy dam mannę ukrytą i dam mu kamyk biały, a na kamyku napisane imię nowe, którego nie zna nikt — jeno ten, co je otrzymuje.” Te imiona, pod którymi wpisał ich Bóg do Księgi Życia, są dla nas tajemnicą. I tajemnicą są również dzieje ich życia.

Mam na myśli te dzieje wewnętrzne, krwawą arenę zmagañ duszy z Bogiem, którą aniołowie i szatani posypują piaskiem, a której nie ogląda nikt ze śmiertelnych. Czy znamy chociaż prawdziwe kroniki ich ziemskich żywotów? Tych kronik nadmiernie łatwo czepia się legenda. Przyplływają one do nas z odmetów historii jak wraki okrętów z dalekich i niebezpiecznych rejsów, obrośnięte grubo wodorostami, dziwnym zielskiem, pod którego powłoką giną ich kontury. Hagiografowie ułatwiają sobie pracę. Mają gotowe szablony, przydatne na wszystkie rodzaje świętości. Oto męczennik, który drży z radości, że wnet poszatkują go poganie. W czasie tortur uśmiecha się spokojnie, drwi sobie z oprawców lub przemawia do nich łagodnie, modli się za nich i kona w ekstazie. Oto dziewczica, która ukochała namiętnie czystość. Nie podniosła nigdy oczu na mężczyznę, była tak niewinna, że nawet nie zaznała najłżejszej pokusy — anioł chodzący we włosiennicy. Oto apostoł, który nawraca tysiącami niewiernych — wystarczy, aby uczynił nad nimi znak krzyża. Oto pustelnica, która zażywa niebiańskich rozkoszy, modląc się bez przerwy i odżywiając się ziarnkiem grochu i naparstkiem wody. Oto święty zakonnik, który jest rajskim jabłuszkiem klasztornego ogrodu: nikt nigdy nie widział go nie uśmiechniętego, niecierpliwego, smutnego.

Wszyscy oni zwykle przychodzą na świat wśród niezwykłych okoliczności. Już jako niemowlęta wyciągają ręce do krzyża. Jako dzieci nie dają się kijem odpędzić od kościoła. Są wprowadzane jakieś ciernie na ich drodze — ale ciernie giną w różanych obłokach. Wszyscy wprawdzie żonglują cudami. Ekstazy, elewacje, bilokacje, wizje są ich chlebem powszednim. Karty tych kronik rojących się od cudów, namaszczonych nieziemską wzniosłością, olukrowanych słodyczą przewracamy szybko, jak stronicę nudnych bajek, w których zawsze wiadomo, co dalej będzie, i zamykamy — zmieszani, rozczarowani, zawstydzeni. Nie stworzono nas na świętych, jesteśmy zwolnieni od trudu. Utało się powiedzenie: „Nie jesteśmy przecież święci”. Ta lubieżna żądza nadmiernego uświęcania świętych, odzierania ich z ludzkich cech, przemajstrowania ich na nie tłukące się zabawki w rękę Boga u śmiałków komponujących ich żywoty ma w sobie coś potwornego. Diabeł na pewno macza palce w tej robocie, jak w każdym dziele kłamstwa.

I gdyby nie tych kilku świętych, którzy zostawili nam swoje pamiętniki, gdyby nie święty Augustyn, święta Teresa z Awila czy święta Teresa od Dzieciątka Jezus — cudowna w swej bezcudowności — może niewiele dowiedzielibyśmy się o prawdziwym życiu świętych, które, będąc boskim, nie przestawało być nigdy w pełni ludzkie. Nie powiałby też za naszych dni ożywczy prąd w hagiografii, który odbrazowia świętych dla ich i dla naszej korzyści, a dogmat Świętych Obcowania wisiałby w próżni. Mamy obcować ze świętymi! Jak możemy obcować z istotami półziemskimi, półanielskimi, które są ulepione

z innej gliny i na pewno nie rozumieją naszego języka, naszych trosk i potrzeb?

Hagiografowie, ci nawet najnieporadniejsi, mają coś na swoją obronę. O świętych pisać niełatwo. Cóż ciekawego można powiedzieć o porządnych ludziach, jeśli się nie podkoloruje ich szarych dni? Cóż nadzwyczajnego robili święci?

Oni przecież spełniali tylko swój obowiązek. Byli uczciwi wobec wszystkich i wszystkiego, wymierzali sprawiedliwość widzialnemu i niewidzialnemu światu. Kochali więc Boga, tak jak na to zasługuje, z całego serca, ze wszystkich sił, ze wszystkich myśli. Wypełniali też przykazanie: kochaj bliźniego jak siebie samego, uważając, że jest słuszne. Życzyli więc wszystkim ludziom tego samego co sobie — szczęścia, i dla ich szczęścia pracowali nie mniej zapamiętale niż dla własnego.

A przy tym są oni tak różni, sprawiają tyle kłopotu swą indywidualnością, tak trudno się w nich połapać!

Jeśli Franciszek Salezy nie znosi najmniejszej plamy na swoim zawsze schludnym ubraniu i traci apetyt, kiedy wypadnie mu spożywać obiad bez swojej srebrnej zastawy, Benedykt Labre jada w rynsztokach i dobrze się czuje wśród bywalców knajp, w brudnych łachmanach, po których łożą wszy. Jakżż przepaść między prostym, wiejskim umysłem Małgorzaty Alacoque, która dała światu jedno z najintymniejszych objawień Boga, a subtelnym geniuszem Tomasza z Akwinu, który nie dał nam żadnych objawień prócz mądrości? Gdzież porównać nieludzkie wprost umartwienia Róży z Limy czy Małgorzaty Węgierskiej z ascezą świętej Teresy od Dzieciątka

Jezus, która swój pęd do umartwień zatrzymała na granicy niespinania agrafką szerokich rękawów w przejściu przez chłodne krużganki klasztoru? A cóż powiedzieć o patronce Szkocji, urodziwej Margericie, dobrej małżonce króla Malkolma, prowadzącej całkiem zwyczajne i wygodne życie? Czy Alojzy Gonzaga, nie mający śmiałości podnieść oczu na własną matkę dlatego tylko, że jest ona kobietą, nie wydaje się zaprzeczeniem Ludwika IX, który dobrze się czuje przy boku pięknej, strojnej i lekkomyślnej księżniczki Prowansji i płodzi z nią jedenaścioro dzieci? Czy Jan Kolobos, ośmieszony z powodu swego karlego wzrostu i roztargnienia, rozbijający stadko pustelników w sketyjskim zakątku swą dziecinną pokorą, może pójść w zawody z ognistą Katarzyną ze Sienny, która tupie nogą na dworach papieży w Awinionie i Rzymie i mówi do następcy Piotrowego: „Ja tak chcę”? Czy śmiertelna powaga i surowość Cypriana, biskupa Kartaginy, ostoi się w powiewie swawoli Patrona ptaszków z Asyżu, co huśtał się z łobuzami na ulicy, półubrany wychodził kazać na ambonę, a podziurawionymi od stygmatów dłońmi szukał mandoliny na łożu śmierci?

A z drugiej strony te tak oryginalne ofiary Łaski, te błazny Króla królów są do siebie niezmiernie podobne! Jeśli każdy człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boże — to każdy święty maksymalnie urzeczywistnia to podobieństwo. Zwyciężając zwierzę, zamazując jego obraz w sobie, święty błyszczy duchem, rozkwita ludzką duszą, przepysznie okazuje naturę swego utworzenia. Wszystkie dziwactwa, niezrozumiałe wyczyny, heroiczne umartwienia świętych — po to są tylko, aby oczyścić,

ujawnić, wyjaskrawić obraz Boży w człowieku. Dlatego święci — to najprawdziwsi ludzie.

I jeśli ludzie są kwiatem stworzenia, to święci są kwiatem ludzkości. Bóg nazywa ich solą ziemi, a oni są chlebem powszednim Boga. On się nimi karmi, nimi żyje, nimi się zabawia. Dla nich wszystko stwarza. Rosną do czasu, dojrzewają, a potem są zrywani przez Niego. Ma się z czego cieszyć ten Żeniec bogaty, bo plony są obfite.

Bez nich, zaiste, świat nie miałby żadnego sensu. Oni są najbardziej potrzebną, najbardziej drogoczną i naturalną rzeczą świata — jego sokiem, jego krwią, bez której by dawno umarł, kostniejąc w szponach srogiej zimy. Nic dziwnego, że Bóg im wszystko rzuca pod nogi. Już tu na ziemi „stokroć więcej niż inni” dostają, a tam, w górze?

I wszyscy oni są dziećmi tego samego ognia, który Chrystus przyniósł na świat. „Ogień przyszedłem rzucić na ziemię, czegóż chcę, jeno, aby zapłonął.” Zajęli się ogniem Boskiej miłości i przeszli przez świat jak żywe pochodnie. Ich Pan ofiarował się za świat, umierając na krzyżu. Oni Go naśladują, stając się „drugim Jezusem”. Ofiarują się za świat, umierają na krzyżu. Jeśli świat ich nie krzyżuje, muszą się ukrzyżować sami: ukrzyżować duszę z jej pychą i egoizmem, ukrzyżować ciało z jego pożądliwościami i namiętnościami. Tylko wtedy stają się członkami Ciała Mistycznego. Są mądrzy. Wiedzą, że brzemie jest wtedy lekkie, a jarzmo słodkie, gdy się weźmie krzyż swój na każdy dzień i naśladuje się Jego.

I wszystkich ich, tych łowców Absolutu, cechuje podobna zuchwałość, z jaką rzucają się w Wielką Przygodę. Nie, oni nie idą na lekki chleb, na stały

zółd, po złote runo, po błyszczące kółka na głowie. Nie odstraszą ich jałowe pustynie, ciemne noce duchowe, w których karmić się będą suchym, gorzkim chlebem samotności, noce, które wstrząsająco opisał święty Jan od Krzyża. Ogołoceni z pociech, jakby porzuceni przez Dobrego Ojca, iść będą wytrwale naprzód, bo wiedzą, że na końcu drogi czeka światło, którego jeden promień ugodził ich na początku.

Oni wiedzą, że przyjdzie im teraz po bohatersku świadczyć swoją miłość Prawdy. Przez ścisłą przyjaźń z Chrystusem muszą się stać przyjaciółmi wszystkich ludzi, co nie jest łatwe. Będą męczennikami pokoju. „Nie sprzeciwiając się złu” przez zło, mają urywać łańcuch zła swoim dobrem. Będą rewolucjonistami w Kościele. Nowym płomieniem będą rozrywać zakrzeple formy, wyrzucone przez dawno już wygasłe ognie. Aby pomóc swym braciom, będą nieraz musieli zastąpić ich na galerach życia. Staną się „dziwowiskiem świata, aniołom i ludziom. Plugastwem świata i śmieciem wszystkich”, jako „zwodziciele — a prawdę głoszący”, jako „smutni — a zawsze weseli”. Będą „cierpieć niedostatek, uciśnieni, utrapieni. Oni, których świat nie jest go-dzien, będą tułać się po górach i jamach, w jaskiniach ziemi”.

Bóg ich nigdy nie opuszcza, to prawda. Nie skąpi im swego Ciała i Krwi, jako codziennego pokarmu. Spotykają się z Nim w Eucharystii na cudownej uczcie. Bóg nie może stać się bardziej pokorny niż tutaj. Nie może się więcej zbliżyć do człowieka i bardziej połamać dla niego praw natury. A oni nie mogą

złożyć większego hołdu prawom ducha niż przy tym stole, przy którym nic sobie nie robią z relacji zmysłów i chłoną swego Pana oczami duszy. Nie mogą wznieść się wyżej ufnością dla słów Boga. I nie mogą się stać większymi panami niż tu, gdzie pozywają Ciało Boga, gdzie zespalają się z Bogiem, stają się z Nim jednym. Czasem ukazuje im widzialnie swoją Krew, przybliża się tak, że czują gorąco Jego Ciała, omdlewają w objęciach Jego obecności. Ale jak nieliczni są ci wybrańcy, jak rzadkie są to chwile! Zwyczajnie święty nie widzi swego Oblubieńca. On jest blisko, tuż za ścianą. Choć Go nie słyszać — On słyszy wszystko. Chce, byśmy wierzyli, nie widzieli. Nie chce się pokazywać, aby prędzej nas uczynić godnymi pokazania. Czegóż więcej jesteśmy godni? Nie, nie — ekstazy, elewacje, stany zachwytu i jasnowidzenia nie są codziennym chlebem świętości, nie mają nic wspólnego z jej istotą. To tylko zbędne marginesy, dodatki, mało ważne rekwizyty. Większość świętych nie zaznała nigdy nawet wyższych stanów mistycznych, nie nurzała się w zjednoczeniu przemieniającym, które opisuje Teresa z Awila. Te dary Ducha rzadko są udzielane. Całe szeregi świętych, pozbawionych daru kontemplacji mistycznej, żyły tylko modlitwą żywej wiary, płonąca uparcie jak lampka w mrocznej kaplicy, wśród pustki beznadziejnej w myślach, nużącej posuchy serca, przez lata nieznośnych nudów i wstrętów do rzeczy Bożych. Nie byli oni mistykami w modlitwie, lecz mistykami w czynie. Rozkwitali darami Rady, Męstwa i Bojaźni, które wystarczały aż nadto, by nadać ich życiu i działaniu heroiczny, nadludzki rozmach. Ale

czy tej żywej wiary nie zdobywamy każdej godziny wysiłkiem i walką?

Ile ich jest — tych dzieci ognia, tych „pieczętowanych z każdego pokolenia synów izraelskich”? Święty Jan w pierwszej swej wizji usłyszał „liczbę pieczętowanych sto czterdzieści cztery tysiące”. Oznacza ona rzeszę wielką — niezmierną. Byłby bardzo naiwny ten, który by sądził, że świętych jest tylu, ilu ich figuruje w naszych kalendarzach. Żółty witraż z gołębicą nad głównym ołtarzem bazyliki świętego Piotra rozleciałby się w kawałki, gdyby musiał piastować wizerunki wszystkich bojowników, którzy osiągnęli na ziemi doskonałość heroiczną — w kanonizacyjnej glorii. Jest ich dużo, a będzie jeszcze więcej, zapchają kiedyś szczelnie całe niebo, chociaż jest w nim „mieszkań wiele”.

Żyją oni wśród nas. Ocieramy się o nich, nie wiedząc o tym. Świętość nie jest darem niebios, gotowym stanem, który pachnie z daleka. Osiąga się ją w trudzie i wysiłku, przez zrywy i upadki, przez zaciekłą pracę moralną, która nieraz staje w obliczu klęsk. Bóg w mądrej opatrności nie szlifuje swoich świętych na czysto. Zostawia im przeważnie jakieś drobne usterki, śmieszności, niedoskonałości, dla utrzymania ich w pokorze. Nic nie szkodząc im w drodze, owe dziecinne wady sprawiają, że otoczenie ich nie rozpoznaje. Owszem, ma za równych, o ile nie gorszych od siebie.

Wśród milionów sprawiedliwych, wiernych uczniów Jezusa, którzy mieszkali na ziemi lub mieszkają teraz — znaleźć możemy często sąsiadów z podwórka. Możemy znaleźć i siebie.

Na świętych bowiem jesteśmy stworzeni! Dzień dzisiejszy tysiącem głosów krzyczy, przynagla nas do biegu. Jeśli oni, prawdziwi ludzie, pełni żądz i słabości, którzy „nie mają walki przeciw ciału i krwi”, dobiegli do mety — dlaczegoż byśmy mieli nie dobiec i my? Jeśli...